

*Maeve Binchy*

*Noce deszczu i gwiazd*

*(Nights of rain and stars)*

*Przełożyła Anna Bańkowska*

## Rozdział 1

Andreasowi wydawało się, że widzi w zatoce ogień, jeszcze zanim inni zorientowali się w sytuacji. Patrzył w dół, kręcąc z niedowierzaniem głową. Coś takiego nie miało prawa się zdarzyć! Nie tu, w Agia Anna, nie na „Oldze”, biało-czerwonym wycieczkowym stateczku, przemierzającym z turystami pobliskie wody. I nie Manosowi, temu głupiemu uparciuchowi, którego Andreas znał od dziecka. To jakieś złudzenie, gra światła, te płomienie i dym nie mogą pochodzić z „Olgi”!

Może z nim samym jest coś nie tak?

Niektórzy starszycy z wioski mówią, że zdarzają się im przywidzenia – jeśli na przykład dzień jest zbyt upalny albo poprzedniego wieczoru popłynęło za dużo *raki*. Ale przecież położył się wcześniej, a w jego restauracji na zboczu nie było ani *raki*, ani żadnych śpiewów czy tańców.

Podniósł dłoń do czoła, aby osłonić oczy, i w tej samej chwili nad jego głową przeszła chmura. Nie było już tak dobrej widoczności, jak przedtem. Rzeczywiście musiał się pomylić, ale zaraz weźmie się w garść. Ma przecież na głowie restaurację. Goście, skoro już wdrapią się stromą ścieżką na górę, nie będą chcieli mieć do czynienia z otumanionym przez słońce wariatem, któremu na idyllicznej greckiej wyspie roją się jakieś kataklizmy.

Zabrał się ponownie do przypinania klipsami czerwono-zielonych, powleczonych plastikiem obrusów do długich, drewnianych stołów na tarasie przed tawerną. Zanosilo się na upalny dzień, pewnie będzie mnóstwo gości w porze lunchu. Andreas już wcześniej wypisał starannie menu na czarnej tablicy. Często się zastanawiał, po co właściwie to robi: przecież co dzień podaje to samo. Ale turyści lubią ten zwyczaj, podobnie jak wypisane w sześciu językach słówko „Witamy”.

Niezbyt wyszukane jedzenie nie różniło się od tego, co proponowano w pozostałych dwóch tuzinach tawern: *souvlaki*, kebaby z jagniąt (tak naprawdę to z kozłat, ale goście woleli wierzyć, że z jagniąt), rozmaite rodzaje musaki, podawane apetycznie w wielkich naczyniach do zapiekania, i michy sałatki z kusząco czerwonych pomidorów z kostkami fety. Na specjalnych podstawkach leżały przygotowane do grilla *barbouni*, czyli barweny, oraz płaty miecznika, w lodówce na stalowych tacach pyszniły się desery – *kataifi* i *baklava* – cienkie płaty ciasta, przekładane orzechami z miodem. Były też chłodzone witrynki z retziną i lokalnymi winami. Po cóż innego turyści przyjeżdżali do Grecji? A ciągnęli tu z całego świata, najwyraźniej kochając wszystko, co Andreas i dziesiątki takich jak on mogli zaoferować.

Zawsze rozpoznawał narodowość każdego gościa, każdego też witał kilkoma słowami w jego własnym języku. Po latach studiowania sposobu poruszania się ludzi i języka ich ciał, trak-

tował to jak swego rodzaju grę.

Anglikom nie podobało się, kiedy podsuwano im *Speisekarte* zamiast menu, Kanadyjczycy nie lubili być utożsamiani z Amerykanami ze Stanów, Włosi kręcili nosem na francuskie *bonjour*, jego ziomkowie zaś woleli być brani raczej za ważniaków z Aten niż za zagranicznych turystów. Andreas dawno rozumiał, że zanim otworzy usta, powinien najpierw uważnie przyjrzeć się każdemu przybyszowi.

Zerknąwszy na ścieżkę w dole, zobaczył, że nadchodzą pierwsi dzisiejsi goście.

Umysł przestawił mu się na automatycznego pilota.

Samotny, spokojny mężczyzna w dłuższych szortach, jakie noszą tylko Amerykanie (nie przydają się one na nic ani tyłkowi, ani nogom, za to podkreślają śmieszne cechy ludzkiej sylwetki), zatrzymał się na chwilę, żeby przez lornetkę obserwować ogień.

Śliczna młoda Niemka – wysoka, opalona, z pasemkami włosów rozjaśnionymi przez słońce albo bardzo drogiego fryzjera – stała cicho, patrząc z przerażeniem na czerwone i pomarańczowe płomienie liżące statek w zatoce.

Chłopak – pewnie tuż po dwudziestce – drobny, wyraźnie zdenerwowany, wciąż zdejmował i wkładał na nowo okulary, gapiąc się z otwartymi ustami na szalejący w dole żywioł.

Para równie młodych ludzi, zmęczonych forsownym marszem pod górę, to zapewne Szkoci albo Irlandczycy; Andreas

nie mógł rozpoznać akcentu. Chłopak miał butną postawę, jakby próbował przekonać wyimaginowaną publiczność, że droga wcale nie dała mu się we znaki.

Z kolei przybysze zobaczyli przed sobą wysokiego, lekko przygarbionego mężczyznę o siwej czuprynie i krzaczastych brwiach.

– Byliśmy wczoraj na tym statku... – Wystraszona dziewczyna zakryła dłonią usta. – Mój Boże, mogło paść na nas!

– Ale nie padło, więc po co o tym gadać? – odparł zaczepnie jej chłopak, przyglądając się z pogardą sznurowanym butom właściciela tawerny.

Nagle rozległ się huk eksplozji i dopiero w tym momencie Andreas uświadomił sobie, że to prawda: w zatoce szalał ogień, nie żadna tam gra światła. Inni też widzieli płomienie, więc stary Grek nie mógł złożyć tego na karb pogarszającego się wzroku. Zaczął dygotać tak, że aż musiał chwycić się krzesła.

– Muszę zadzwonić do mojego brata, Jorgisa, on jest w policji... Może tam jeszcze nic nie wiedzą, może od nich nie widać ognia...

– Widzą, widzą – uspokoił go wysoki Amerykanin. – Proszę spojrzeć, wysłali już łodzie ratunkowe.

Ale Andreas i tak podszedł do telefonu.

Oczywiście na małym posterunku policji, położonym na wzgórzu nad przystanią, nikt nie odpowiadał.

Dziewczyna patrzyła z przerażeniem na niewinnie błękitne

morze. Strzępki czerwonych płomieni i chmura czarnego dymu wyglądały na nim jak groteskowa plama pośrodku obrazu.

– Nie mogę w to uwierzyć – powtarzała w kółko. – Jeszcze wczoraj na tym samym statku uczyli nas tańczyć! Właściciel nazwał go „Olga” na cześć swojej babci.

– Manos... to jego statek, tak? – spytał młodzieniec w okularach. – Ja także tam byłem.

– Tak, Manos – potwierdził ze smutkiem Andreas.

Ten dureń Manos jak zwykle napchał tam zbyt wielu ludzi. Nie miał porządnego zaplecza do kateringów, ale za to łał w gości drinki i próbował przygotowywać kebaby na przestarzałym ruszcie, umieszczonym na butli gazowej. Oczywiście nikt z wioski nie piśnie na ten temat ani słowa. Manos miał rodzinę, pewnie teraz wszyscy zebrali się w porcie w oczekiwaniu na wieści.

– Zna go pan? – spytał wysoki Amerykanin z lornetką.

– Tak, my się tu wszyscy znamy. – Andreas otarł oczy serwetką.

Stali jak zahipnotyzowani, obserwując w oddali łódki, które nadpływały, próbując gasić ogień, ludzi rozpaczliwie walczących z wodą w nadziei, że ktoś ich w końcu dostrzeże i wciągnie na któryś z mniejszych stateczków.

Amerykanin pożyczał lornetkę każdemu, kto chciał popatrzeć. Wszystkim brakowało słów; było za daleko, by śpieszyć z pomocą, nic nie mogli zrobić, a jednak nie potrafi się po-

wstrzymać od śledzenia tragedii rozgrywającej się na pięknym, błękitnym morzu.

Andreas zdawał sobie sprawę, że powinien wykonać jakiś ruch, coś im zaproponować, ale w tych okolicznościach wydawało mu się to prostackie. Nie chciał odrywać oczu od tego, co zostało po Manosie, jego łajbie i Bogu ducha winnych turystach, którzy wybrali się na radosny wycieczkowy rejs. Byłoby zbyt małoduszne, gdyby zaczął teraz usadzać gości przy świeżo nakrytych stołach i zachwalać im faszerowane liście winorośli.

Na ramieniu poczuł czyjąś dłoń. To ta blondynka z Niemiec.

– Panu jest trudniej, bo to pańska wioska...

Znów napłynęły mu do oczu łzy. Miała rację. To była jego wioska, tu się urodził, znał wszystkich w Agia Anna. Babkę Manosa, Olgę, młodych ludzi, którzy teraz wyruszyli na swych łodziach w morze, by nieść pomoc ofiarom, znał oczekujące w porcie rodziny... Tak, jemu było trudniej. Popatrzył żałośnie na dziewczynę, ta jednak uprzejmie, lecz stanowczo przystąpiła do konkretów:

– Czemu pan stoi? Proszę usiąść. Nie możemy im już pomóc... Takiej właśnie ostrogi potrzebował.

– Jestem Andreas – rzekł. – Ma pani rację, to moja wioska i wydarzyło się tu coś okropnego. Pozwolę sobie zaproponować wszystkim państwu po kieliszku metaksy na szok, a potem pomodlimy się wspólnie za tych w zatoce.

– Czy naprawdę nie możemy dla nich nic zrobić? – spytał

młody Anglik w okularach.

– Sama droga na dół zajęłaby nam trzy godziny. A wtedy pewnie tylko byśmy przeszkadzali – tłumaczył wysoki Amerykanin. – Przy okazji; mam na imię Thomas i uważam, że nie powinniśmy powiększać tłoku w porcie. Spójrzcie tylko, tam już jest mnóstwo ludzi. – I podał im lornetkę, żeby mogli przekonać się na własne oczy.

– Nazywam się Elsa – przedstawiła się Niemka. – Przyniosę kieliszki.

Stanęli z małymi kieliszkami palącego trunku i wyciągnęli je ku słońcu w szczególnym toaście.

– Niechaj ich dusze i dusze wszystkich wiernych odpoczywają w pokoju – powiedziała Fiona, rudowłosa Irlandka z piegowatym noskiem.

Jej chłopak skrzywił się lekko na te słowa.

– O co ci chodzi, Shane? – spytała defensywnie. – To tylko modlitwa.

– Odejdź w pokoju – rzekł Thomas do wraka. Płomienie już wygasły i teraz wszyscy zajmowali się liczeniem żywych i martwych.

– *L'chaim* – odezwał się David, Anglik w okularach. – To znaczy: „Za życie”.

– *Ruhet in Frieden* – zawtórowała im Elsa ze łzami w oczach.

– *O Theos n'anapafsi tin psy hi tou!* – Andreas pochylił ze



smutkiem głowę przed największą tragedią w dziejach Agia Anna.

Nie zamówili lunchu; Andreas po prostu go podał. Przyniósł im , sałatę z kozim serem, talerz jagnięciny i faszerowanych pomidorów, a na koniec miskę owoców. Rozmawiali o sobie – o tym, gdzie byli. Żadne z nich nie przyjechało na dwa tygodnie z grupą wycieczkową, wszyscy planowali co najmniej kilkumiesięczny pobyt.

Thomas, Amerykanin, podróżował, pisząc zarazem artykuły do magazynu. Załatwił sobie roczny urlop naukowy z uniwersytetu. Podobno tacy jak on, po roku zwiedzania świata i poszerzania horyzontów z pełnym poparciem władz, byli witani z otwartymi ramionami. Nauczyciele akademicy różnych stopni cenili sobie możliwości wyjazdu, poznania ludzi z innych krajów, inaczej mogliby się uwikłać w wewnętrzne rozgrywki polityczne swoich uczelni. A jednak Andreas widział, że Thomas mówiąc to, patrzył gdzieś w dal, jakby mimo wszystko tęsknił za czymś, co zostawił w Kalifornii.

Co innego ta Niemka, Elsa. Ona raczej nic za sobą nie zostawiła. Jak sama powiedziała, czuła się coraz bardziej zmęczona pracą i w końcu doszła do wniosku, że to, co kiedyś uważała za ważne, jest w gruncie rzeczy płytkie i trywialne. Zaoszczędziła dość pieniędzy, by móc przez rok podróżować. Od trzech tygodni była w drodze i nie zamierzała opuszczać Grecji.

Fiona, dziewczyna z Irlandii, nie miała takiej pewności siebie; opowiadając, wciąż zerknęła na swojego chłopaka, jakby szukała jego poparcia. Chęć zobaczyć kawałek świata, znaleźć miejsce, gdzie nikt by ich nie osądzał, nie próbował ich ulepszać ani zmieniać. Chłopak nie potwierdzał ani nie zaprzeczał, po prostu kwitował jej słowa wzruszeniem ramion, jakby cała ta gadanina śmiertelnie go nudziła.

David wyznał, że marzy o zwiedzeniu świata, póki jest na tyle młody, by zdecydować, co mu odpowiada i ewentualnie zacząć to robić. Jego zdaniem, nie ma nic smutniejszego niż starzec, który dochodzi do wniosku, że na to, za czym latami tęsknił, jest już za późno. Taki ktoś we właściwym czasie nie odważył się na zmiany, ponieważ nie poznał różnych możliwości. On sam wyruszył na szlak raptem miesiąc temu i już miał głowę wypełnioną wrażeniami.

Ale nawet kiedy tak sobie gwarzyli, opowiadając po trochu o swym życiu w Dusseldorfie, Dublinie, Kalifornii czy Manchesterze, żadne z nich – jak zauważył Andreas – nie zająknęło się słowem na temat pozostawionej w kraju rodziny.

Ze swej strony, opowiedział im o życiu w Agia Anna, o tym, jak miasteczko rozwinęło się od czasów jego dzieciństwa, kiedy to nie przyjeżdżali tu żadni turyści, a jedynym źródłem utrzymania była uprawa oliwek i hodowla kóz. O swoich braciach, którzy dawno temu wyemigrowali do Ameryki, i jedynym synu, który pokłóciwszy się z nim, Andreasem, dziewięć lat

temu zostawił restaurację i nigdy już nie wrócił.

– A o co wam poszło? – spytała Fiona, otwierając szeroko wielkie, zielone oczy.

– Ach, bo on chciał urządzić tu klub nocny, a ja się nie zgodziłem... Zwykła sprawa: wiek i młodość, jeden pragnie zmian, drugi nie... – Andreas wzruszył smutno ramionami.

– A gdyby pan wiedział, że dzięki temu zatrzyma go w domu, to by się pan zgodził?

– Tak, teraz tak. Gdybym wiedział, jaki będę samotny, mając jedynego syna na drugim końcu świata, w Chicago... to tak, pozwoliłbym mu na wszystko. Ale wtedy tego nie wiedziałem, a teraz on nawet do mnie nie pisze.

– A pańska żona? Nie prosiła, żeby ściągnął go pan z powrotem i obiecał mu ten klub?

– Umarła. Nie ma już nikogo, kto mógłby zaprowadzić zgodę między nami.

Zapadła cisza. Mężczyźni wyraźnie uznali słowa za zbędne i tylko kiwali ze zrozumieniem głowami, natomiast kobiety się nie odzywały, bo nie miały pojęcia, o co mu chodzi.

Cienie zaczęły się coraz bardziej wydłużać. Andreas podał wszystkim kawę, ale jakoś nikt nie ruszał się z miejsca. Z położonej na górze tawerny widać było jak na dłoni dantejskie sceny w zatoce. Pogodny dzień zdominowały kataklizm i śmierć. Patrzyli przez lornetkę na zabierane na noszach ciała, na zdesperowanych ludzi przepychających się przez tłum w porcie, by

sprawdzić, czy ich bliscy żyją czy zginęli. Goście Andreasa na wzgórzu czuli się bezpieczniejsi, i chociaż prawie się nie znali, w obliczu nieszczęścia rozmawiali z sobą jak starzy przyjaciele.

Rozmawiali, póki na niebie nie wzeszły pierwsze gwiazdy. W porcie błyskały teraz flesze i światła kamer telewizyjnych, rejestrujących tragedię, aby ukazać ją światu. W niedługim czasie wieść o katastrofie dotrze do mediów.

– Pewnie muszą to robić – westchnął David z rezygnacją. – Ale takie żerowanie na ludzkim nieszczęściu jest po prostu koszmarnie...

– Rzeczywiście, koszmarnie. Wiem, bo w tym pracuję. A raczej pracowałam.

– Jako dziennikarka? – zainteresował się David.

– Prowadziłam w telewizji program o aktualnych wydarzeniach. Teraz przy moim pulpicie w studiu siedzi ktoś inny, zadaje na odległość pytania komuś w tamtym porcie: ile ciał wyłowiono, jak do tego doszło, czy wśród ofiar są Niemcy? Masz rację, to straszne i dobrze, że nie biorę w tym udziału.

– A jednak ludzie muszą się dowiadywać o klęskach i wojnach – zauważył Thomas. – Jak inaczej mogliby im zapobiegać?

– Temu się nie da zapobiec – mruknął Shane. – To kwestia kasy. Gra idzie o grube pieniądze, stąd to wszystko się bierze i nic nie można poradzić.

Shane różni się od reszty, zauważył w myślach Andreas.

Jest taki nonszalancki, niespokojny, wyraźnie chciałby stąd uciec. Ale cóż, młodość ma swoje prawa, to naturalne, że chce być tylko ze swoją ładną przyjaciółką, Fioną, zamiast tkwić w skwarny dzień na wzgórzu i prowadzić jałowe rozmowy z grupką obcych ludzi.

– Nie wszystkich interesują pieniądze – zauważył pojednawczo David.

– Przecież nie mówię o tobie! Po prostu kasa wszystkim kręci, I tyle.

Fiona podniosła nagle głowę, gotowa bronić poglądów Shane’a.

– On chciał powiedzieć, że to system, a nie Bóg rządzi jego czy moim życiem. Gdyby chodziło mi tylko o kasę, na pewno nie zostałabym pielęgniarką. – Uśmiechnęła się do wszystkich.

– Pielęgniarką? – zdziwiła się Elsa.

– Tak, właśnie się zastanawiam, czy nie przydałabym się tam, na dole, chociaż... ?

– Fiono, nie jesteś chirurgiem, chyba nie zamierzasz amputować komuś nogi – zaprotestował Shane ze złośliwym uśmiechem.

– Ale coś mogłabym zrobić...

– Na miłość boską, Fiono, zjedź wreszcie na ziemię. Co mogłabyś zrobić? Mówić do nich po grecku, żeby się uspokoili? W czasie kryzysu nie ma zapotrzebowania na zagraniczne pielęgniarki!

Na twarz Fiony wypląnął ciemny rumieniec. Z pomocą pośpieszyła jej Elsa.

– Gdybyśmy byli teraz tam, na dole, okazałabyś się nieoceaniona, ale skoro to taki kawał drogi, może lepiej siedzieć tutaj i nie przeszkadzać.

Thomas zgodził się z tą opinią. Znów patrzył przez lornetkę.

– Pewnie nawet by cię nie dopuścili do rannych. – Podał Fionie lornetkę. – Zobacz, jakie zamieszanie!

– Tak, masz rację – przyznała cicho, patrząc na rozpychających się w dole ludzi.

– To chyba cudowny zawód – zauważył Thomas, starając się ją pocieszyć. – Ty chyba nigdy się nie boisz? Moja matka też jest pielęgniarką, ale ona pracuje długie godziny za marne pieniądze.

– Pracowała, jak byłeś mały?

– Wciąż pracuje. Posłała mojego brata i mnie do college'ów i jakoś udało nam się znaleźć własną drogę życiową. Próbujemy teraz okazać jej wdzięczność, zapewnić jakiś odpoczynek i dach nad głową, chcemy, żeby wreszcie cieszyła się życiem, ale ona mówi, że już tak jest zaprogramowana, aby ciągle coś robić.

– A co ty wybrałaś po college'u? – spytał David. – Ja skończyłem studia biznesowe, tylko że nie zaprowadziło mnie to tam, gdzie chciałem.

– Wykładałam na uniwersytecie literaturę dziewiętnastego wieku – odrzekł wolno Thomas, wruszając ramionami, jakby

nie było to nic wielkiego.

– A co ty robisz, Shane? – zainteresowała się Elsa. Chłopak wbił w nią twardy wzrok.

– A bo co?

– Nie wiem, pewnie nie potrafię się powstrzymać od zadawania pytań. Ponieważ wszyscy coś już o sobie powiedzieli, nie chciałam, żebyś czuł się poza nawiasem – wyjaśniła z miłym uśmiechem.

Wyraźnie się odprężył.

– Jasne, jasne. Cóż, kręci się to i owo...

– Rozumiem. – Elsa pokiwała głową, jakby uzyskała racjonalną odpowiedź.

Inni zrobili to samo. Też zrozumieli.

I w tym momencie przemówił z wolna Andreas.

– Myślę, że powinniście zadzwonić do swoich domów. Spojrzeli na niego, spłoszeni, on zaś wyłożył im swoje racje.

– Jak wspomniała Elsa, wszystko będzie w telewizji. Może wasi bliscy to obejrzą, a jeśli wiedzą, że jesteście w Agia Anna, zaczną się martwić. Przecież mogliście być na statku Manosa...

– Powiódł wzrokiem po ich twarzach: pięcioro młodych ludzi z różnych rodzin, różnych krajów...

– Moja komórka nie ma tu zasięgu – oświadczyła beztrząsco Elsa. – Próbowałam się dodzwonić kilka dni temu i pomyślałam, że tym lepiej, niech to będzie prawdziwa ucieczka.

– W Kalifornii jest teraz nieodpowiednia pora – wyjaśnił

Thomas.

– U nas i tak włączyłaby się sekretarka. Wszyscy są zajęci w firmie – dodał David.

– Znów miałabym uszy pełne narzekania: „Ojejku, widzisz co się dzieje, jak tylko porzuciłaś swoją bezpieczną, ciepłą posiadkę i zaczęłaś włóczyć się po świecie” – westchnęła Fiona.

Andreas podniósł się od stołu.

– Wierzcie mi, gdy tylko słyszę, że w Chicago wybuchła strzelanina, albo zdarzy się powódź czy jakaś katastrofa, zawsze zadaję sobie pytanie, czy aby mój Adoni nie mógł się gdzieś tam zaplątać. Tak miło byłoby, gdyby zadzwonił... po prostu powiedział parę słów, że jest bezpieczny, to wszystko.

– Na imię mu Adoni? – spytała z podziwem Fiona. – Jak Adonis, bóg piękna?

– Adoni, nie Adonis – skorygowała Elsa.

– I pewnie wobec kobiet jest Adonidem, co? – zauważył Shane z uśmiechem.

– Nie wiem, nic mi nie mówi – odrzekł smutno Andreas.

– Widzisz, Andreas, ty jesteś typem ojca, któremu zależy na dziecku. Ale nie wszyscy są tacy – wyjaśnił David.

– Każdemu rodzicowi zależy, tylko okazują to w różny sposób.

– A poza tym niektórzy z nas nie mają rodziców – rzuciła niefrasobliwie Elsa. – Na przykład mój ojciec zniknął dawno temu, a matka umarła młodo.



– Ale przecież musisz mieć w Niemczech kogoś, kto cię kocha! – wykrzyknął Andreas i zaraz doszedł do wniosku, że posunął się za daleko. – Słuchajcie, mój telefon stoi tam, na barze. A teraz otworzę butelkę wina, by uczcić fakt, że spędziliśmy wspólnie dzisiejszy wieczór, ze wszystkimi nadziejami i marzeniami, które wciąż nam pozostaną, gdy znów tak samo zasiądziemy w inną wygwieżdżoną noc. Wszedł do środka, jednak nadal słyszał, co mówią na tarasie.

– On chyba naprawdę chce, żebyśmy skorzystali z tego telefonu – odezwała się Fiona.

– No cóż, dopiero co powiedziałaś, że wpakowałabyś się tylko w kłopoty – zaprotestował Shane.

– Może to jednak przesada – zastanawiała się Elsa. Popatrzyli jeszcze raz na scenę w dole. Tym razem nikt już nie zgłaszał obiekcji.

– Zadzwoń pierwszy – zgłosił się Thomas.

Andreas polerował kieliszki i słuchał rozmów swoich gości. Dziwna jakaś ta grupka. Żadne z nich nie czuło się swobodnie z tymi, do których telefonowali. Zupełnie jakby wszyscy od czegoś uciekali, jakby wysliznęli się z jakiejś przykrew sytuacji.

Thomas mówił urywanymi zdaniami.

– Wiem, że jest na dziennym obozie. Po prostu myślałem... Nieważne... Naprawdę nie miałem programu. Shirley, proszę cię, nie chcę sprawiać kłopotu, ja tylko... W porządku, Shirley, myśl sobie, co chcesz. Nie, nie robiłem jeszcze żadnych planów.

David sprawiał wrażenie załęknionego.

– Och, tato, jesteś w domu, no tak, oczywiście powinieneś być. Po prostu chciałem ci powiedzieć o tym wypadku... Nie, nie jestem ranny, nie byłem na tamym statku. – Długa cisza. – Słusznie, tato, pozdrów ode mnie mamę, dobrze? Nie, powiedz jej, że nie zdecydowałem jeszcze, kiedy wrócę...

Fiona w ogóle nie wspomniała o tragedii. Chyba nikt nie dopuścił jej do głosu. Było tak, jak przewidywał Shane: jedno wielkie błaganie o powrót.

– Nie, mamó, nie mogę podać daty, przerabialiśmy to już milion razy... Gdzie on, tam ja, mamó, musisz dostosować do tego swoje plany, tak będzie znacznie lepiej...

Rozmowy Elsy brzmiały zagadkowo. Andreas znał niemiecki, więc wszystko świetnie rozumiał. Zostawiła dwie wiadomości na automatycznych sekretarkach.

Pierwsza była dość serdeczna:

– Hannah, tu Elsa. Jestem w cudownym greckim miasteczku Agia Anna. Wiesz, mieliśmy tu dziś straszny wypadek na statku, zginęli ludzie. Nie umiem ci powiedzieć, jakie to przykre. Ale gdybyś się zastanawiała, czy mnie tam nie było, to wiedz, że miałam szczęście... Ach, Hannah, tak mi brakuje ciebie i twojego ramienia, na którym mogłabym się wyplakać! Chociaż płaczę już znacznie mniej, więc pewnie przyjazd tutaj dobrze mi zrobił. Jak zwykle, wołałabym, abyś nikomu nie mówiła o tym telefonie. Jesteś taką dobrą przyjaciółką, naprawdę na ciebie nie

zasługuję. Odezwe się niedługo, przyrzekam.

Potem połączyła się drugi raz i tym razem jej głos brzmiał lodowato.

– Nie zginęłam na tym statku. Ale wiesz, chwilami myślę, że nie miałabym nic przeciwko temu. Nie odbieram e-maili, więc nie trać energii na pisanie. Zrobiłeś i powiedziałeś już wszystko, co było do zrobienia i powiedzenia. Dzwonię, bo pewnie w studiu myślą, że albo się spaliłam na tej łajbie, albo stoję w porcie i czekam, by złożyć relację jako naoczny świadek. Ale jestem wiele kilometrów dalej, a od ciebie jeszcze więcej, i naprawdę tylko na tym mi zależy.

Kiedy odkładała słuchawkę, po twarzy ciekły jej łzy.

## Rozdział 2

Andreas widział, że nikt z nich nie chciał wychodzić. Tu, na jego tarasie, czuli się bezpiecznie, z dala od rozgrywającej się na dole tragedii. I od nieudanego życia w swoich krajach.

Zastanawiał się, jak wiele nocy przedtem, nad rodzinnymi problemami. Czy tylko kłótnia o nocny klub spowodowała wyjazd Adoniego? A może chodziło o potrzebę wolności, chęć wyrwania się z dotychczasowego życia? Gdyby miał przejść przez to wszystko jeszcze raz, czy byłby bardziej otwarty i wielkoduszny, czy pozwoliłby synowi wyjechać, zobaczyć świat, a dopiero potem dokonać wyboru swego miejsca na ziemi?

Ci młodzi ludzie tak właśnie postąpili, a jednak też mieli problemy w domu. Słyszał to wyraźnie w ich rozmowach. Zostawił im wino na stole, a sam usiadł w kącie ze swoimi „pacjorkami na nerwy” i przesuwiał je z ręki do ręki, kiedy telefonowali. W miarę upływu czasu lało się coraz więcej wina i młodym stopniowo rozwiązywały się języki. Nie ukrywali już przed sobą rodzinnych sekretów.

Najmniej oporów miała ta biedulka Fiona.

– Miałaś rację, Shane... Nie powinnam była dzwonić. Skorzystaliby tylko z okazji, by znów mi wmawiać, jak strasznie rujnuję sobie życie. Podobno nie mogą zorganizować swojego

srebrnego wesela, póki się nie dowiedzą, gdzie będę. Zostało pięć miesięcy, a moja matka, dla której chińszczyzna na wynos to wielka atrakcja, już teraz martwi się o przyjęcie! Powiedziałam jej prosto z mostu, że nie mam bladego pojęcia, gdzie w tym czasie będziemy, a ona zaraz w płacz. Tak naprawdę opląkuje przyjęcie, a tymczasem ci ludzie w porcie... Oni naprawdę mają nad czym płakać! Aż się niedobrze robi...

– Mówiłem, że tak będzie. – Shane zaciągnął się jointem, którego palili na spółkę. Pozostali nie chcieli się do nich przyłączyć. Andreasowi też to się nie podobało, ale uznał, że teraz nie pora na ścisłe rygory.

Głos zabrał Thomas.

– Mnie także szczęście nie dopisało. Mój synek Bill na pewno by się przejął, ale jest na dziennym obozie. Natomiast ekszona, którą zapewne wiadomość o mojej śmierci na statku Manosa wprowadziłaby w euforię, bynajmniej nie ucieszyła się z telefonu. No cóż, może chłopak nie oglądał dziennika, to i nie będzie się martwił – zauważył filozoficznie.

– Skąd miałby wiedzieć, że akurat jesteś w tym rejonie? – Shane wyraźnie uznał, że rozmowy z najbliższymi to tylko strata czasu.

– Wysłałem mu faks z numerami telefonu. Shirley miała go przypiąć do tablicy w kuchni.

– I zrobiła to?

– Mówi, że tak.

– I twój syn zadzwonił? – Nie.  
– Znaczą się, nawaliła, tak? – Shane dodał dwa do dwóch.  
– Pewnie tak. I mojej matce też raczej nie dała znać. – Na twarzy Thomasa pojawił się wyraz zaciętości. – Szkoda, że zamiast do niej, nie zadzwoniłem do mamy, ale chciałem usłyszeć głos Billa, a potem Shirley mnie wkurzyła...

Na koniec odezwał się cicho David:

– Ja chciałem tylko zostawić uprzejmą, chłodną wiadomość na sekretarce, ale oni byli akurat w domu i ojciec odebrał.. Powiedział... powiedział, że skoro nic mi się nie stało, to po co dzwonię?

– Wiesz, on wcale tak nie myślał – próbował go pocieszyć Thomas.

– Ludzie zawsze plotą trzy po trzy, kiedy opada z nich napięcie – dodała Elsa.

David jednak pokręcił głową.

– On właśnie to chciał powiedzieć, naprawdę nie widział powodu. I jeszcze słyszałem, jak matka woła z drugiego pokoju: „Zapytaj go o uroczystość, Haroldzie! Czy przyjedzie na wręczenie nagrody?”.

– Jakiej nagrody?

– Takie tam... Poklepią go po ramieniu za to, że zbił tyle kasy. Coś w rodzaju Nagrody Królowej dla Przemysłu. Wielka gala z bankietem i w ogóle... Dla nich nie ma nic ważniejszego na ziemi.

– A czy jest w domu ktoś, kto mógłby cię zastąpić na tej ceremonii? – spytała Elsa.

– Cóż... będą wszyscy z jego biura, poza tym przyjaciele z Rotary i z klubu golfowego, kuzyni matki...

– Więc jesteś jedynakiem?

– W tym problem. W tym cały problem... – odrzekł smutno David.

– To twoje życie – obruszył się Shane, nie dostrzegając żadnego problemu. – Rób, jak uważasz.

– Przypuszczam, że rodzice po prostu chcą, abyś był z nimi w tak uroczystym dniu – rzekł Thomas.

– Tak, a ja chciałem opowiedzieć im o katastrofie, o śmierci tych ludzi, ale ich stać tylko na gadanie o nagrodzie i o tym, czy zdążę na czas. Co za ohyda!

– Może w ten sposób chcieli cię poprosić: „Wracaj, synu, do domu” – zasugerowała Elsa.

– Jasne: „Wracaj, obejmij ciepłą posadkę i pomóż ojcu w interesach”. Tylko że ja tego nie zrobię, ani teraz, ani nigdy. – David zdjął okulary i zaczął je przecierać.

Elsa niczego o sobie nie powiedziała. Siedziała, patrząc ponad oliwnymi gajami daleko w morze, gdzie jacyś ludzie na małych wysepkach rozkoszują się słonecznym wakacyjnym popołudniem. Czowała na sobie wzrok współtowarzyszy, czekających, aby złożyła im relację ze swojej rozmowy.

– Co mi odpowiedzieli? Ha, chyba w całych Niemczech ni-

kogo nie ma w domu! Dzwoniłam do dwojga przyjaciół, w obu wypadkach odezwały się automaty, pewnie oboje pomyślały, że zwariowałam... ach, do diabła z tym! – Zaśmiała się cichutko. Nic w jej głosie nie wskazywało, że jej pierwsza wiadomość była nieco zagadkowa i lekka w tonie, druga zaś cierpka i pełna rozgoryczenia.

Andreas przyglądał się jej ze swego mrocznego kąta. Piękna Elsa, która rzuciła posadę w telewizji, aby odnaleźć spokój na greckich wyspach, najwyraźniej jeszcze nie osiągnęła swojego celu.

Na tarasie znów zapanowała cisza. Wszyscy przetrawiali swoje rozmowy, zastanawiając się, jak by nimi pokierowali, gdyby mieli szansę je powtórzyć.

Fiona mogłaby powiedzieć matce, że ponieważ tyle innych zbolących matek i córek szuka się teraz nawzajem w porcie, ona także czuje potrzebę pogadania z kimś z domu. Ze przeprasza, jeśli sprawiła im zawód, ale jest już dorosłą kobietą i musi iść własną drogą. Nie znaczy to jednak, że już nie kocha rodziców. Może nie martwiliby się aż tak bardzo, gdyby to powiedziała, gdyby powtórzyła kilka razy, że bierze pod uwagę ich plany i naprawdę postara się przyjechać na srebrne wesele, tylko muszą cierpliwie poczekać...

David mógłby opowiedzieć o tym, jak odwiedza różne miejsca i uczy się świata. Ze dziś u brzegów pięknej greckiej wyspy wydarzył się smutny wypadek, który zmusił go do za-



trzymania się w pędzie i do zadumy nad krótkością ludzkiego życia, zakończonego w tak niespodziewany sposób.

Ojciec lubił przysłowia i porzekadła. David przytoczyłby mu jedno: „Jeśli kochasz swoje dziecko, wyślij je w podróż”. I dodałby, że jego plany nie są ostateczne, ale czuje, że doświadczenia każdego dnia uczą go, jak stać się lepszym człowiekiem. To mogłoby podziałać: nie ma nic gorszego od przepaści, którą sam między nimi wytworzył.

Thomas doszedł do wniosku, że powinien zadzwonić do matki, a nie do Shirley. Wtedy miał nadzieję, że porozmawia z Billem i po prostu nie mógł się powstrzymać, ale ten telefon należał się matce. Uspokoiłby ją, że syn jest zdrowy i cały, a ona przekazałaby wiadomość Billowi. Mógł jej też wspomnieć, że właśnie przed chwilą opowiadał przypadkowo poznanym ludziom, jak wspinała jest kobieta, jak bardzo jest jej wdzięczny za tę dodatkową nocną pracę, dzięki której opłaciła jego studia. Pewnie byłaby zachwycona takimi słowami...

Tylko jedna Elsa nie miała sobie nic do wyrzucenia w kwestii telefonów. Odbiorcy wiedzieli, że jest w Grecji, ale nie znali dokładnego miejsca jej pobytu, ona zaś nie dała żadnemu szansy na nawiązanie kontaktu. Obojgu powiedziała dokładnie to, co chciała; wobec jednej osoby była łagodna i nieco tajemnicza, wobec drugiej lakoniczna i chłodna. Nie, nie zmieniłaby ani jednego słowa.

Zadzwonił telefon i Andreas się wzdrygnął. To mógł być

jego brat Jorgis z lokalnej policji. Może chce go zawiadomić o stratach w ludziach.

Jednak to nie był Jorgis, tylko mężczyzna mówiący po niemiecku. Miał na imię Dieter i szukał Elsy.

– Nie ma jej – odrzekł Andreas. – Jakiś czas temu wszyscy wyruszyli do portu. Skąd pan wie, że tu była?

– Nie mogła wyjść – upierał się mężczyzna. – Dzwoniła do mnie zaledwie dziesięć minut temu, sprawdziłem numer... Gdzie ona mieszka? Przepraszam, że tak nalegam, ale naprawdę mi zależy...

– Nie mam pojęcia, Herr Dieter...

– A kto z nią jest?

– Kilkoro znajomych... Zdaje się, że jutro wyjeżdżają.

– Ale ja muszę ją znaleźć.

– Bardzo żałuję, Herr Dieter, że nie jestem w stanie panu pomóc. – Odwiesił słuchawkę i odwróciwszy się, stanął oko w oko z Elszą. Weszła z tarasu, gdy usłyszała niemiecki język.

– Czemu to zrobiłeś, Andreasie? – spytała spokojnie.

– Pomyślałem, że tego właśnie sobie życzysz, ale jeśli się pomyliłem, telefon jest do twojej dyspozycji.

– Wcale się nie pomyliłeś. Miałaś absolutną rację i bardzo ci dziękuję. Dobrze, że spławiłeś Dietera. Zwykle jestem silna, ale dziś nie udźwignęłabym tej rozmowy.

– Wiem. Są dni, kiedy człowiek mówi albo za dużo, albo za mało. Najlepiej wtedy milczeć.

Telefon odezwał się znowu.

– Nadal nie wiesz, gdzie jestem – ostrzegła Andreasa Elsa.

– Jasne – odrzekł z lekkim ukłonem. Tym razem dzwonił Jorgis.

Dwadzieścia cztery ofiary śmiertelne: dwudziestu cudzoziemców i czterech mieszkańców wioski – oprócz Manosa także jego mały siostrzeniec, który wypłynął na jeden dzień, dumny, że może pomóc wujowi. Miał osiem lat. I jeszcze dwóch zatrudnionych na statku chłopaków, mających całe życie przed sobą...

– To dla ciebie bardzo smutny dzień, Andreasie – zauważyła z troską Elsa.

– Dla ciebie także nie najweselszy.

Siedzieli tam wciąż, każdy zatopiony we własnych myślach. Wydawało im się, że znają się od zawsze. Gadali, kiedy było o czym. Teraz odezwała się Elsa:

– Andreas? – Wyrzała na zewnątrz; tamci akurat rozmawiali i nie słyszeli jej słów.

– Tak?

– Zrobisz coś dla mnie?

– Jeśli tylko mogę.

– Napisz do Adoniego. Poproś, żeby wrócił do Agia Anna natychmiast. Opowiedz mu, że wasza wioska utraciła właśnie trzech młodych ludzi i chłopczyka, że potrzebny wam widok znajomej twarzy kogoś, kto jeszcze może wrócić...

Pokręcił z uporem głową.

– Nie, moja droga, nic z tego nie będzie.

– Chcesz powiedzieć że nie spróbujesz niczego w tej sprawie zrobić. A co gorszego mogłoby się wydarzyć? Najwyżej odpisze „nie, dziękuję”. To jeszcze nie koniec świata, w porównaniu z tym, co się tu dzisiaj stało.

– Dlaczego chcesz zmieniać życie ludzi, których nawet nie znasz?

Odrzuciła w tył głowi i parsknęła śmiechem.

– Ach, Andreasie, gdybyś mnie znał w moim prawdziwym życiu... Jestem wojującą dziennikarką, przynajmniej tak mnie nazywają w telewizji, bo moi przyjaciele uważają, że po prostu wścibiam nos w nie swoje sprawy. Zawsze próbuję ratować rodziny od rozbicia, dzieci od narkotyków, bronię uczciwej gry... Rozumiesz, odmienianie życia obcym ludziom to moja natura.

– I zawsze ci to wychodzi?

– Czasami. Dostatecznie często, aby nie rezygnować.

– A jednak wyjechałaś.

– Nie z powodu prac.

Zerknął na telefon, a ona od razu zrozumiała.

– Tak, masz rację, z powodu Dietera. To długa historia. Kiedyś tu wrócę i wszystko ci opowiem.

– Nie musisz.

– To dziwne, ale muce. Poza tym marzę, aby się dowiedzieć, że napisałeś do Adoniego. Przrzeknij, że to zrobisz.

- Nigdy nie wychodziło mi pisanie listów.
- To ci pomogę.
- Naprawdę?
- Mogę spróbować, chociaż pewnie mi nie wyjdzie.
- Mnie także – zasmucił się Andreas. – Czasem mi się wydaje, że znam właściwe wyrazy, że obejmuję go ramieniem, a on mówi „Tato!”... Ale kiedy indziej mam go przed oczami takiego sztywnego i hardego, rzuca mi wtedy w twarz, że wykrzyczanych słów nie da się cofnąć...
- Gdybyśmy mieli napisać, to tak, żeby powiedział „Tato!”.
- Ale i tak by się domyślił, że to nie ja piszę. Dobrze wie, że jego stary nie jest mocny w sowach.
- Często najważniejszy jest właściwy moment. Adoni przeczyta w gazecie, nawet w Chicago, o tej katastrofie w Agia Anna i będzie czekał na wiadomość od ciebie. Niektóre sprawy nas przerastają, liczą się bardziej niż nasze drobne potyczki.
- Czy to samo odnosi się do ciebie i Herr Dietera?
- Nie. – Pokręciła energicznie głową. – To całkiem co innego. Kiedyś ci opowiem, przyrzekam.
- Naprawdę nie ma potrzeby.
- Jesteś moim przyjacielem, chcę, żebyś wiedział. Ale już nadchodzili pozostali.
- Musisz się przespać, Andreasie – przemówił Thomas jako rzecznik grupy. – Jutro czeka cię trudny dzień.
- Chyba zejdziemy na dół, do naszych kwater – zaczął

David.

– Mój brat Jorgis już wysłał po was wóz. Uprzedziłem go, że mam tu przyjaciół, których trzeba odwiedzić, to długa droga.

– To może teraz się rozliczymy? W końcujemy tu i pijemy przez cały dzień...

– Jak powiedziałem Jorgisowi, jesteście przyjaciółmi. Przyjaciele nie płacą za poczęstunek – odrzekł Andreas z godnością.

Przyjrzeni mu się uważnie: stary, lekko zgarbiony, wygląda na niezamożnego. Urabia sobie ręce po łokcie dla jednorodnych klientów... Muszą mu zapłacić... a jednak nie chcieliby go urazić.

– Rozumiesz, Andreasie, źle byśmy się czuli, nie uczestnicząc w kosztach wspólnego posiłku – przekonywała go Fiona.

Shane był innego zdania.

– Ogłuchliście? Facet nie chce naszej kasy. – Powiódł wzrokiem po twarzach ludzi, którym nie mieściło się w głowach, że mogliby cały dzień jeść i pić za darmo.

Elsa przemówiła wolno i dobitnie. Wiedziała, jak skupić na sobie ich uwagę. Wszyscy umilkli, widząc, że lży jej się cisną do oczu.

– A co byście powiedzieli, gdybyśmy urządzili zbiórkę na rzecz rodziny Manosa, jego małego siostrzeńca i pozostałych ludzi z miasteczka, którzy zginęli dziś na naszych oczach? Na pewno powstanie jakiś fundusz. Możemy wpłacić tyle, ile wydaliśmy na posiłek i napoje w innej tawernie, a potem wło-

żymy pieniądze do koperty i napiszemy: „Od przyjaciół Andreasa”.

Fiona znalazła w torbie kopertę. Wszyscy bez słowa wysypali na talerz swoje euro. Ze wzgórza dobiegał już warkot furgonetki.

– Ty napisz, Elso – zaproponowała Fiona. Elsa pewną ręką napisała, co trzeba.

– Szkoda, że nie umiem po grecku – szepnęła do Andreasa, patrząc na niego tak, jakby łączył ich wspólny sekret.

– Nie szkodzi, i tak jesteście wspaniali... Język tu nie gra roli – zapewnił ich ze ściśniętym gardłem. – Ja nigdy nie byłem dobry w listach.

– Tylko pierwsze słowa są trudne – upierała się Elsa.

– Mógłbym zacząć: „*Adoni mou*” – rzekł z wahaniem.

– To już jesteś w połowie drogi. – Objęła go szybko, zanim powiadali do furgonetki i zaczęli zjeżdżać do miejsciny, która tak bardzo się zmieniła od poprzedniej nocy, chociaż gwiazdy świeciły zupełnie tak samo.

### Rozdział 3

Jechali w ciszy, przerywanej tylko dudnieniem małego vana na wybojach. Wszyscy czuli, że nie zapomną tej nocy, która zapadła po długim, wyczerpującym dniu. Zbyt wiele dowiedzieli się o sobie nawzajem, by teraz mogli czuć się swobodnie w swoim towarzystwie, ale mieli nadzieję, że jeszcze kiedyś spotkają się ze starym Andreasem. Powiedział im, że ma motorower z przyczepką i codziennie zjeżdża nim do miasteczka po zakupy.

Żadne z nich nie spało dobrze tej nocy. Jedyna rzecz, jaka ich zjednoczyła, to ta, że nie mogli uleżeć w swoich pokojach pod ciepłym śródziemnomorskim niebem. Rzucali się i przewracali z boku na bok, mieli wrażenie, że gwiazdy świecą zbyt jasno, a ich promienie zbyt natrętnie przenikają do sypialń: miliony świetlnych punkcików utrudniających nadejście tak bardzo potrzebnego snu.

Elsa stała na małym balkonie i patrzyła na ciemne morze. Zatrzymała się w Studio Apartments, prowadzonym przez młodego Greka, który wiedzę na temat interesów w nieruchomościach zyskał na Florydzie, po czym wrócił do kraju z pomysłem postawienia sześciu niewielkich samodzielnych pawilonów: proste meble, na drewnianej podłodze greckie dywaniki, kolorowa miejscowa ceramika na półkach. Żaden balkon nie



wychodził na inne. Dużo sobie liczył, jak na standardy Agia Anna, ale zawsze miał komplet gości.

Elsa zobaczyła ogłoszenie w magazynie turystycznym i nie doznała zawodu.

Z balkonu ciemne morze wyglądało tak kojąco i bezpiecznie, chociaż zaraz za portem zginęły dziś dwadzieścia cztery osoby; te same fale nie wzniosły się na tyle wysoko, by ugasić płomienie.

Po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego ktoś bardzo smutny i samotny mógłby chcieć zakończyć życie w morskich falach. Oczywiście to głupota, bo przecież w utonięciu nie ma nic romantycznego. Elsa wiedziała, że nie jest to kwestia zamknięcia oczu i poddania się łagodnej wodzie, która uniosłaby nas daleko od problemów życia. Człowiek miota się, walczy o oddech, wpada w panikę. Czy ona sama była szczerą, mówiąc Dieterowi w nagranej wiadomości o swoim żalu, że także się nie utopiła?

Nie, tak naprawdę wcale tego nie pragnęła. Nie chciała walczyć ze wszystkich sił z wszechwładnym morskim żywiołem.

A jednak... jednak rozwiązałyby to obecne problemy, uporządkowało fatalną sytuację, od której uciekła w takim popłochu, a która I tak wciąż podążała jej śladem. Elsa wiedziała, że nie zaśnie przez wiele godzin, więc nie widziała powodu, aby się kłaść. Wzięła sobie krzesło i usiadła z łokciami na żeliwnym balkoniku, zapatrzona we wzory, jakie promienie księżycy ma-

lowały na wodzie.

W pokoiku Davida było gorąco i duszno. Dotąd mu to nie przeszkadzało, ale dzisiaj nie mógł wytrzymać. Mieszkańcy domu zawodzili zbyt głośno, by ktokolwiek był w stanie zasnąć. Na statku Manosa zginął ich syn.

Kiedy David wszedł do domu i zobaczył, jak rodzina i przyjaciele zmarłego wzajemnie się pocieszają, po prostu go zamurowało. Niezdarnie uścisnął im ręce, szukając w głowie właściwych słów, aby wyrazić to, co i tak się nie dało powiedzieć. Bardzo słabo mówili po angielsku i patrzyli nań błędnym wzrokiem, jakby widzieli go po raz pierwszy. Prawie nie zauważyli, kiedy wyszedł, aby pospacerować i pooddychać nocnym powietrzem. Ich żal był zbyt wielki.

Ciekawe, co by się działo, gdyby to on tam zginął. Tak łatwo mogło do tego dojść! Po prostu wybrał ten a nie inny dzień na wycieczkę. Życie ludzi zmienia się bądź kończy dzięki tego rodzaju przypadkowym wyborom.

Czy w jego domu także wszyscy by tak zawodzili? Czy ojciec kołysałby się w przód i w tył z rozpaczy? Czy raczej oświadczyłby surowo, że chłopak podjął taką decyzję, więc sam jest winien swojej śmierci?

Krążąc tak po ogarniętym żałobą miasteczku, poczuł nagły przypływ niepokoju. Może uda się spotkać kogoś z tych, z którymi spędził cały ten dzień? Oczywiście nie tego okropnego

Shane'a, ale kogokolwiek z pozostałych.

A gdyby tak wpaść do jakiejś małej tawerny, gdzie goście nadal rozmawiają o tych strasznych wydarzeniach? Chętnie zamieniłby z Fioną parę słów na temat Irlandii, kraju, który zawsze chciał zobaczyć. Mógłby nawet zapytać ją o pracę. Czy rzeczywiście pielęgniarstwo to taki wspaniały zawód, jak się mówi? Czy ona naprawdę czuje radość, kiedy stan pacjenta się poprawia? Czy taki pacjent pamięta później o pielęgniarce, śle listy z podziękowaniem? Czy Anglicy w Irlandii są mile widziani jako turyści lub pracownicy, czy cała ta wrogość wygasła? Czy w zachodniej Irlandii są organizowane jakieś kursy rękodzieła? David często myślał o tym, by zostać garncarzem. Robić coś własnymi rękami, byle co, aby tylko jak najdalej od świata finansjery.

Mógłby też zapytać Thomasa o jego pisanie. Jaki rodzaj uprawia, czemu tak długo chce być poza uczelnią, jak często zamierza widywać się z synkiem?

David uwielbiał słuchać ludzkich historii. Dlatego tak fatalnie mu poszło w inwestycyjnej spółce ojca.

Klienci żądali, aby im doradzał, jak mają dysponować swoim majątkiem. Davida zaś znacznie bardziej interesowały ich domy jako siedliska rodziny, a nie jako inwestycje. Ludzi, którym zależało wyłącznie na szybkim zysku, denerwowało wypytywanie, czy mają psa albo sad.

Chodząc po miasteczku, zobaczył na balkonie Elbę, ale jej

nie zawołał. Wydawała się taka chłodna i opanowana: zapewne ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała w środku nocy, było towarzystwo takiego niewydarzonego głupka jak on.

Thomas wynajął sobie na dwa tygodnie małe mieszkanie nad sklepem z rękodziełem. Właścicielką była ekscentryczna kobieta imieniem Vonni, mniej więcej pod pięćdziesiątkę, ubrana zawsze w kwiecistą spódnicę i czarny t-shirt. Patrząc na tą kobietę, człowiek miał chęć dać jej parę monet na jedzenie, lecz to do niej należał luksusowy apartament, który wynajmowała turystom, wraz z kosztownym umeblowaniem, cennymi figurkami oraz obrazami.

Vonni – jak zrozumiał Thomas – pochodziła z Irlandii, ale nie lubiła mówić o sobie. Była idealną gospodynią, mieszkanie zostawiła mu do wyłącznej dyspozycji. Zaproponowała, że będzie odnosić jego ubrania do tutejszej pralni, czasem też zostawiała na progu koszyk winogron albo miseczkę oliwek.

– A gdzie pani się podzieje w tym czasie? – spytał na początku.

– Sypiam pod gołym niebem – brzmiała odpowiedź.

Thomas nie wiedział, czy kobieta żartuje, czy też po prostu ma źle w głowie. Więcej nie zadawał jej pytań – podobało mu się to mieszkanie.

Podobałoby mu się pewnie i gdzie indziej, gdzie płaciłby jedną dziesiątą tego co tutaj, ale zależało mu na telefonie, w

razie gdyby Bill chciał się z nim skontaktować.

W Stanach zawsze wzbraniał się przed komórką, która jego zdaniem zmieniała wielu ludzi w niewolników. Uważał, że tego rodzaju telefon przeszkadzałby mu podczas podróży, zresztą wciąż się słyszało narzekania na temat braku zasięgu w różnych odległych miejscach. I czy to takie ważne, ile euro wyda na mieszkanie z telefonem? Na co więcej miał wydawać swoją profesorską pensję, tym bardziej że ostatnio także jego poezje zaczynały przynosić dochód?

Za jego podróże i nadsyłane z dowolnego miejsca artykuły płacił prestiżowy magazyn. Był to idealny układ, z którego Thomas korzystał, kiedy pragnął wyrwać się z kraju, a tego właśnie ostatnio rozpaczliwie potrzebował. Chciał napisać o Agia Anna, ale jutro zwali się tu prasa z całego świata i wyspa stanie się już powszechnie znana.

Kiedyś myślał, że potrafi żyć w tym samym mieście, co była żona, widywać się możliwie jak najczęściej z Billem, utrzymując jednocześnie poprawne, cywilizowane stosunki z Shirley. Przecież już jej nie kochał, więc grzeczność przyjdzie mu z łatwością.

Często podziwiano ich za to, że zachowali taki spokój, w przeciwieństwie do innych par, które po rozstaniu wciąż ziały do siebie niechęcią.

Ale teraz sprawy wyglądały inaczej.

Nowym przyjacielem Shirley został Andy, sprzedawca sa-

mochodów, którego poznała w siłowni. Kiedy oznajmiła, że wychodzi za niego za mąż, wszystko się zmieniło.

Krótko mówiąc, byłoby wygodniej, gdyby Thomas nie kręcił się w pobliżu.

Znalazła prawdziwą miłość, taką na całe życie. Ma nadzieję, że on także ożeni się po raz drugi.

Pamiętał, jaką goryczą nappełnił go protekcyjny ton, jakim to powiedziała. Zupełnie jakby przedstawiała meble.

Sam się dziwił, skąd w nim tyle agresji. Andy nie był taki zły, po prostu zbyt łatwo uwił sobie gniazdko w domu, który Thomas kupił dla siebie, Shirley i Billa.

– Tak naprawdę będzie najwygodniej – przekonywała go Shirley.

Bill uważał, że Andy to równy gość, i rzeczywiście taki właśnie był: równy. Miał fioła na punkcie sportu i nie przepadał za książkami. Nie czytał z Billem wieczorami, nie proponował: „Wybierz, na co masz ochotę i razem sobie poczytamy”.

Prawdę rzekłszy, Andy także wyczuwał niezręczność sytuacji. Zapropował, aby Thomas odwiedzał Billa między piątą a siódmą, kiedy on, Andy, ćwiczy w siłowni.

To było całkiem rozsądne, wręcz taktowne, ale Thomas zirytował się tylko jeszcze bardziej. Zupełnie jakby go „uprzątnięto”, przestawiono na miejsce, z którego nie będzie mógł zakłócać ich życia. Z każdą wizytą coraz bardziej nienawidził tego domu: słoiki z witaminami i odżywkami walające się po całej

kuchni i łazience, w garażu symulatory do wiosłowania, na stoliku do kawy magazyny o tematyce zdrowotnej i fitnessowej.

Kiedy nadarzyła się okazja wyjazdu, Thomas zdecydował się ją wykorzystać. Może utrzymywać z Billem kontakty telefoniczne, listowne, e-mailowe, a sam nie będzie się aż tak szarpał i wściekał.

Przekonał siebie samego, że tak będzie najlepiej dla wszystkich.

I przez pierwszych kilka tygodni rzeczywiście szło jak z płatka. Nie budził się już ze złością w sercu, nie dostawał szału na myśl o zmianach w życiu syna, oderwanie od tamtych spraw naprawdę okazało się czymś dobrym.

Jednak dzisiejsze wypadki wszystko zmieniły. Tak wiele ofiar, całe miasteczko pogrążone w żałobie, z portu wiatr niesie odgłosy płaczu i rozpacz...

Nie ma mowy o śnie. Myśli kłębią się w głowie niczym rój wściekłych owadów.

Przez całą noc krążył po mieszkaniu Vonni. Czasem zerkał na kurnik w końcu zarośniętego winoroślą ogródka. Raz i drugi wydało mu się, że dostrzega w okienku rozczochraną głowę... ale w końcu mogła to być jakaś stara kwoka.

Fiona także nie mogła zasnąć. Położony w pewnej odległości od miasteczka ciasny domek, w którym zamieszkali, należał do chudej, nerwowej kobiety imieniem Eleni, matki trzech

chłopczyków. Nie było tam natomiast ani śladu męża. Zwykle nie przyjmowała turystów, Fiona i Shane zanim tam dotarli, pukali do różnych drzwi, oferując kilka euro za jeden nocleg. Shane był niewzruszony; nie dysponowali dostateczną kwotą, by trwonić kasę na takie luksusy jak hotel. Muszą łapać możliwie najtańszą ofertę.

I właśnie prymitywny domek Eleni okazał się najtańszy.

Teraz Shane spał rozwalony na krzesło – tylko jemu jednemu udało się zaznać nocnego odpoczynku. Fiona nie mogła zmrzyć oka, bo wcześniej Shane ni z gruszki, ni z pietruszki zapowiedział, że jutro się stąd wynoszą.

Wprawilo ją to w przerażenie.

Z początku oboje myśleli, że zatrzymają się na dłużej w Agia Anna, a teraz nagle on zmienił zdanie.

– Nie, nie możemy zostać. Po tym wszystkim nie idzie tu wytrzymać. Skoczmy do Aten, złapiemy jutro jakąś łajbę...

– Ale Ateny to duże miasto, będzie straszny upał – protestowała nieśmiało.

Shane jednak oświadczył, że ma tam kumpla i koniecznie musi się z nim spotkać.

Nic nie wspominał o żadnym kumplu, kiedy miesiąc wcześniej wypływali z kraju. Ale Fiona wiedziała z doświadczenia, że nieroztropnie jest psuć Shane’owi humor z powodu takiego drobiazgu.

Zresztą w zasadzie i tak wszystko jedno, czy będą tutaj, czy



w Atenach. Chodziło o to, że miała chęć wybrać się na pogrzeb Manosa, przystojnego, seksownego Greka, który uszczypnął ją w tyłek i szepnął, że jest *orea*, czyli cudowna, piękna.

To był prosty facet, ale pogodny, wesoły, każdą kobietę uważał za *orea*, pił wino z butelki, tańczył zorbę, jego zdjęcia trafiały do albumów rozsianych po całym świecie.

Nie wyrządził nikomu żadnej krzywdy, nie zasłużył na taką śmierć – ani on, ani jego mały siostrzeniec, ani nikt spośród jego kolegów czy turystów, którzy tak świetnie się bawili na wycieczce.

Poza tym Fiona chętnie spotkałaby się z poznanymi dziś ludźmi. Stary Andreas, taki miły, taki wielkoduszny... Thomas, profesor college'u – mądry, porządny człowiek... Może nawet udałoby się jej skłonić Davida do większej otwartości.

A jeśli chodzi o Elbę...

Fiona nigdy nikogo tak nie podziwiała. Jak ona wie, co i kiedy powiedzieć! Nie nosi obrączki, a pewnie zbliża się do trzydziestki. Ciekawe, do kogo w Niemczech telefonowała...

Shane nadal spał na krześle.

Fiona wolałaby, żeby nie wyskakiwał z trawką przy Andreasie i tamtych. I żeby był dla nich odrobinę miłszy. Potrafi czasem być taki uszczypliwy i trudny! Ale z drugiej strony, jakież pogmatwane, pozbawione miłości miał życie...

To znaczy, póki nie poznał jej, Fiony. Tylko ona wiedziała, jak dotrzeć do prawdziwego Shane'a. Pokój był strasznie ciasny

i duszny.

Szkoda, że nie mogli wynająć nic lepszego. Może wtedy Shane nie chciałby się już jutro wyprowadzać.

Tej nocy, kiedy nad zatoką świeciły gwiazdy, Andreas napisał list. Ułożył kilka wersji i w końcu uznał, że ostatnia jest najlepsza. Rano pierwszy list, jaki w ciągu dziewięciu lat napisał do swego syna w Chicago, był gotów do wysyłki.

Kiedy wzeszło słońce, Andreas wyciągnął swój motorower i wyruszył do miasteczka.

Kiedy nad Agia Anna wzeszło słońce, w gustownym apartamencie nad sklepem rękodzielniczym zadzwonił telefon. Do Thomasa odezwał się jego syn Bill.

– Tato, wszystko w porządku?

– Tak, synu, w jak najlepszym. Dzięki za telefon. Mama dała ci numer?

– Jest na tablicy. Tylko mama mówi, że u ciebie zawsze jest środek nocy. Ale Andy uważał, że powinienem spróbować.

– Podziękuj mu ode mnie.

– Dobrze, tato. Wiesz, kiedy zobaczyłem ten pożar w telewizji, Andy wyciągnął mapę świata i pokazał mi, gdzie mniej więcej jesteś. To musiało być straszne!

– Cóż, raczej smutne.

– Daleko wyjechałeś, tato.

Tak bardzo chciał być teraz przy swoim synku. Czuł prawdziwy żal, jednak musiał być wesół, bo inaczej co za sens tego wszystkiego?

– W dzisiejszych czasach nigdzie nie jest daleko, Bill. Zawsze można zadzwonić. Słyszę cię, jakbyś był w sąsiednim pokoju!

– Taak, wiem, a ty zawsze lubieś podróże – przyznał chłopiec.

– Owszem, ty też je kiedyś polubisz.

– Jasne. Aha, dzwoniłem do babci. Powiedziałem jej, że nic ci nie jest, i ona kazała, żebyś uważał.

– Będę uważał, Bill, możesz mi wierzyć.

– Muszę lecieć. To cześć, tato.

I koniec. Ale słońce już weszło i zapowiadał się piękny dzień. Jego syn telefonował... Thomas czuł, że żyje, i po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł też, jakie wszystko jest dobre.

Kiedy nad Agia Anna weszło słońce, Fiona poszła do łazienki i nagle uświadomiła sobie, że jej okres spóźnia się już aż sześć dni.

Kiedy nad Agia Anna weszło słońce, Elsa powędrowała w stronę portu. Koło cerkiewki, która przejściowo pełniła funkcję kostnicy, skręciła za róg i nagle z przerażeniem zobaczyła wśród tłumu pasażerów z Aten ekipę niemieckiej telewizji – z jej matczynej stacji! Właśnie fotografowali z zapalą dogasający

wrak, który przyholowano do portu.

Znała ich kamerzystę oraz dźwiękowca, oni też na pewno by ją rozpoznali, gdyby ją zauważyli, a wtedy Dieter dowiedziałby się, gdzie jest Elsa i byłby tu w przeciagu kilku godzin.

Wycofała się do małej kafejki i rozejrzała w popłochu dookoła.

W środku siedzieli mężczyźni grający w coś w rodzaju tryktraka – nie ma co liczyć na ich pomoc. Nagle przy jednym stoliku dostrzegła Davida, poznanego wczoraj smutnego Anglika, który martwił się, że nie spełnia oczekiwań swego ojca.

– David...

Wyraźnie się ucieszył na jej widok.

– Słuchaj, czy mógłbyś sprowadzić taksówkę? Nie mogę stąd wyjść, tam są ludzie, z którymi nie chcę się spotkać. Zrób to dla mnie, proszę...

Wydawał się zaskoczony, że zachowuje się tak inaczej – w porównaniu z wczorajszym wieczorem jest wytrącona z równowagi. Ale odniósł się ze zrozumieniem do jej prośby.

– Mam powiedzieć, że dokąd chcesz jechać?

– A ty dokąd się dziś wybierasz? – spytała nerwowo.

– Jakies pięćdziesiąt kilometrów stąd jest mała świątynia, a przy niej kolonia artystów, Tri... Tri... mniejsza o nazwę, nad taką niedużą zatoczką. Chciałem pojechać tam autobusem.

– Pojedziemy razem taksówką – zdecydowała Elsa.

– Nie, Elso, lepiej autobusem, taksówka kosztowałaby ma-

jątek.

– Ja mam taki majątek, naprawdę. – Wręczyła mu plik banknotów. – Proszę, Davidzie, bądź facetem z ikłą i działaj, teraz, natychmiast... – Zobaczyła, że mina mu zrzedła. Czemu mówiła do niego tak oschle, tak szorstko, zupełnie jakby dawała mu do zrozumienia, że jest mięczakiem? – Chcę powiedzieć – dodała szybko – że może to szaleństwo zwracać się z taką prośbą do ledwie poznanego faceta, ale naprawdę potrzebuję pomocy. Wszystko ci wyjaśnię po drodze. Nie popełniłam żadnego przestępstwa ani w ogóle nie zrobiłam nic – złego, ale mam kłopoty i jeśli mi nie pomożesz, to naprawdę nie wiem, co zrobić. – Mówiła prosto z serca, nie grała, chociaż z takim samym przejęciem, jakie prezentowała przed kamerą.

– Na placu stoi cały rząd taksówek – powiedział David. – Wracam za pięć minut.

Elsa siedziała w mrocznej kafejce, nie zdając sobie sprawy, że oczy wszystkich zebranych zwrócone są w stronę wysokiej blond bogini, która wtargnęła do tego nieprawdopodobnego miejsca, wręczyła nerwowemu okularnikowi równowartość ich rocznych dochodów, a teraz czekała przy stoliku z twarzą ukrytą w dłoniach.

## Rozdział 4

Fiona długo czekała, aż Shane się obudzi. Leżał rozwalony na krześle, z otwartymi ustami i lepiącymi się do czoła, wilgotnymi włosami.

Wyglądał tak bezbrinnie podczas snu. Miała wielką ochotę pogłaskać go po twarzy, ale z drugiej strony, nie chciała, żeby się za wcześnie obudził.

W pokoju było gorąco i duszno, domownicy trzymali w nim swoje ubrania, więc śmierdziało jak w sklepie z używaną odzieżą.

Z dołu dobiegał głos Eleni, która z oczami czerwonymi od płaczu wołała swoich trzech synków. Wciąż wpadały sąsiadki i wyraźnie zszokowane, roztrząsały w kółko wczorajszą tragedię.

Fiona wołała im nie przeszkadzać, więc nie schodziła do kuchni. Poczekaj, aż Shane się obudzi i będzie gotów do wyjścia.

Kiedy wreszcie oprzytomniał, był w nie najlepszym humorze.

– Czemu, do diabła, pozwoliłaś mi spać na krześle? – spytał, rozcierając kark. – Zesztywniałem na kość!

– Chodźmy trochę popływać, zaraz poczujesz się lepiej – namawiała.

– Łatwo ci mówić, jak się wylegiwałaś przez całą noc w łóżku! Nie była to odpowiednia pora, by wyznać, że nie mogła

zmrzyć oka, bo myślała o biednym Manosie, którego ciało spoczywało w miejscowej cerkiewce obok małego siostrzeńca i wielu innych ofiar. A już na pewno nie pora na wiadomość o prawdopodobieństwie ciąży. Ta sprawa musi poczekać, aż Shane na dobre się obudzi i przestanie narzekać na ból ramion.

Tak czy inaczej, jadą dziś do Aten, sam tak powiedział. Ma się tam z kimś spotkać i coś załatwić.

– Spakujemy się przed śniadaniem? – spytała.

– Spakujemy? Po cholere? Może zapomniał o całej sprawie.

– Nie zwracaj na mnie uwagi, ja i tak nie wiem, gdzie jestem przez większość czasu – odrzekła ze śmiechem.

– Powiedz to jeszcze raz... Słuchaj, położę się teraz na chwilę, a ty zorganizujesz jakąś kawę, okej?

– Do kafejki kawał drogi. Wystygnie, zanim wrócę.

– Dajże spokój, Fiono, poproś tych z dołu! To tylko głupia kawa, ty przecież masz w małym palcu te różne „proszę” i „dziękuję”, które oni tak lubią.

Większość ludzi je lubi, pomyślała Fiona, chociaż nie powiedziała tego na głos.

– Prześpij się parę godzin – poradziła mu, ale nie usłyszał, bo już spał.

Poszła wzdłuż plaży do miasteczka, rozkopując bosymi stopami ciepły piasek na krawędzi wody i pozwalając, by fale lizaly jej palce. Nie mogła wprost uwierzyć w to, co się działo. Fiona Ryan, najrozsądniejsza z całej rodziny, najbardziej odpo-

wiedzialna pielęgniarka na oddziale, rzuciła posadę, by wyjechać z facetem, przed którym wszyscy ją ostrzegali.

I na dodatek możliwe, że jest w ciąży.

Nie tylko matka sprzeciwiała się związkowi Fiony z Shane'em. Przyjaciółki, łącznie z Barbarą, najlepszą kumpelą od szóstego roku życia, koleżanki z pracy oraz młodsze siostry także nie mogły się z tym pogodzić.

Ale co one wiedzą?

Przecież miłość nigdy nie może obejść się bez komplikacji. Wystarczy wspomnieć którąkolwiek z wielkich historii miłosnych, by to zrozumieć. Miłość nie ma nic wspólnego z poznanie „stosownej” osoby, kogoś, kto mieszka w pobliżu, ma dobrą posadę, planuje długie narzeczeństwo i wspólne oszczędzanie na kaucję za dom.

Takie coś to nie miłość, tylko kompromis.

Pomyślała o możliwości ciąży i serce w niej podskoczyło. Ostatnio zdarzyło im się kilka razy nie uważać. Ale przecież dawniej też tak bywało, i nic...

Przyłożyła dłoń do płaskiego brzucha. Czy to możliwe, że rośnie w nim punkcik, który stanie się dzieckiem w połowie Shane'a, a w połowie jej? To coś niesamowitego, wprost nie do wyobrażenia!

Na plaży przed sobą zobaczyła dziwaczne workowate szorty i za długi t-shirt Thomasa, sympatycznego Amerykanina, z którym spędzili wczorajszy dzień.



Rozpoznał ją od razu.

– Wyglądasz na szczęśliwą! – krzyknął.

– Bo jestem.

Nie podała mu wszystkich powodów, nie zwierzyła się z szalonych, wspaniałych marzeń, jakiś wypełniały jej głowę: zamieszkają w Agia Anna, ich dziecko wychowa się wśród tu-tejszych ludzi, Shane znajdzie sobie pracę na kutrze rybackim albo w restauracji, ona zatrudni się jako pomoc miejscowego lekarza, może zostanie położną. To wszystko kwestia przyszłości, planów, które przedyskutują z Shane'em później, kiedy ten wypije już kawę.. tak, wtedy dopiero mu powie.

– Synek dzwonił do mnie ze Stanów. Odbyliśmy długą rozmowę. – Thomas nie mógł wytrzymać, musiał podzielić się dobrą nowiną.

– Bardzo się cieszę!

Ten człowiek przejmuje się tylko jednym: chłopczykiem o imieniu Bill, którego zdjęcie Dokazał im wczoraj. Chłopiec jak każdy – blond włosy, wyszczerzone w uśmiechu zęby, ale dla Thomasa ósmy cud świata, jak dla każdego ojca.

Przerwała jednak te rozważania.

– Wiesz, tak sobie myślałam, że on może oddzwonić. Czułam to, kiedy o nim opowiadałeś.

– Trzeba to uczcić. Postawię ci kawę, dobrze?

Weszli do małej tawerny przy plaży. Rozmawiali swobodnie, tak samo jak wczoraj, o niedawnej tragedii, o tym jak trud-

no było im zasnąć i uwierzyć, że ci wszyscy ludzie też pewnie zaczęli wczoraj swój dzień od kawy w takiej samej tawernie, a teraz leżą martwi w cerkwi...

Fiona wyjaśniła, że szła do miasteczka po chleb i miód na śniadanie. Ewentualnie podzieli się zakupami z Eleni, to może gospodyni w rewanżu pozwoli jej zaparzyć Shane'owi filiżankę kawy.

– Mieliśmy dziś wyjechać do Aten, ale chyba Shane jest za bardzo zmęczony. Właściwie s pewnych względów nawet się z tego cieszę. Podoba mi się to miejsce. Chcę tu zostać na dłużej.

– Ja także. Zamierzam pochodzić po tych wzgórzach i z jakiegoś powodu chciałbym wziąć udział w pogrzebie.

Spojrzała na niego z ciekawością.

– Ja tak samo. I wcale nie z makabrycznej ciekawości, żeby zobaczyć to wszystko na żywo. Chciałam w tym uczestniczyć.

– Chciałaś? To znaczy, że jednak nie zostaniesz?

– No... Na razie nie wiadomo, kiedy to będzie, a jak mówiłam, Shane chce jechać do Aten.

– Ale przecież skoro ty chcesz... – Thomas zawiesił głos. Fiona zauważyła jego minę. Taka sama pojawiała się na twarzy wszystkich, gdy tylko poznali Shane'a.

– Dziękuję za kawę – powiedziała, wstając. – Pójdę już. Wydawał się zawiedziony, chyba chciał, żeby jeszcze została.

Ona też chętnie pogawędziłaby z tym sympatycznym, bezpośrednim człowiekiem, nie mogła jednak ryzykować, że Shane

się obudzi i nie zastanie jej w pokoju.

– Słuchaj, czy mogłabym zostawić ci trochę pieniędzy na kwiaty, na wypadek, gdyby... no, gdyby inni też je kupili.

Nadstawił dłoń. Wiedział, że u tych dwojga krucho z forszą.

– Oczywiście... Z przyjemnością kupię kwiaty i dołączę napis: „Odpoczywajcie w pokoju – Fiona z Irlandii”.

– Dziękuję, a jeśli zobaczysz Davida i Elbę...

– To ich od was pożegnam i powiem, że musieliście jechać do Aten – dokończył za nią łagodnie.

– Byli bardzo mili, zresztą wszyscy jesteście super... Ciekawe, gdzie też się podziewają?

– Widziałem, jak rano wyjeżdżali gdzieś taksówką. Ale to małe miasteczko, na pewno się jeszcze spotkamy.

Patrzył z westchnieniem, jak Fiona kupuje wielki ciepły bochen chleba i mały pojemnik miodu dla tego egoisty. Profesor, poeta, pisarz – a wciąż nie rozumiał najprostszych rzeczy na temat życia i miłości.

Na przykład dlaczego Shirley uważała go za zimnego i powściągliwego, a w tym głupku Andym widziała uroczego kompana? Wspominając wczorajsze rozmowy o zachodzie słońca, Thomas doszedł do wniosku, że nie rozumie także i tego, co nowi znajomi opowiadali o swoim życiu. Weźmy takiego ojca Davida, który powinien być dumny i szczęśliwy, że ma takiego syna, a trzyma chłopaka na odległość ramienia i mówi mu tylko złe, krzywdzące słowa.

Thomas nie miał pojęcia, co się przydarzyło tej olśniewającej Niemce Elsie, że uciekła ze swego kraju i ma w oczach taki popłoch.

Nigdy nawet nie zacznie rozumieć takich spraw, stwierdził z rezygnacją. Lepiej nie próbować.

Podniósł głowę i zobaczył, że przez ulicę przechodzi Vonni.

– *Yassu*, Thomas!

– *Yassu...* Co za straszne nieszczęście! Pewnie znałaś tego Manosa?

– Tak, znałam go jako malucha, potem jako ucznia. Zawsze był z niego łobuz. Podkradał mi różne rzeczy z ogrodu, więc go w nim zatrudniłam. I wtedy się ustatkował. – Wspomnienie sprawiło jej wyraźną przyjemność.

Thomas poczuł chęć, by z nią pogadać, zapytać, czemu przyjechała na tę wyspę, ale w Vonni było coś takiego, co zniechęcało do poufałości. Zawsze miała w zanadrzu jakąś ciętą ripostę, która zbijała człowieka z tropu.

– No cóż, dziś stoi przed Bogiem i jak znam Manosa, to Jego też oczaruje... – Wzruszyła ramionami i odeszła.

Thomas zrozumiał, że to koniec rozmowy. Patrzył, jak Vonni wędruje ulicą do swego sklepu z rękodziełem. Pewnie nie zarobi dziś kokosów. Ciekawe, czy w ogóle zechce otworzyć sklepik.

Zobaczył, jak wymienia uściski dłoni z przechodniami – swobodna i zadowolona w miasteczku.

W taksówce Elsa pochyliła się i zakryła głowę szalem. Nie zdjęła go, póki nie wyjechali z miasta. Dopiero wtedy się wyprostowała, ale na jej twarzy widać było napięcie i niepokój.

– Może ci opowiedzieć o miejscowości, do której jedziemy?  
– zaproponował David.

– Dziękuję, świetny pomysł. – Oparła się wygodnie i zamknęła oczy, podczas gdy zasypywał ją informacjami.

Znajdowała się tam jakaś mało znana świątynia, którą częściowo odkopano, ale kiedy fundusze się skończyły, teren wykopalisk pozostawiono na pół odsłonięty. Nikt nie wiedział zbyt wiele na temat tej budowli, prace renowacyjne były dopiero w początkowym stadium. Niektórzy jednak uważali, że warto się tam wybrać.

Natomiast kolonia artystów powstała wiele lat temu i nadal mocno się trzymała. Nawet teraz zjeżdżali tam z całego świata twórcy srebrnej biżuterii i ceramiki. Nie dali się całkowicie skomercjalizować, a swoje wyroby wozili na sprzedaż do miasteczka.

Opowiadając to wszystko, David zerkał od czasu do czasu na twarz Elsy. Wydawała się spokojna i odprężona. Oczywiście nie chciała mu powiedzieć, czego się wystraszyła, więc nie będzie jej wypytywał. Lepiej snuć dalej opowieść o celu ich wyprawy.

– Czy ja cię czasem nie nudzę? – spytał nagle.

– Nie, skąd taki pomysł? To takie relaksujące, co mówisz – odrzekła z lekkim uśmiechem.

Davidowi to pochlebiło.

– Ja często zanudzam ludzi – wyznał szczerze. Wcale nie użalał się nad sobą ani nie oczekiwał zaprzeczenia, po prostu stwierdzał fakt.

– Wątpię. Myślę, że działasz na nich pokojowo. Dobrze się wyraziłam? Może powinnam powiedzieć: „uspokajająco”?

– Podoba mi się „pokojowo”.

Poklepała go po ręce i kontynuowali jazdę w koleżeńskej atmosferze, obserwując po jednej stronie chodzące po urwistym zboczu kozy, a po drugiej lśniącej błękitem morze. Morze, które wyglądało dziś niewinnie i zachęcająco, a zaledwie wczoraj odebrało życie tylu istotom ludzkim.

– Kiedy będzie pogrzeb? – spytała Elsa taksówkarza. Zrozumiał pytanie, ale nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

– *Avrio* ?

– *Avrio* ? – powtórzyła.

– Czyli jutro – przetłumaczył David. – Właśnie nauczyłem się pięćdziesięciu słów – dodał tonem usprawiedliwienia.

– To o czterdzieści pięć więcej niż ja. – Na twarzy Elsy ukazał się cień dawnego uśmiechu. – *Efharisto*, mój przyjacielu, *efharisto poli*.

Jechali dalej gruntową, pełną pyłu drogą. Przyjaciele, prawdę.

Po kawie i chlebie z miodem Shane poczuł się znacznie lepiej. Oświadczył, że zostaną jeszcze dzień w tym zwariowanym miejscu, a jutro wyruszą do Aten. Statki odpływają z portu co dwie godziny, więc to żaden problem.

Zastanawiał się, gdzie by tu znaleźć miejsce z jakąś akcją.

– Nie sądzę, żeby tu się dziś wiele działo, w całym mieście roi się od prasy, śledczych i urzędników. Wiesz, jutro jest pogrzeb, tak mówili ci z dołu. – Fiona bardzo pragnęła zapytać go, czy nie mogliby wyjechać po pogrzebie, ale miała jeszcze tyle do powiedzenia, że wołała poczekać. – Widziałam takie miłe miejsce na cyplu... Łapia tam ryby i od razu pieką na grillu, może byśmy poszli?

Wzruszył ramionami. Czemu nie? Wino pewnie będzie tam tańsze niż w tych odjechanych knajpkach w porcie.

– No to chodźmy, jak mamy iść. I nie próbuj już godzinami dukać do tych na dole: „Ja – iść, wy – zostać”.

Przyjęła tę uwagę z humorem.

– Chyba nie jest aż tak źle. Po prostu staram się podziękować Eleni za to, że jest dla nas taka miła i wyrazić współczucie z powodu wczorajszych wydarzeń.

– A co, to twoja wina? Daj se wreszcie luz! – Shane wyraźnie miał znów te swoje humory. W takie dni potrafił kłócić się dosłownie o wszystko.

– Oczywiście, że nie, ale grzeczność nic nie kosztuje.

– Dobrze im płacimy za nasz pobyt.

Fiona wiedziała, że płacą tyle, co nic, a gdyby rodzina Eleni naprawdę nie klepała biedy, to nie wyprowadzałyby się z sypialni. Ale teraz nie pora na sprzeczki z Shane'em.

– Masz rację, trzeba iść zaraz, póki nie zrobi się gorąco.

Zniszczonymi schodami zeszli na dół. W zatłoczonej kuchni siedziała otępiała od ogromu tragedii rodzina. Fiona chciała się zatrzymać, zostać z nimi przez chwilę, szepnąć im kilka pocieszających słów, krótkich greckich sentencji, jakie słyszało się na każdym kroku: „*Tipota, Dhenpirazi*”.

Ale Shane wyraźnie nie mógł się już doczekać swego pierwszego dziś zimnego piwa, ona zaś miała mu tyle do powiedzenia, że wołała nie zwlekać. Do południa niedaleko, a wtedy upał jeszcze się nasili. Muszą natychmiast iść do tej tawerny nad morzem.

Upał rzeczywiście wzrastał.

Thomas uznał, że jednak nie wybierze się na wzgórze. Na taką wycieczkę trzeba wyjść wczesnym rankiem. Zajrzał do sklepiku; miał rację, Vonni nie otworzyła dziś interesu, wywiesiła stosowne ogłoszenie po grecku – zwięzłe, w czarnych ramach, widział już takie w innych miejscach. Przetłumaczono mu ich treść: „Zamknięte z powodu żałoby”.

Vonni spała na krześle. Wyglądała staro i miała zmęczoną twarz. Czy ona naprawdę nocuje w tym kurniku, chociaż w



mieszkanii jest wolna sypialnia? Przecież mogłaby ją zająć... ale lepiej nie pytać.

Sklepy wprawdzie były zamknięte, wciąż jednak pozostało mnóstwo do oglądania. I prawdę rzekłszy, Thomas nie miał ochoty ruszać się poza okryte żalobą miasteczko. Może pójdzie na spacer wzdłuż wybrzeża do małej knajpki na samym cyplu. Zauważył ją w ubiegłym tygodniu, przyciągnięty boskim aromatem pieczonej na grillu ryby. W sam raz, żeby posiedzieć, pogapić się na morze, zebrać myśli. Dobrze, że sobie przypomniał to miejsce – były tam wystrzępione parasole dla ochrony przed słońcem, a od morza wiała chłodna bryza. Cóż więcej potrzeba?

Taksówka zatrzymała się na starym placu w centrum Kala-triady. Kierowca nie wiedział, gdzie ma ich wysadzić.

– Tu będzie w sam raz – powiedziała Elsa, wręczając mu hojną zapłatę. David chciał zwrócić jej część, ale się uparła, że mu postawi. Stali teraz, rozglądając się po wiosce, do której przyjechali krętymi, niebezpiecznymi drogami. Nie wyglądała na typową turystyczną atrakcję i na pewno deweloperzy jeszcze jej nie odkryli.

Do morza prowadził w dół wąski trakt. Połowę zabudowań wokół placu stanowiły małe knajpki i kafejki, resztę zajmowały sklepy z ceramiką.

– Pewnie ci spieszo do tej świątyni – powiedziała Elsa. –

To dobre, bezpieczne miejsce, w sam raz na kryjówkę.

– Tak bardzo mi się nie śpieszy. Mogę chwilę z tobą posiedzieć.

– Cóż, po tych wszystkich „agrafkach” po prostu marzę o kawie – wyznała z uśmiechem. – Ale naprawdę jest tu bardzo pięknie, nareszcie mam czym oddychać. Jesteś moim herosem, wiesz?

– Och, zaraz herosem! – zaśmiał się David. – Obawiam się, że to nie dla mnie rola.

– Tylko mi nie mów, że zwykle obsadzają cię w rolach bandytów!

– Elsie wyraźnie wrócił humor.

– Nie pochlebiaj mi, nic takiego mi nie grozi. Już prędzej błaznów.

– Nie wierzę ani przez chwilę.

– Bo mnie nie znasz. Nie widziałeś mnie w moim normalnym wcieleniu, gdzie właśnie wszystko popaprałem.

– Zaraz „popaprałem”. Powiedziałeś, że nie podzielasz poglądów swojego ojca. To nie przestępstwo, tak uważa połowa ludzi na świecie.

– Zawiodłem go na całej linii. Mówię szczerze, Elso, z każdym innym synem by mu wyszło. Gotowy do objęcia biznes, zaszczytna pozycja w społeczeństwie, ładny dom... ale ja się w tym wszystkim duszę, czuję się jak w potrzasku. Nic dziwnego, że on mną gardzi.

– Usiądźmy tu, dobrze? – Elsa wskazała najbliższą, bardzo skromną kafejkę i usiadła na zdezelowanym krześle.

Podszedł kelner i rozłożył na drugim krześle arkusz woskowanego papieru.

– To się lepiej nadaje dla damy – wyjaśnił.

– Wszyscy są tu tacy mili – zachwyciła się, ujęta jego uprzejmością.

– Dla ciebie każdy jest miły. Masz w sobie tyle słońca...

David zamówił dwa razy *metrio* – średnio osłodzoną kawę. Pili ją powoli, w przyjaznym nastroju.

– Ja w ogóle nie znałam mojego ojca, Davidzie. Bardzo wcześniej od nas odszedł, ale mam za sobą wiele kłótni z matką.

– Widzisz, przypuszczalnie tak jest zdrowiej. W moim wypadku nie padają żadne konkretne zarzuty, rodzice wciąż tylko wzdychają albo wzruszają ramionami.

– Słuchaj, powiedziałam matce o wiele za dużo przykrych rzeczy. Za bardzo ją krytykowałam, gdybym mogła cofnąć czas, pewnie nie robiłabym jej ciągle wyrzutów. Ale podobno tak to już bywa z matkami i córkami.

– A o coście się kłóciły?

– Nie wiem, Davidzie, o wszystko. Upierałam się, że ja mam rację, a ona nie. Nie podobały mi się jej ciuchy, jej znajomi, normalna destrukcyjna gadanina...

– Ja nie znam czegoś takiego. Bo widzisz, my w ogóle z sobą nie rozmawiamy.

- A gdybyś mógł cofnąć czas, to byś rozmawiał?
- Pewnie znów bym wszystko spaprał.
- Straszny z ciebie defetysta. A przecież jesteś młody, znacznie młodszy ode mnie, twoi rodzice wciąż żyją, masz przed sobą mnóstwo czasu.
- Nie dołuj mnie jeszcze bardziej, proszę.
- Jasne, tylko uczciwość wymaga, abym przyznała, że mamy z sobą coś wspólnego. Tylko że ja nie mogę już nic naprawić, bo moja matka nie żyje.
- Jak umarła?
- Zginęła w wypadku samochodowym z jednym ze swoich nieodpowiednich przyjaciół.
- David poklepał ją współczująco po rękę.
- To szybka śmierć, jestem pewien, że nie cierpiała.
- Jesteś bardzo miły – powiedziała drżącym głosem Elsa. – Skończ kawę, to pójdziemy zwiedzać Kalatriadę. A potem, przy lunchu, opowiem ci o moich problemach i może wtedy ty mi coś doradzisz.
- Nie musisz...
- Pokój za wszelką cenę, co?
  
- No i gdzie ta knajpka, co miała być taka dobra? – gderał Shane, oglądając się na hałaśliwy bar, który właśnie mijali. – Może tu będzie fajnie?
- Nie, w takim miejscu Fiona nie mogłaby mu oznajmić swo-

jej nowiny, dlatego bez namysłu odmówiła.

– O wiele za drogo – stwierdziła kategorycznie. – Mają tu ceny dla turystów.

To przesądziło sprawę. Poszli dalej, do rybnej tawerny na cyplu.

Andreas siedział z bratem na posterunku. Na biurku Jorgisa piętrzyły się stosy raportów o wypadku. Telefon, który dotąd dzwonił bez przerwy, teraz umilkł.

– Napisałem dziś do Adoniego – powiedział wolno Andreas.

– Tak? To dobrze – odrzekł po dłuższej chwili Jorgis.

– Nie, żebym żałował czy coś...

– Pewnie, że nie.

– Bo wcale nie żałuję, wiesz przecież.

– Wiem, wiem.

Jorgis nie musiał pytać, czemu brat nagle wysłał list do dawno niewidzianego syna w Chicago. On to po prostu wiedział.

Wszystko dlatego, że śmierć Manosa i innych ukazała im, jak krótkie jest życie. I tyle.

Thomas minął ekipę telewizyjną i fotografów zgromadzonych na placyku przy porcie. Cóż, robota jak każda inna, a jednak kojarzyli mu się z rojem insektów. Nie ciągnęli tam, gdzie ludzie cieszyli się życiem, interesowały ich jedynie katastrofy.

Myślał o Elsie, złotowłosej, przystojnej Niemce. Tak lekceważąco mówiła o swojej roli w tym wszystkim. Ciekawe, dokąd pojechała dziś taksówką. Może zna tych ludzi z niemieckiej telewizji, którzy się tu uwijają. Grecja jest popularna w jej kraju jako cel wypraw wakacyjnych, podobno nawet dwóch Niemców zginęło na tym statku. Lecz chociaż się rozglądał, nigdzie nie widział dziewczyny, pewnie jeszcze nie wróciła. Powędrował dalej, w stronę tawerny na cyplu.

David i Elsa krążyli wokół ruin świątyni. Byli dziś jedynymi turystami.

Stary przewodnik poprosił ich o pół euro i dał im w zamian numerek z szatni, a także kiepsko napisany i niemal niezrozumiały opis dziejów świątyni.

– Zbiłby majątek ten, kto napisałby profesjonalną ulotkę po niemiecku – zauważyła Elsa.

– Albo po angielsku – dodał David ze śmiechem. Powędrowali z powrotem na plac.

– Rozejrzyjmy się za tym odjazdowym lunchem, na który zamierzam cię zaprosić.

– Spoko, Elso, spójrz... macha do nas kelner z tamtej kafejki. Jeśli o mnie chodzi, z przyjemnością tam wrócę, a ty?

– Jasne, nawet tak wolę, ale chciałam cię zaprosić do jakiejś lepszej restauracji, bo widzisz... zamierzam cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

– Nie musisz rewanżować mi się ekskluzywnym posiłkiem. I nie sądzę, aby w Kalatriadzie znalazł się tego typu lokal.

Kelner wybiegł na zewnątrz, uszczęśliwiony ich widokiem.

– Wiedziałem, że państwo tu wróca! – wykrzyknął z szerokim uśmiechem.

Przyniósł miseczkę oliwek z małymi kostkami sera i wskazał na kuchnię, gdzie mogli obejrzeć potrawy ułożone w dużych ogrzewanych gablotach. Podnosił z dumą kolejne pokrywki, żeby sobie wybrali, na co mają ochotę.

Usiedli przy stoliku i gawędzili jak starzy przyjaciele.

Zastanawiali się, jak dorasta się w małej górskiej wiosce zamiast – jak oni oboje – w wielkim mieście.

Rozprawiali z podziwem o wysokich, jasnowłosych Skandynawach, którzy z zimnej północy przyjechali tu pracować jako jubilerzy czy zajmować się ceramiką. Dopiero gdy już sączyli czarną, słodką kawę, Elsa zdecydowała się na wyjaśnienia.

– Opowiem ci, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie musisz. Po co psuć taki miły dzień...

– Właśnie że muszę, bo widzisz... chcę cię na coś namówić. Nie wracajmy na noc do Agia Anna. Zostańmy tu do jutra, dopóki nie skończy się pogrzeb.

David otworzył szeroko usta ze zdziwienia.

– Zostać tutaj?

– Davidzie, ja nie mogę wrócić. Tam jest moja ekipa telewizyjna, rozpoznają mnie i powiedzą Dieterowi, naszemu sze-

fowi, a wtedy on przyjedzie i mnie znajdzie. Nie zniosę tego.

– Dlaczego?

– Bo za bardzo go kocham.

– I to źle? Ze człowiek, którego kochasz, przyjedzie cię odszukać?

– Ba, gdyby to było takie proste! – Ujęła jego dłonie i przyłożyła sobie do twarzy. Łzy z jej oczu rozpryskiwały mu się na palcach, opadały na stół.

– W takim razie to oczywiste, że musimy zostać dziś w Katriadzie. – W miarę upływu dnia czuł się coraz bardziej herosem.

Dopiero zbliżało się południe. Fiona i Shane byli jedynymi gośćmi w tawernie. Kelner zostawił ich samych z rybą i winem nad ciemnoniebieskim morzem i białą plażą. Shane wypił już duszkiem dwa piwa i kieliszek retziny. Fiona obserwowała go, czekając na odpowiedni moment, aby obwieścić swoją nowinę. W końcu nie wytrzymała i położywszy mu dłoń na ramieniu, szepnęła, że ma sześć dni opóźnienia. A ponieważ od dwunastego roku życia okres nie spóźnił się jej ani o jeden dzień, więc jako pielęgniarka z pewnym zasobem wiedzy medycznej ma pewność, iż nie jest to fałszywy alarm, tylko naprawdę spodziewają się dziecka. I spojrzała mu z nadzieją w oczy.

Zobaczyła w nich niedowierzenie.

Zanim przemówił, wypił jeszcze jeden kieliszek wina.



- Nie rozumiem. Przecież stosowaliśmy środki...
- No... nie zawsze. Jeśli sobie przypominasz... – Już miała mu przypomnieć pewien weekend.
- Jak mogłaś być taka głupia?! – wybuchnął. Zabołały ją te słowa.
- Cóż, nie tylko ja.
- Kurde, Fiono, ty naprawdę masz jakiś talent do rujnowania ludziom życia!
- Przecież chcieliśmy mieć dzieci! Rozmawialiśmy o tym, mówiłeś...
- Mówiłem, że kiedyś... ale nie teraz, idiotko, nie teraz, kiedy ledwie miesiąc jesteśmy w podróży!
- Myślałam... myślałam... – Łzy nie pozwalały jej mówić dalej.
- Co myślałaś?
- Ze moglibyśmy tu zostać, wiesz, na tej wyspie, i tutaj wychować nasze dziecko...
- To nie żadne dziecko, tylko sześciodniowe opóźnienie!
- Może jednak dziecko, nasze dziecko... Znalazłbyś sobie pracę, na przykład w jakiejś restauracji, ja także bym pracowała...

Wstał, pochylił się nad stołem i zaczął wrzeszczeć. Prawie do niej nie docierały te wszystkie złe, okrutne słowa. Jest dziwką jak wszystkie baby. Potrafi tylko kombinować, knuć spiski, żeby go uwiązać przy bachorach i kazać mu tyrać jako kelner, w

dotatku w takiej dziurze.

Ma się tego bachora pozbyć i nigdy więcej nie wyskakiwać z takimi bajdami. Jest głupią, pozbawioną mózgu kretynką.

Chyba się z nim kłóciła... później nie pamiętała tego jasno, ale nagle poczuła na twarzy bolesny cios, zadany z taką siłą, że aż się zatoczyła, zobaczyła jeszcze, jak Shane znów zbliża się do niej z zaciśniętą pięścią.

Ziemia zaczęła osuwać się jej spod nóg, było jej niedobrze, dygotała na całym ciele. Nagle z tyłu usłyszała tupot nóg i krzyki, dwóch kelnerów chwyciło Shane'a, a Thomas, który zjawił się nie wiadomo skąd, złapał ją i posadził na krześle.

Zamknęła oczy, on zaś zwilżył jej twarz zimną wodą.

– To nic, Fiono, to nic – powtarzał, głaszcząc ją po włosach.  
– Już wszystko dobrze, naprawdę.

## Rozdział 5

W tawernie podano Thomasowi numer telefonu na policję. Fiona słyszała, jak Shane roześmiał się na wieść, że Amerykanin chce złożyć doniesienie.

– Tracisz czas, Thomas, ona mnie nie oskarży, a jeśli nawet, to powiedzą, że to sprawa rodzinna. Gorzej, bo w dodatku chodzi o cudzoziemców, więc nie ma szans, aby mieli się czego ucześcić. – Sięgnął po następny kieliszek wina.

Dwaj kelnerzy zerknęli na Thomasa, jakby szukając rady. Mają pozwolić mu pić dalej czy nie? Amerykanin skinął nieznacznie głową. Im bardziej Shane się upije, tym gorsze wrażenie zrobi na Jorgisie, kiedy ten się zjawi, by zaprowadzić porządek.

Wszedł na zaplecze, żeby zatelefonować w spokoju. Przedstawił się policjantowi, który natychmiast zorientował się, kto dzwoni.

– Wiem, pan jest jednym z tych wielkodusznych ludzi, którzy urządzili składkę na rodzinę Manosa.

– Tak naprawdę to zasługa pańskiego brata, bo nie policzył nam nic za posiłek.

– Powiedział, że jesteście jego przyjaciółmi. – Dla brata Andreasa sprawa była oczywista.

– Czujemy się zaszczytzeni, tylko wie pan, mamy tu pewien

problem... – Thomas wyjaśnił wszystko Jorgisowi, który błyskawicznie zrozumiał, o co chodzi. Przynajmniej obejdzie się bez zbędnej biurokracji. Thomas spokojnie polecił kelnerom zaprowadzić Shane'a na zaplecze i zamknąć. Chłopak nawet nie próbował stawiać oporu.

– Traciecie czas, swój i policji. Pożałujecie tego, oni przyjadą i pojadą. Thomas, taki z ciebie mądrala, a wczoraj narzekałeś, że nie – umiesz się dogadać z własnym synem! Ty byś się nawet z kotem nie porozumiał, ty w ogóle nie masz klasy!

– Za to ty masz ze swoimi pięściami!

– Bardzo śmieszne, naprawdę bardzo śmieszne.

– Szybko się przekonasz, co tutejsi ludzie myślą o biciu kobiet.

– Wyjdę stąd z dziewczyną uwieszoną na moim ramieniu. Tak już było i teraz też będzie. – odparł Shane z butną miną.

Thomas czuł, jak w gardle rośnie mu gula gniewu. Ręce bezwiednie zacisnęły mu się w pięści. Shane roześmiał się na ten widok.

– Tylko mi nie mów, że chcesz zachować się wreszcie jak mężczyzna!

Ale Thomasowi złość minęła tak samo szybko, jak się pojawiła. Już znowu był spokojny.

– Zostawcie mu trochę wina, ja zapłacę – powiedział kelnerom i usiadł przy Fionie, wciąż zszokowanej i ze śladami łez na twarzy.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił, głaszcząc ją po ręce.  
– Nic nie będzie dobrze – odparła z przekonaniem.  
– Przetrywamy, zobaczysz. Przecież po to kołaczemy się po tej ziemi, zamiast dawno wymrzeć.

A potem nic już nie mówił, tylko czekali razem na wóz policyjny. Siedzieli, słuchając fal, rozbijających się o skały w dole. Fiona miała smutną, pustą twarz, ale Thomas widział, że dodaje jej siły i otuchy samą swoją obecnością.

Jorgis oświadczył Shane’owi po przyjeździe, że jego napaść na kobietę widziało trzech obcych, niezależnych świadków, więc najbliższe dwadzieścia cztery godziny spędzi w policyjnym areszcie.

– Przecież ona nie zgłasza pretensji. – W głosie Shane’a pojawiła się pewna nerwowość. – Sami zapytajcie. Kocham ją, jesteśmy z sobą, może nawet będziemy mieli dziecko... co nie, Fiona? Powiedz im!

Wciąż miała zamknięte oczy.

– To nieważne – wyjaśnił Jorgis. – Skarga wcale nie musi wyjść od tej pani, w tym momencie jej słowa nie mają znaczenia. – Po czym skuł Shane’a kajdankami i wepchnął do radiowozu.

Samochód policyjny odjechał w blasku słońca, akurat kiedy goście zaczęli się schodzić na lunch. Kelnerzy odetchnęli z ulgą; dla młodych, niedoświadczonych chłopaków wszystko to było nad wyraz przykre – najpierw ta awantura, potem przyjazd poli-

cji i aresztowanie zagranicznego turysty. N«, ale w końcu porządek został przywrócony i interes znów się kręcił bez przeszkód. Zanosilo się na spory ruch.

Fiona, która przez cały czas się nie odzywała, teraz wybuchnęła płaczem.

– Szkoda, że nie mam żadnej przyjaznej duszy...

– A ja to co?

– Tak, wiem, ale chodzi mi o przyjaciółkę od serca, jak moja Barbara w Dublinie. Ona wiedziałaby, co powinnam zrobić, doradziłaby mi coś...

– Chcesz do niej zadzwonić? Mam w mieszkaniu telefon – zaproponował.

– To już nie to samo, co dawniej. Za dużo wody upłynęło, tyle razy odrzucałam jej pomoc, że teraz pewnie by nie zrozumiała, jak bardzo się wszystko zmieniło.

– Wiem, musiałabyś się za bardzo cofnąć w czasie.

– Mogłabym pogadać z Elszą, ale nie wiemy, gdzie ona jest. Zresztą raczej nie chciałaby słuchać moich narzekań... – mówiła ze smutkiem, ocierając oczy serwetką.

– Dowiemy się, gdzie jest. Widziałem, jak rano wsiadała z Davidem do taksówki. Nie wiem, dokąd pojechali. Ale może teraz zamówimy coś do jedzenia, żeby cię trochę wzmocnić?

– Mówisz jak moja matka – zauważyła, uśmiechając się słabo.

– Mam w sobie cechy macierzyńskie – przyznał. – Kiedy

poczujesz się na siłach, pójdziemy popytać taksówkarzy. Nie sądzę, by zapomnieli kogoś takiego jak Elsa.

– To raczej słabość z mojej strony.

– Ona jest taka ciepła i pełna współczucia. Właśnie kogoś takiego ci trzeba do pogadania.

– Tak uważasz?

– Owszem. Ach, Fiono, jeszcze jedno...

– Co takiego?

– To prawda, co on powiedział? Ze możesz być w ciąży?

– Tak powiedział? Nie słyszałam. – Na jej twarzy znów pojawiła się żalosa nadzieja. |

– Wspomniał o tym tylko dlatego, żeby wydobyć się z kłopotów.

– Myślałam, że się cieszy.

– Nie. Nie chcę być okrutny, ale nie wyglądał na zadowolonego. Czy to może być prawda?

– Tak – przyznała smętnie.

– Zjemy omlet, a potem wypytamy taksówkarzy. Jeśli nie zapamiętali Elsy, to nie są godni miana mężczyzn.

Miał rację. Wszyscy kierowcy pamiętali jasnowłosą Niemkę i drobnego mężczyznę w okularach. Ten, który zawiózł ich do Kalatriady, pochwalił się fantastycznym zarobkiem.

– Jedźmy tam – zdecydował Thomas i wręczył zaskoczonemu taksówkarzowi już drugą dziś zapłatę dnia.

Droga przez wzgórza okazała się niesamowicie kręta. Kiedy już dotarli do Kalatriady, z łatwością odnaleźli Elbę i Davida. Miasteczko składało się w zasadzie z dużego placu, wokół którego rozsiadły się kafejki i sklepiki z miejscowymi pamiątkami. Trudno było nie zauważyć jasnych włosów Niemki, która właśnie w jednym z nich pochylała się nad ceramicznymi talerzami. Nie potrzebowali żadnych wyjaśnień, doskonale wiedzieli, że to nie może być przypadek. Elsa natychmiast wpadła w panikę.

– Ktoś mnie szuka? – spytała nerwowo, z przerażeniem w oczach.

Thomas od razu przeszedł do rzeczy.

– W zasadzie tak. Pomyśleliśmy, że ty i Fiona powinnyście z sobą pogadać. Spotkała ją dziś przykróść...

– Właśnie widzę – odezwał się David, patrząc na czerwoną plamę na policzku dziewczyny.

– Następnym razem gotów złamać jej nos – zauważył ponuro Thomas.

– No cóż, to jasne, że musimy porozmawiać. – Elsa dotknęła ramienia Fiony. – Przepraszam, że w pierwszej chwili pomyślałam o sobie, ale mam parę problemów. Dlatego postanowiliśmy z Davidem zostać tutaj na noc.

– Zostać na noc? Tutaj? – wykrzyknęli jednocześnie Fiona i Thomas.

– Jasne, to przyjemne miejsce, czyż nie? Po drugiej stronie placu jest uroczy hotelik. Wzięliśmy dwa pokoje, więc Fiona



może spać ze mną, a wy razem, to chyba przyzwyczajcie?

Elsa wyraźnie odzyskała pewność siebie. Wydawało się czymś najzwyczajszym na świecie, że czwórka ludzi, która do wczoraj w ogóle się nie znała, urządziła sobie niespodziewaną wycieczkę do maleńkiej Kalatriady. Z ich grona tylko jeden David słyszał przedtem tę nazwę. I wszyscy zgodzili się, że jest to jak najbardziej stosowne.

Wczoraj o tej porze dopiero co się poznali. Dziś okazało się, że potrafią wzajemnie sobie pomagać.

Gawędzili swobodnie o wszystkim niczym starzy, dorastający razem przyjaciele, a nie przypadkowi znajomi z czterech różnych krajów.

Ale nie zanosilo się na powrót do poprzedniej nocy, kiedy to wszystkich ogarnęły silne emocje związane zarówno z katastrofą, jak i telefonami do rodzin. Tamtej nocy, ledwie na niebie wzeszły pierwsze gwiazdy, rozpoczęła się od razu szczerą, płynącą prosto z serca rozmowa. Dzisiejsza noc jest inna. Nadciąga sztorm.

Rodzina, która prowadziła hotelik, nie okazała zaskoczenia na widok grupki cudzoziemców różnych nacji i to bez bagażu. Goście wydawali się sympatyczni i mało wymagający, choć nieco spięci. No cóż, nic w tym dziwnego, skoro przyjechali z Agia Anna, gdzie wydarzyła się ta straszna tragedia. Może turyści, którzy zginęli na statku, byli ich znajomymi?

Hotelem zarządzała Irini. Z ciepłym, lecz nieco znużonym

uśmiechem pochyliła się, żeby wyjąć ręczniki i małe kostki mydła. Prawdopodobnie miała na głowie całe sprzątanie i kuchnię, podczas gdy trzej mężczyźni grali w kącie w gry planszowe; żaden nie kwapił się do pomocy.

– Ruch wyzwolenia kobiet miałby tu pełne ręce roboty – szepnęła Elsa do Fiony, kiedy szły na górę do pokoju.

– Mogłabyś zacząć ode mnie – odrzekła pokornie Irlandka.  
– Nie musisz daleko szukać ofiary.

Elsa była pełna współczucia.

– Prześpij się trochę – nalegała. – Po kilku godzinach snu wszystko widać jaśniej.

– Chcę ci o nim opowiedzieć. Wy tłumaczyć, dlaczego to zrobił.

– Wcale nie tego chcesz. Tak naprawdę czekasz, abym cię zapewniła, że masz absolutną rację, zamierzając do niego wrócić. I że on tego nie zrobił umyślnie.

Fiona otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– I może naprawdę tak powiem, ale nie w tej chwili – ciągnęła Elsa. – Jesteś za bardzo zmęczona i przygnębiona, by wysłuchiwać czegokolwiek. Teraz się połóż, porozmawiamy później, mamy mnóstwo czasu.

– A ty?

– Ja sobie posiedzę i popatrzę na góry.

Ku swemu zdumieniu, Fiona poczuła, że jej powieki opadają. Po chwili oddychała równo i spokojnie.

Elsa siedziała w kącie na trzciniowym krzeselku, obserwując schodzące nad dolinę cienie.

W nocy kołderka chmur zasłoniła gwiazdy i spadł deszcz.

– Grasz w szachy, Thomas? – spytał David.

– Kiepsko.

– Ja też, ale mam tu mały komplet, więc co byś powiedział na partyjkę? Tylko nie spodziewaj się wysokich standardów. – Chłopak wyglądał na zmartwionego, ale raczej nie miał ochoty na zwierzenia czy rozmowę. Szachy mogły się przydać jako środek zastępczy.

Ustawili stół przy oknie; gdy na dolinę opadły nocne cienie i zaczęła się ulewa, Thomas i David w najlepsze grali sobie w szachy.

Irini zapukała kolejno do obydwóch pokoi. Nie da się jeść na zewnątrz z powodu deszczu, mogą jednak usiąść w sali, skąd jest widok na plac, zaproponowała, pomijając milczeniem wielki siniak, który zaczął być widoczny na twarzy Fiony.

Zeszli na dół i usiedli przy stole z obrusem w niebiesko-żółtą kratkę. W jednym kącie starzy mężczyźni grzechotali kośćcami, w drugim grano w tryktraka. Irini dumnie postawiła przed nowymi gośćmi kebaby i sałatkę.

– *Orea* – pochwalił David. – *Poli poli kala!*

Zmęczona twarz właścicielki rozjaśniła się w bezzębnym uśmiechu. Ma najwyżej czterdzieści lat, pomyślała Elsa. Nie-

ciekawie jej się żyje, przynajmniej dobrze, że otaczają ją znajomi, życzliwi ludzie, a teraz jeszcze czwórka cudzoziemców wychwala pod niebiosa jej proste potrawy.

Jeszcze nie tak dawno Elsa była szalenie pewna siebie i miała zdecydowane poglądy na wszystko. Od razu powiedziałyby wtedy, co jest nie w porządku z życiem Irini. A teraz czuła pewne wątpliwości. Może tej kobiecie lepiej jest tutaj, w małowniczej osadzie między górami a morzem? Pewnie jeden z tych graczy w tryktraka jest jej mężem, a drugi ojcem. Na sznurku trzepotały na wietrze dziecinne ciuszki – a więc ma rodzinę, dzieci, które znają wszystkich mieszkańców...

Trzeba by tylko dowieść, że jest szczęśliwsza tutaj, niż gdyby wyjechała, jak syn Andreasa do Chicago, w poszukiwaniu światła wielkiego miasta.

Elsa westchnęła. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby mieć jakąś pewność. Dawniej przekonywałaby Fionę, aby spojrzała trzeźwo na Shane'a i wreszcie pojęła, że on jej nigdy nie kochał. Prawdopodobnie w ogóle nie jest zdolny do miłości. I chociaż żadna kobieta nie powinna doradzać drugiej przerwania ciąży, to według niej, Fiona musi się zastanowić nad takim rozwiązaniem. Teraz jednak Elsa miała w głowie taki mętlik, że już w ogóle nie wiedziała, co jest dla kogoś lepsze.

Uświadomiła sobie, że buja w obłokach. To się nie może powtórzyć, musi baczniej śledzić tok rozmowy przy stole. Wyjechała po to, aby oczyścić umysł, a nie siedzieć i dumać o nie-

bieskich migdałach, jak kilka tygodni wcześniej w swoim mieszkaniu, zanim kupiła bilet do Aten. Thomas właśnie mówił coś o swojej gospodyni.

– Ależ ta Vonni ma charakter! Mieszka w Agia Anna od lat, mówi po grecku, jakby się tu urodziła, jednak ani słowa o sobie. Podobno zna dobrze Kalatriadę, przyjeżdża tu co parę tygodni i kupuje ceramikę do swojego sklepiku.

– Andreas mówił mi wczoraj, że jest Irlandką – dodała Fiona. – Akurat dziś o niej myślałam, bo... Rozumiecie, jeśli ona tu została, to i ja ewentualnie mogłabym... – Jej drobna, blada twarzyczka wciąż tonęła w smutku.

– Myślisz, że przyjechała tu z kimś? – Elsa chciała wlać nieco realizmu do dyskusji, zanim Fiona zacznie fantazjować, jak to ona i Shane założą rodzinę w sercu greckich gór.

Thomas nie wiedział. Zauważył, że Vonni mimo całej swej otwartości nie należy do osób, którym zadaje się pytania.

David zaglądał do sklepiku Vonni i także z nią rozmawiał; miała towar w różnych gatunkach, pewnie wiele ją kosztowało utrzymywanie równowagi pomiędzy typową tandetą dla turystów a naprawdę gustownymi wyrobami.

– Bardzo mi się w niej podoba, że nie ma obsesji na punkcie kasy. Nie sądzę zresztą, by opływała w luksusy.

– Nie, raczej z trudem wiąże koniec z końcem – przyznał Thomas. – Daje lekcje angielskiego, sypia w czymś w rodzaju szopy, żeby móc wynająć mi mieszkanie.

- Ile ma lat? – spytała Elsa.
- Pięćdziesiąt parę, może sześćdziesiąt – rzucił David.
- Czterdzieści do pięćdziesięciu – wpadł mu w słowo Thomas i obaj wybuchnęli śmiechem.
- Proszę, oto skutki strojenia się dla męskich oczu – zauważyła Elsa z chytrym uśmieszkiem.
- Nieprawda, Vonni wcale się nie stroi. Chodzi w t-shirtach i sandałach, raczej się nie maluje... Sprawia to dziwnie kojące wrażenie. – Thomas popadł w zadumę. Wydawało się, że przebywa myślą gdzieś daleko, przy innej kobiecie, która uwielbiała stroje i zawsze robiła staranny makijaż.
- Czyżby wpadła ci w oko owa kojąca kobieta w nieokreślonym wieku? – zażartowała Elsa.
- Skąd, ani trochę, chociaż rzeczywiście mnie interesuje. Dzwoniłem do niej przed obiadem, bo gdyby nie zobaczyła światła w moich oknach, mogłaby pomyśleć, że zniknąłem bez słowa.
- To bardzo miło z twojej strony – zauważyła Fiona z podziwem. Shane’owi coś podobnego w ogóle nie przyszłoby do głowy.
- Powiedziała, żebyśmy się nie wazyli wracać taksówką, bo z placu co dwie godziny odchodzi autobus. Przy okazji zapytałem, czy nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, abyśmy przyszli na pogrzeb. Według niej, ludziom się to wręcz spodoba, więc co wy na to?

– Ja jestem za – odrzekł David.

– Ja też, a potem pójdę na policję pogadać z Shane'em – zapaliła się Fiona. – Na pewno jak sobie wszystko przemyśli, będzie mu bardzo przykro.

Starali się nie patrzeć jej w oczy. Tylko jedna Elsa nie zabrała jeszcze głosu.

– A ty, Elso? – spytał łagodnie Thomas.

– Raczej zostanę tu jeszcze ze dwa dni. Dołączę do was później, dobrze? – Zawahała się, czując, że sytuacja wymaga wyjaśnienia. – Wiecie, trochę to dla mnie niewygodne... Próbuję uniknąć spotkania z kimś, więc wolę poczekać tu, póki nie wyjedzie. – Miała przed sobą trzy twarze bez wyrazu. – Wiem, że to głupio brzmi, ale tak po prostu musi być. Uciekłam z Niemiec, zostawiłam przyjaciół, dobrą pracę, którą kochałam... wszystko po to, żeby się od niego uwolnić. Byłoby idiotycznie, gdybyśmy wpadli na siebie akurat w Agia Anna.

– A on tu na pewno jest? – spytał Thomas.

– Tak, to historia w sam raz dla niego. Nikt nie przedstawi tego lepiej. Dlatego uciekłam z Davidem. – Zerknęła z wdzięcznością na Anglika.

– Nie dopuścimy go do ciebie – obiecał, starając się sprostać swej roli herosa.

– Uprzedzimy Jorgisa – zaproponował Thomas. – Niech ostrzeże tego gościa, by nie ważył ci się narzucać.

Elsa patrzyła to na jednego, to na drugiego.

– Nie, to nie tak, ja się nie boję jego, tylko siebie... że mogłoby mnie coś podkusić, a wtedy to wszystko.... ta cała sprawa z przyjazdem tutaj okazałaby się stratą czasu.

Warga jej drżała. Tej opanowanej, pewnej siebie Elsie. Wpadli w popłoch.

– Zostanę z tobą, Elso – ofiarowała się Fiona. – Tylko najpierw muszę pojechać na policję i dowiedzieć się o Shane’a.

– Wcale nie musisz, tylko chcesz – odparła tamta.

– No dobrze, kocham go, zrozumcie! – Fionę wyraźnie uraziła ta uwaga. – Poważnie, Elso. Musisz być zakochana w tym mężczyźnie, bo inaczej nie obawiałabyś się tak waszego spotkania.

Thomas uznał, że powinien się wtrącić. Ta rozmowa schodziła na zbyt niebezpieczne tory.

– Wszyscy mieliśmy ciężki dzień. Może spotkajmy się o ósmej na śniadaniu, to złapiemy autobus o dziewiątej... oczywiście ci, którzy chcą. W porządku? – Mówił cicho, ale dzięki latom pracy na uczelni, zdobywał autorytet samym wyrazem twarzy.

Zrozumieli, że ma rację i zaczęli się rozchodzić.

– Jeszcze chwila – zatrzymała ich Elsa. – Fiono, bardzo mi przykro, że byłam dla ciebie szorstka. Oczywiście, że masz wszelkie prawo spotkać się z mężczyzną, którego kochasz. I przepraszam, że moje własne sprawy stawiam ponad tragedie tamtych ludzi. Pojadę z wami na pogrzeb i z przyjemnością od-



dam się pod opiekę trojga takich dobrych przyjaciół. – Wodziła wzrokiem po ich twarzach. Oczy jej błyszczały podejrzenie, jakby pod przykrywką uśmiechu kryły się łzy.

## Rozdział 6

Shane siedział z głową ukrytą w dłoniach w celi aresztu policyjnego. Rozpaczliwie potrzebował zimnego piwa, ale oczywiście nie ma co liczyć na tego głupka policjanta, brata upierdliwego Andreasa z tawerny.

Gdzie jest Fiona? Do tej pory powinna już tu być, zaraz by ją posłał do baru rybnego w porcie po trzy dobrze schłodzone puszki. Oczywiście przedtem musiałby odstawić tę całą szopkę z przeprosinami, wyjaśnić, że po prostu tak go wkurzył sposób, w jaki wyskoczyła ze swoją nowiną, że nie zapanował nad swoją reakcją.

Załomotał w drzwi blaszanym talerzem.

Jorgis uchylił okienko.

– Tak?

– Co z moją dziewczyną? Na pewno chciała się ze mną widzieć, czemu jej nie puszczacie? Nie ujdzie wam to na sucho, aresztanci mają prawo do odwiedzin najbliższej rodziny.

– Nikogo nie było – odparł Jorgis, wzruszając ramionami.

– Nie wierzę.

– Nikogo nie było. – Jorgis zaczął się oddalać.

– Słuchaj... Przepraszam, to nie znaczy, że ci nie wierzę, ale rozumiesz, jesteśmy z sobą tak blisko, że myślałem...

– Wczoraj jakoś nie zauważyłem tej bliskości.

– Bo ty nic nie rozumiesz. W takim namiętnym związku jak nasz zdarzają się wybuchy, to naturalne...

– *Endaxi*. – Co?

– Czyli po waszemu „okej”, „w porządku” czy jak tam chcecie. – Jorgis już odchodził.

– Gdzie ona jest? – krzyknął Shane.

– Słyszałem, że wczoraj wyjechała z Agia Anna – odkrzyknął Jorgis przez ramię.

– Nie wierzę!!!

– A wierz sobie, w co chcesz. Podobno wzięła taksówkę i wyjechała.

Shane siedział, nie wierząc własnym uszom. To nie może być prawda. Fiona nigdy nie wyjechałaby bez niego.

– *Kalimera sas*, Jorgis! Wyglądasz na zmartwionego. – Vonni oparła się o ścianę posterunku.

– Pewnie, najpierw te tłumy kamerzystów rozdeptujących ludzi na ulicach, potem urzędasy z firm ubezpieczeniowych... Mam jedenaście różnych raportów do opracowania i jeszcze ten szczeniak w celi! Nie wiem, co z nim zrobić.

– Ten, co uderzył dziewczynę z Irlandii? – Nic nie mogło się ukryć przed czujnym okiem Vonni.

– Tak. Szkoda, że nie jest z tysiąc kilometrów stąd.

– No to go wyekspeduj. – Co?

– Dawniej w Irlandii tak właśnie się robiło. Jak tylko jakiś

narwaniec sprawiał kłopoty sędziemu albo straży, zaraz składano mu propozycję: jeśli jeszcze tej nocy odpłynie statkiem pocztowym do Anglii, to nie podejmą przeciw niemu dalszych kroków.

Jorgis uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Naprawdę! Wprawdzie było świństwem wobec Anglików posyłać im nasze męty, ale uważano, że Anglia jest duża i na pewno sobie poradzi.

– Rozumiem.

– A jakbyś go tak wsadził na ten prom do Aten o jedenastej? Poważnie, Jorgis, do pogrzebu nie będzie po nim śladu i wszystkim kamień spadnie z serca!

– I Ateny rzeczywiście są dostatecznie duże, by dać sobie z nim radę... – Jorgis potarł brodę w zamyśleniu.

Na pomarszczoną twarz Vonni wypłynął szeroki uśmiech.

– Jasne, Jorgis, to naprawdę duże miasto.

– Nie możecie wyrzucić mnie z wyspy – protestował Shane.

– Jak uważasz. Nie mamy teraz do ciebie głowy, więc będziesz siedział przez tydzień, a potem prokurator i przypuszczalnie pudło. To jedna możliwość, a druga jest taka, że fundujemy ci podróż do Aten. Wybór należy do ciebie, masz dziesięć minut do namysłu.

– A moje rzeczy?

– Jeden z chłopaków podwiezie cię do Eleni. Spakujesz

plecak i o dziesiątej trzydzięci masz być na promie.

– Jeszcze nie dojrzałem do wyjazdu.

– Twoja wola. – Jorgis odwrócił się do wyjścia.

– Nie, poczekaj... No dobra, pojedę.

Jorgis wyprowadził go do policyjnej furgonetki. Shane wsiadł z nadąsaną miną.

– Cholernie dziwny sposób zwiedzania kraju...

W domku Eleni zauważył, że Fiona nie zabrała swoich rzeczy z pokoju.

– Mówiłeś, że wyjechała?

Eleni wyjaśniła po grecku, że dziewczyna wróci jeszcze tego samego dnia, ale młody policjant był nie w ciemną bity i nie przetłumaczył. Szef życzył sobie, aby ten krewki drań o jedenastej znalazł się na promie, poza zasięgiem ich władzy. Nie ma więc potrzeby odwlekać sprawy tylko dlatego, że ta głupia dziewczyna wraca. Zresztą facet za bardzo o nią nie pyta.

Patrzył, jak Shane upycha ciuchy do plecaka. Nie próbował zapłacić Eleni za pokój, a wsiadając z powrotem do vana, nawet nie powiedział „do widzenia”.

Autobus z Kalatriady przebijał się krętą drogą przez górskie wioski, zmierzając wolno w stronę Agia Anna.

Stare kobiety w czerni wsiadały i wysiadały, pozdrawiając wszystkich pasażerów; niektóre wiozły jarzyny na targ, jedna piastowała w koszyku dwie kury, jakiś młody człowiek grał na

buzuki.

Pierwszy postój wypadł przed przydrożną kapliczką z figurą Matki Boskiej, obstawionej licznymi bukietami kwiatów.

– Niesamowite – zdumiał się Thomas. – Wygląda, jakby to wszystko było celowo zorganizowane przez władze. «

– Albo przez Grecką Izbę Turystyki – dodała Elsa.

Poza tą krótką wymianą zdań niewiele rozmawiali. Każdy siedział zatopiony we własnych myślach, zastanawiając się, co przyniesie dzień.

Elsa rozważała, jakie są szanse, że Dieter pojawi się ze swą ekipą w miasteczku, do którego przed nim uciekła.

Fiona miała nadzieję, że Shane już ochłonął. Może uda się jej namówić tego miłego staruszka Andreasa, by się za nim wstawił. Może wypuściliby chłopaka na pogrzeb?

Thomas układał plan, jak by tu podejść Vonni, aby zgodziła się spać w wolnej sypialni własnego mieszkania zamiast w tej okropnej szopie. Nie chciał jej niczego narzucać, tylko po prostu przemówić do rozsądku.

David oglądał się za grupkami dzieci machających do pasażerów autobusu. Żałował, że nie ma rodzeństwa, które dzieliłoby z nim brzemień odpowiedzialności. Gdyby miał brata biegłego księgowego, siostrę po prawie i jeszcze jednego brata, niekoniecznie z dyplomem, ale takiego, który wszedłby do firmy ojca już jako szesnastolatek i nauczył się wszystkiego od podstaw, wtedy on, David, byłby naprawdę wolny i mógłby zająć się na

przykład lepieniem garnków w Kalatriadzie.

Wzdychając ciężko, patrzył przez okno na wzgórza pokryte gajami oliwnymi. Zamiast realizować swoje zamysły, tkwi tutaj udręczony wyrzutami sumienia. Wczoraj Fiona wspomniała coś na temat katolickiej wina... Niestety, nie miała bladego pojęcia na temat ogromu wina żydów.

W przestronnym pomieszczeniu na zapleczu sklepu Vonni prowadziła lekcję angielskiego. Zaproponowała dzieciom, że nauczy je fragmentu psalmu, który mogłyby zaśpiewać na pogrzebie. Byłaby to drobna pociecha dla anglojęzycznych krewnych, zjeżdżających na miejsce tragedii promami już od trzydziestu sześciu godzin. Może nawet udałoby się znaleźć coś w języku niemieckim? Trzeba poszperać.

Wszyscy uznali to za znakomity pomysł.

Poza tym zajmie w ten sposób dzieci, odrywając je na jakiś czas od zapłakanych krewnych. Rodziny były jej za to wdzięczne, jak za wszystko, co robiła dla nich przez całe lata, odkąd jako młoda dziewczyna pojawiła się w Agia Anna. Postarała się wśród nich, mówiła ich językiem, uczyła ich dzieci, dzieliła dobry i zły los. Wielu mieszkańców nawet nie pamiętało, dlaczego tu przyjechała.

Thomas wszedł po bielonych schodkach, otworzył drzwi do mieszkania na górze i nagle przystanął w progu, nie wierząc

własnym uszom.

Z dołu dobiegał chór dziecięcych głosów, śpiewających „Pan jest moim pasterzem”.

Dużo wody upłynęło, odkąd ostatni raz był w kościele, chyba na pogrzebie swego ojca. I wtedy też ostatni raz słyszał ten hymn. Stał teraz na słońcu jak porażony, myśląc, że ten pogrzeb będzie jeszcze smutniejszy, niż przypuszczał.

Andreas stał przy promie ze swym bratem Jorgisem. Shane unikał ich wzroku.

– Nie masz czasem czegoś do zrobienia przed wyjazdem? – spytał starszy mężczyzna.

– Na przykład czego? Może mam wam pogratulować tej słynnej greckiej gościnności?

– Mógłbyś na przykład napisać do swojej dziewczyny.

– Nie mam papieru ani pióra.

– Ja mam. – Andreas wyciągnął jedno i drugie.

– I co miałbym napisać? Ze ty i twój brat faszysta wyrzucacie mnie z wyspy? To dla niej niewielka pociecha, co? – stawił się Shane.

– Pewnie chciałaby wiedzieć, że jesteś bezpieczny i... wolny. Ze skontaktujesz się z nią, kiedy dotrzesz na miejsce.

– Ona i tak to wie.

Papier i pióro nadal pozostawały w ręku Andreasa.

– Może chociaż parę słów? – Grek nie dawał za wygraną.



– Ooch, na miłość boską...

Na promie rozległ się gwizdek, sygnalizujący rychłe odbicie od brzegu. Młody policjant odprowadził Shane’a na pokład, po czym wrócił do obu mężczyzn.

– Lepiej, że do niej nie napisał – powiedział.

– Może i tak – zgodził się Andreas. – Przynajmniej na dłuższą metę, bo teraz jej biedne serduszko chyba pęknie z żalu...

David i Fiona szli z Elszą do jej apartamentu.

– Patrzcie, nie ma żywej duszy – zauważył David. Rzeczywiście na ulicach, gdzie wcześniej roiło się od prasy i reporterów telewizyjnych, panował teraz spokój.

– Szkoda, że nie mogę z wami zostać, ale muszę sprawdzić], co się dzieje z Shane’em – usprawiedliwiała się Fiona, ruszając w stronę posterunku.

Z dołu dobiegało buczenie promu, odpływającego o jedenastej do Aten. W południe inny statek przywiezie kolejną grupę uczestników pogrzebu.

– Mam tu z tobą zostać, Elso? – spytał David.

– Chociaż pięć minut, żebym znów gdzieś nie zwiąła – odrzekła ze śmiechem.

– Nie zrobisz tego. – Poklepał ją po ręce.

– Mam nadzieję. Powiedz, Davidzie, czy kiedykolwiek w życiu kochałeś kogoś tak obsesyjnie, tak głupio?

– W ogóle jeszcze nikogo nie kochałem.

– Niemożliwe!

– Obawiam się, że w wieku dwudziestu ośmiu lat nie jest to powód do dumy. – Mówił takim tonem, jakby się usprawiedliwiał.

– No popatrz, jesteśmy rówieśnikami! – wykrzyknęła ze zdumieniem.

– Ale ty zachowujesz się stosowniej do swojego wieku.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś wiedział. Wolałabym nigdy nie kochać. Może cofnę się do miejsca, w którym byłam, zanim to wszystko się zaczęło, tego właśnie najbardziej pragnę. – Błądziła wzrokiem gdzieś daleko.

David żałował, że nie wie, jak ją pocieszyć. Byłoby cudownie znaleźć właściwe słowa, przywołać znów uśmiech na tę smutną twarz. Gdyby tylko znał jakiś dowcip albo śmieszna historyjkę... Wyteżał gorączkowo umysł, ale pamiętał tylko ojcowskie anegdotki na tematy golfowe.

– Grasz w golfa, Elso? – spytał nagle. Wyglądała na zaskoczoną.

– Trochę, a co? Masz chęć na partyjkę?

– Nie, nie, ja nie gram, tylko myślałem właśnie o kawałach golfowych. Chciałem cię trochę rozweselić.

Chyba ją to wzruszyło.

– No to mów.

Davidowi wreszcie coś się przypomniało: żona pewnego golfisty zmarła w trakcie gry. Przyjaciele bardzo mu współczuli,

ale mężczyzna oświadczył, że w zasadzie to nic wielkiego. Najgorzej, że musi po każdym strzale przesuwac jej zwłoki do następnego dołka.

Elsa patrzyła wyczekująco.

– No, niestety, to wszystko – zmartwił się David. – Bo widzisz, golfiści to takie oszołomy, że prędzej przesuną trupa, niż przerwą grę... – Nagle urwał. – Och, tak mi przykro, Elso! Ze też musiałem wyskoczyć z czymś takim w dzień pogrzebu... Ale ze mnie palant!

Pogładziła go po policzku.

– Wcałe nie, jesteś kochanym, delikatnym chłopcem i cieszę się, że mam cię przy sobie. Może zrobimy sobie jakiś lunch?

– Albo zabiorę cię gdzieś na *omeleta triaavga*... oni uwielbiają, jak się to zamawia, rozumiesz, trzeba podkreślić, że ma być z trzech jajek. – David wyraźnie zapalił się do tego pomysłu.

– Wolałabym nie wychodzić, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Tu czuję się bezpieczniej. Możemy zjeść na tarasie i wszystko widzieć, nie będąc widzianymi. Czy to twoim zdaniem coś złego?

– Skądże znowu.

Zadowoleni z pomysłu, wyjęli z lodówki fetę i pomidory, aby przyrządzić sobie sałatkę.

– Dzień dobry, czy mogłabym widzieć się z komendantem?

Jorgis podniósł się z wysiłkiem.

Stała przed nim Fiona, w niebieskiej bawełnianej sukience, z białą wełnianą torbą na ramieniu. Wijące się wokół twarzy włosy nie zakrywały siniaka. Wyglądała na kruchą i zbyt słabą do rozegrania partii, jaką przygotowało jej życie.

– Proszę usiąść, *kyria*. – Podsunął jej krzesło.

– Widzi pan, mój przyjaciel spędził tutaj noc – zaczęła, jakby Jorgis zarządzał jakimś eleganckim hotelikiem, a nie policyjną paką.

Rozłożył bezradnie ręce. Widział, jak bardzo zależy jej na tym chłopaku, wyraźnie zdążyła mu już wybaczyć. Jak te bydlaki zdobywają miłość takich porządnych dziewczyn? A teraz on, Jorgis, musi ją zawiadomić, że chłopak odpłynął godzinę temu promem i nawet nie raczył obejrzeć się za siebie. Trudno będzie znaleźć odpowiednie słowa...

– Shane bardzo żałuje tego, co się stało, może panu wydaje się, że jest inaczej, ale ja wiem – zaczęła. – I właściwie dużo w tym mojej winy, powiedziałam mu coś w zupełnie nieodpowiedni sposób, zamiast porządnie wytłumaczyć...

– On wyjechał do Aten – powiedział prosto z mostu Jorgis.

– Nie, to niemożliwe, nie wyjechałby beze mnie, tak bez słowa... Nie, nie. – Patrzyła na niego z rozpaczą w oczach.

– Promem o jedenastej.

– I nie zostawił mi wiadomości? Proszę pana, dokąd pojechał? Gdzie mam się z nim spotkać? Przecież nie mógł wyjechać w ten sposób...

– Odezwie się do pani, kiedy już coś sobie znajdzie, na pewno tak zrobi.

– Ale dokąd wyśle list?

– Pewnie tutaj, na posterunek – odrzekł z wahaniem policjant.

– Nie, dobrze pan wie, że to wykluczone!

– No to może tam, gdzie mieszkaliście razem.

– Skąd, na pewno nie zapamiętał adresu Eleni... Muszę złapać następnego prom, już ja go znajdę!

– Moja droga, Ateny to wielkie miasto. Proszę zostać tutaj. Ma pani tu przyjaciół, proszę poczekać, aż nabierze pani sił.

Fiona się rozplakała.

– Aleja muszę z nim być...

– Dziś już żaden prom nie odchodzi z powodu pogrzebu. Proszę, bardzo proszę się uspokoić. To lepiej, że wyjechał.

– Nie, nie... Dlaczego lepiej?

– Bo inaczej siedziałby za kratkami. A tak przynajmniej jest wolny.

– Zostawił mi jakąś wiadomość?

– Wyjeżdżał w wielkim pośpiechu...

– W ogóle nic?

– Ale pytał o panią, zastanawiał się, gdzie pani jest.

– Och, dlaczego uciekłam? Do końca życia sobie tego nie daruję! Jorgis poklepał ją niezgrabnie po plecach, Fiona jednak nie przestawała szlochać. Kątem oka zauważył Vonni, która

prowadziła grupkę dzieciaków, i wpadł na pewien pomysł.

– Andreas mówił, że jest pani pielęgniarką?

– Byłam... Tak.

– Pielęgniarką jest się raz na zawsze, więc... Czy mogłaby pani nam pomóc? Widzi pani Vonni, tam na dole? Ma zająć się dziećmi w czasie pogrzebu. Na pewno przyda jej się pomoc.

– Nie wiem, czy teraz jestem w stanie komuś pomóc...

– Zwykle właśnie wtedy najlepiej nam wychodzi. – Jorgis zawołał coś po grecku do Vonni, która odpowiedziała mu tak samo. Fiona siedziała ze smutną miną.

– Cóż, gdybyśmy mogli tu zamieszkać, wychować tu nasze dziecko, to też nauczylibyśmy się greckiego i stalibyśmy się częścią tutejszej społeczności. Tak jak ona... – Mówiła na pół do siebie, ale Jorgis słyszał i czuł gulę w gardle.

Thomas nie mógł usiedzieć na miejscu; chciał, żeby ten pogrzeb wreszcie się zaczął i jak najszybciej skończył. Nad miasteczkiem zawisła ciężka atmosfera wyczekiwania. Nie będzie spokoju, póki ofiary tragedii nie zostaną odprowadzone na cmentarz. Niechby wreszcie prasa i ekipy telewizyjne się wyniosły, wtedy życie potoczy się wreszcie swoim trybem, jak przedtem...

No... niezupełnie jak przedtem.

Nie dla rodziny Manosa i innych chłopaków, którzy zginęli. Część turystów zostanie pochowana tutaj, inni wrócą w trum-

nach do swoich krajów – Anglii i Niemiec.

Ale dla wszystkich będzie lepiej, kiedy ten dzień dobiegnie końca.

Obiecał Elsie, że po nią wstąpi i razem pójdą do cerkiewki. Miał nadzieję, że Niemka nie spotka tego mężczyzny, którego tak unika i chyba się obawia. Za dużo bólu widać na jej twarzy, gdy o nim mówi.

Zanosi się na spory tłok, więc może ów człowiek – kimkolwiek jest – nie zauważy Elsy.

– Jestem Fiona – przedstawiła się kobiecie o pomarszczonej, brązowej od słońca twarzy.

– Z Dublina?

– Tak, a pani? Podobno także jest pani Irlandką?

– Owszem, ale z zachodu. Stare dzieje...

– Co pani robi z tymi dziećmi?

– Ich rodziny są teraz w domu Manosa. – Vonni mówiła po angielsku z irlandzkim akcentem, chociaż trochę tak, jakby to był dla niej drugi język. I pewnie na tym etapie tak właśnie było.

– Pomyślałam, że przejdziemy się trochę za miasto i nazbieramy kwiatów, pomożesz nam?

– Oczywiście, ale raczej się nie przydam... jak mam do nich mówić?

– One mają się uczyć angielskiego. Powtarzaj: „*very good*” i „*thank you*”, tyle chyba zrozumieją. – Poorana zmarszczkami twarz rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

– Jasne. – Fiona rozchmurzyła się na chwilę i wyciągnęła ręce do dwóch pięciolatków.

I w długim szeregu powędrowały z dziećmi ścieżką za miasto, aby narwać kwiatów.

Thomas widział idących parami duchownych – wysokich mężczyzn o siwych włosach, w długich szatach i czarnych liturgicznych nakryciach głowy. Mieli blade, uroczyście twarze i Thomas zastanawiał się, co kiedyś skłoniło młodych Greków ze słonecznej wyspy do wyboru takiej drogi życiowej. Ale przecież w równie słonecznej Kalifornii sam znał ludzi, nawet na swoim wydziale, którzy należeli do różnych zgromadzeń: młody ksiądz wykładający mistyczną poezję, kaznodzieja z kościoła metodystów, znawca literatury elżbietańskiej...

Wszystkich ożywiała wiara, więc pewnie tak samo było i z tymi kapłanami cerkwi prawosławnej.

Thomas uznał, że już pora iść. Zgodnie z umową wstąpił po Elbę, ale zaskoczyły go dobiegające z jej mieszkania głosy. Może jednak spotkała się z tym swoim znajomym?

Uczucie rozczarowania szybko minęło, kiedy uświadomił sobie, że to niemożliwe. Przecież facet na pewno filmuje teraz pogrzeb.

Zapukał do drzwi i zdziwił się, kiedy otworzył mu David.

– To tylko Thomas! – krzyknął w głąb mieszkania. Nie zabrzmiało to specjalnie zachęcająco.



– W końcu umówiłem się z Elszą, że pójdziemy razem – wyjaśnił Thomas z urazą w głosie.

– Och, przepraszam, sam nie wiem, co się dziś ze mną dzieje. Co słowo to gafa! Wiesz, myśmy po prostu myśleli... obawialiśmy się...

Elsa wyszła do nich z pokoju, ubrana już na pogrzeb w kremową lnianą sukienkę i granatowy żakiet.

Thomas miał w kieszeni krawat, na wypadek, gdyby okazało się, że wypada go włożyć. No i rzeczywiście: bez tego się nie obejdzie.

– Słuchaj, poprosiłam Davida, żeby otworzył, bo już wpadam w paranoję. Wciąż się boję, że Dieter mnie namierzy, wybac mi!

– Co tu jest do wybaczenia? – Thomas zawiązał sobie krawat przed lustrem w holu.

– Też powinienem wrócić do siebie po krawat – zreflektował się David.

– Nie musisz, wyglądasz bardzo porządnie – uspokoił go Thomas.

Wyszli razem i ruszyli za tłumem w stronę cerkiewki. Ludzie stali po obu stronach ulicy aż do samego portu, niemal w całkowitej ciszy, z pochylonymi głowami.

– Ciekawe, gdzie jest Fiona? – szepnął David.

– Pewnie wciąż na komendzie. Karmi swojego kochasia ciasteczkami przez kratki – pokpiwał Thomas.

– Ona naprawdę go kocha – powiedziała Elsa, wyraźnie próbując usprawiedliwić dziewczynę.

– Szkoda, że nie widziałas go w akcji – burknął Thomas.

– Jeśli jest na komendzie, to chyba zupełnie sama, bo wszyscy policjanci są tutaj – zauważył David.

Nagle przez tłum przeszedł szmer i wszyscy umilkli, gdyż zbliżał się orszak pogrzebowy. Długi sznur mężczyzn i kobiet postępował za niesionymi w procesji trumnami. Zalane łzami twarze i czarne stroje tworzyły smutny kontrast z błyszczącymi w słońcu białymi domami i błękitnym morzem.

Za wyspiarzami szli brytyjscy i niemieccy krewni ofiar, którzy tak niespodziewanie musieli wyruszyć do greckiego miasteczka, by pochować swoich bliskich. Wszyscy wodzili wokół siebie błędnym wzrokiem, jakby grali w jakiejś sztuce, nie znając zupełnie roli.

W całym mieście zamknięto sklepy, tawerny i wszystkie firmy. Rybackie kutry kołysały się leniwie w porcie z flagami opuszczonymi do połowy masztu. Z monasteru w odległej dolinie dobiegał dźwięk dzwonów. Uroczystość filmowały ekipy telewizyjne z dwunastu krajów. W niewielkiej cerkiewce starczyło miejsca tylko dla dziesięciu żałobników, reszta słuchała mszy na zewnątrz, za pośrednictwem trzeszczących głośników. Nagle w środek greckich modłów i muzyki wdarł się chór czystych dziecięcych głosików śpiewających „Pan jest moim pastorem”. Wśród angielskich rodzin rozległo się łkanie i Thomas

także otarł łzę z twarzy.

Następnie wykonano niemiecką pieśń „Tannenbaum” i teraz Elsa nie mogła powstrzymać łez.

– Chyba trzeba powiedzieć Vonni, że zrobiła kawał dobrej roboty, udało jej się wzruszyć wszystkich – szepnął David.

Wierni wyszli z cerkwi i zaczęli przygotowywać się do krótkiego marszu na cmentarz. Wtedy dopiero Elsa zauważyła Fionę, stojącą razem z Vonni i dziećmi, które przyciskały do siebie naręcza polnych kwiatów. Młoda Irlandka trzymała za rączki dwóch śniadych chłopczyków.

– Co dzień to nowe zaskoczenie – zauważył Thomas. – Kto by się spodziewał, że Vonni nakłoni ją do pomocy...

– Pewnie chciała oderwać jej myśli od Shane’a – domyśliła się Elsa. Jorgis wystąpił z oświadczeniem: rodziny zmarłych udadzą się teraz na cmentarz. Dziękują wszystkim za przybycie na nabożeństwo i okazane współczucie, ale życzą sobie, aby pozostawić ich samych. Właściciele kafejek i restauracji proszeni są o otwarcie lokali, by życie toczyło się swoim trybem. Na pewno wszyscy zrozumieją uczucia żałobników...

Ekipy telewizyjne niechętnie się z tym zgodziły. W takiej sytuacji dyskusja na nic się nie zda. Dzieci z Vonni i z Fioną ruszyły w stronę cmentarza, gdzie wśród starych kamieni i pokruszonych murów czekały świeżo wykopane groby.

– Co za niesamowity dzień, a przecież nawet nikogo nie straciliśmy – zauważył Thomas.

– Naprawdę nie chcę być teraz sama – powiedziała błagalnie Elsa.

– Mogę ci postawić w porcie kieliszek retziny oraz porcyjkę *kalamari* z oliwkami. Patrz, wszyscy wystawiają już krzesła!

– Elsie chyba lepiej będzie z dala od ludzkich oczu – zasugerował David.

– Jasne, zapomniałem. Słuchajcie, mam u siebie dobrze schłodzoną retzinę... Mieszkam nad sklepem z rękodziełem.

Zdecydowanie nie mieli ochoty się rozstawać, więc uznali to za dobry pomysł.

– Możemy jakoś dać znać Fionie, gdzie będziemy? – zastanawiała się Elsa.

– Ale to może oznaczać towarzystwo osobnika, którego Thomas nazywa „kochasiem” – wyraził swoje wątpliwości David.

– Nie, on na pewno jeszcze siedzi – uznał Thomas. – Czyli okej?

– Jasne – zgodziła się Elsa z uśmiechem. – Wstąpię tylko do siebie po szal, bo wieczorna bryza może być chłodna, i kupię u Yanniego trochę oliwek. Spotkamy się u ciebie. – Wyglądała na bardzo ucieszoną.

Wkrótce potem Thomas zabrał się do sprzątnięcia pokoju i wyciągnięcia kieliszków. David krążył po mieszkaniu, przyglądając się książkom.

– Przywiozłeś to wszystko z Kalifornii? – spytał zdziwiony.

– Nie, większość należy do Vonni. Naprawdę chciałbym, żeby tu sypiała.

– Co?

– No bo ona śpi w szopie na końcu podwórza razem z kurami i Bóg wie czym jeszcze.

– Nie wierzę! – David patrzył ze zdumieniem na obskurną komórkę. Gawędzili tak jeszcze jakiś czas, rozkładając na stole serwetki i talerzyki.

W końcu David powiedział to, o czym obaj myśleli:

– Coś długo kupuje te oliwki... Zapadła długa cisza.

– Chyba go jednak spotkała – westchnął Thomas.

– I poszła z nim gdzieś – dodał David.

Elsa zobaczyła Dietera zaraz po wyjściu z delikatesów Yanniego. Rozmawiał z Clausem, szefem kamerzystów, zerkając na zegarek. Wiedziała, że chcąc uniknąć długiej podróży promem do Aten, zdecydowali się wynająć helikopter.

Materiał filmowy wraz z komentarzem już był w Niemczech, wysłany przez modem.

Cofnęła się do sklepu, ale nie dość szybko. Dieter zdążył ją zobaczyć. Rzucił się pędem w jej stronę.

– Elso! Elso! – wołał, roztrącając ludzi w ciasnej uliczce. Twarz mu płonęła i błyszczały oczy. Nie pamiętała już, jak bardzo jest przystojny. Istny Robert Redford w początkach kariery.

Nie było ucieczki, już przy niej stał.

– Dieter? – spytała niepewnie.  
– Kochanie, co ty tu robisz, o co ci chodziło z tą ucieczką?  
– Obejmował ją za ramiona, wyraźnie nie mogąc się nacieszyć jej widokiem.

Żadnej nadziei na dyskrecję... Ale przecież Claus i tak wszystko wie, podobnie jak połowa stacji telewizyjnej.

Nie odezwała się, tylko patrzyła w jego intensywnie niebieskie oczy.

– Claus dowiedział się, że tu jesteś, wczoraj widział cię ktoś z innej sieci, ale nie uwierzyłem. Och, najdroższa, jak dobrze, że wreszcie cię znalazłem!

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wcałe mnie nie znalazłeś, tylko spotkałeś przypadkowo. Muszę już iść.

Widziała, że Claus odwrócił się dyskretnie; nie chciał uczestniczyć w kłótni kochanków.

– Elso, nie bądź śmieszna... Rzuciłaś posadę, mnie, nie zostawiłaś ani słowa wyjaśnienia... Myślisz, że nie ma o czym rozmawiać?

Widać było, jak walczy z emocjami. Elsa nigdy jeszcze nie widziała go tak zdenerwowanego.

– Claus! – krzyknął do kamerzysty. – Zostaję tu na noc, wracajcie sami, jutro się z wami skontaktuję!

– Dieter, błagam, nie zostawaj z mojego powodu! A jeśli spróbujesz mnie do czegokolwiek zmuszać albo będziesz mi

groził, to przysięgam, że wezwę policję. Nie dalej jak wczoraj zamknęli faceta, który groził kobiecie, na pewno znajdą miejsce w celi dla następnego.

– Ja miałbym ci grozić? – zdumiał się Dieter. – Ani mi w głowie, przecież cię kocham! Elso, czy naprawdę za dużo wymagam, prosząc, abys mi wyjaśniła, czemu uciekłaś bez słowa?

– Napisałam ci w liście.

– Dwanaście linijek! – prychnął, sięgając do kieszeni marynarki.

– Wszędzie go z sobą noszę, umiem już całość na pamięć. Wciąż mam nadzieję, że pewnego dnia nabierze to dla mnie sensu. – Wyglądał na tak zmieszanego, że Elsa zaczęła mięknąć.

– Wszystko tam jest.

– Nieprawda, nic nie ma. Przysięgam, że sobie pójdę i zostawię cię w spokoju, jeśli tylko mi wyjaśnisz. Jeśli mi powiesz, dlaczego tak po prostu przekreśliłaś te całe dwa lata. Ty wiesz, dlaczego... ja nie. Zawsze postępowaliśmy wobec siebie uczciwie, więc bądź uczciwa i teraz, przynajmniej tyle jesteś mi winna.

Milczała. Może rzeczywiście jest mu winna więcej niż tych dwanaście linijek listu.

– Gdzie się zatrzymałaś? Pozwól mi przyjść – poprosił szybko, korzystając z jej wahania.

– Nie, u mnie nie... A ty gdzie mieszkasz? W Anna Beach?

To było jedyne miejsce nadające się dla turystów i względ-

nie wygodne.

– Tak, właśnie tam.

– Dobrze, pójdę z tobą i pogadamy w kawiarni. Jest tam weranda z widokiem na morze.

Odetchnął z ulgą.

– Dziękuję.

– Ale najpierw muszę zostawić wiadomość. Wyciągnął komórkę.

– Nie, nie znam numeru. – Podeszła do lady i oddała oliwki Yanniemu. Wywiązała się krótka dyskusja i zostało ustalone, że braciszek Yanniego zanieś oliwki do mieszkania Thomasa razem z paroma słowami wyjaśnienia, które Elsa skreśliła szybko na kartce.

– Nie napisałaś mu nawet dwunastu linijek. Powinienem czuć się pochlebiony – zauważył Dieter.

Uśmiechnęła się.

– To nie facet... no, dobrze: dwóch facetów, ale wiesz, co mam na myśli.

– Kocham cię, Elso – powiedział z wielkim żarem.

– Bardzo nam dziś pomogłaś, Fiono. Rodzice dzieci prosili, żeby ci podziękować.

– To nic takiego... Kocham dzieci. – W jej głosie dzwięczał smutek.

– Kiedyś będziesz miała własne.

– Nie wiem, Vonni, naprawdę nie wiem. Ty masz?



– Jedno. Syna, ale niełatwo mi o tym mówić – odparła Vonni, dając tonem do zrozumienia, że temat jest zamknięty. Nie miała nic – przeciwko dalszej rozmowie, byle nie o swoim synu. – Naprawdę masz podejście do dzieci. To nieważne, że nie znasz ich języka.

– Wiesz, Vonni... może jestem w ciąży. Właściwie to na pewno... i też nie jest mi łatwo o tym mówić.

– A ten młody człowiek, co wyjechał do Aten, wie o tym?

– Tak jakby... Nie wyszła nam ta rozmowa.

– Nie powinnaś być teraz sama. Zaprosiłabym cię do siebie, ale mieszkam teraz w czymś, co Thomas nazywa kurnikiem.

– Pójdę do Elsy – rzekła Fiona.

Elsy jednak nie było w apartamencie.

Gospodarze Davida powiedzieli, że on też jeszcze nie wrócił.

Vonni odprowadziła dziewczynę do swojego sklepu.

– Poczekam tutaj, póki się nie przekonam, że ktoś z tobą jest. – Została na ulicy, podczas gdy Fiona udała się na górę.

Dopiero kiedy zobaczyła, że Thomas otwiera drzwi i zaprasza Irlandkę do środka, ruszyła w stronę portu. Zamierzała pomóc rodzinie Manosa w kuchni. Przygotowano tam mnóstwo jedzenia, którego nikt nie podawał, nie było też komu zmywać, więc postanowiła zostać, póki będzie potrzebna.

– Wysłali go do Aten, zanim zdążyłam się z nim zobaczyć – łkała Fiona.

– Może tak będzie najlepiej – pocieszał ją David, ale widząc jej minę, dodał szybko: – Rozumiesz, to wam da czas na ochłonięcie. A potem on wróci albo coś...

– Albo napisze – rzucił bez przekonania Thomas.

– Gdzie jest Elsa? – spytała nagle Fiona. Może ona wymyśli coś rozsądnego, w przeciwieństwie do tych pełnych dobrych chęci facetów.

Zapadła cisza.

– Miała tu przyjść, ale spotkała kogoś... – zaczął niepewnie Thomas.

– Tego Niemca – uściślił David.

– I poszli gdzieś razem? – W głosie Fiony była czysta zazdrość.

– Najwyraźniej – odpowiedzieli chórem.

## Rozdział 7

W Anna Beach większość dziennikarzy właśnie się wymeldowywała. Kolejna praca skończona, kolejna katastrofa zarejestrowana, pora rozejrzeć się za następną. Wrócą do tej historii, kiedy śledztwo się zakończy i zostanie sporządzony oficjalny raport.

Dieter i Elsa usiedli w ratanowych fotelach przy niskim stoliku na oszklonej werandzie. Szafirowe morze w dole lizało niewinnie skały. Aż trudno uwierzyć, że to samo morze zaledwie kilka dni wcześniej odebrało życie tylu ludziom. Dieter zamówił dwie kawy.

– Chwileczkę. – Elsa zawołała odchodzącego kelnera. – Ten pan się pomylił, kawa ma być tylko dla niego. Ja poproszę ouzo z wodą.

– Proszę cię, nie utrudniaj – szepnął Dieter.

– Ja utrudniam? Dlatego, że wybieram sobie napój?

– Nie, wiesz, o co chodzi. O strzelanie goli.

– Och, jestem teraz ponad takie sprawy. Zresztą ty prosiłeś o tę rozmowę, więc słucham. Mów.

– Nie, nie. Chciałem, żebyś to ty mówiła. Dlaczego zniknąłeś, uciekłeś od wszystkiego, ukrywasz się na tym odludziu...

– Wcale się nie ukrywam! – wykrzyknęła Elsa z oburzeniem. – Złożyłam formalne wypowiedzenie z pracy, mieszkam

tu pod własnym nazwiskiem, kiedy poprosiłeś mnie o spotkanie, przyszłam, więc gdzie tu widzisz jakiś sekret? I dlaczego nazywasz to miejsce odludziem? Spójrz, co się dzieje w recepcji, połowa światowych mediów tam się kłębi!

– Nie cierpię, kiedy jesteś taka nonszalancka! To poza, wcale do ciebie nie pasuje!

– Zjawił się kelner. Elsa wlała trochę wody do anyżowego drinka i patrzyła, jak mętnieje. Potem wypłała go jednym haustem.

– Co za tempo! – Dieter zdziwił się i ubawił zarazem. Sam powoli sączył kawę.

– No? Może i ty się pośpieszysz, to pójdziemy na górę? – Co?!

– Do twojego pokoju – tłumaczyła, jakby był głuchy. Patrzył na nią, nic z tego nie rozumiejąc.

– Dieter, czy nie o to ci od początku chodziło? Mówiłeś „rozmowa”, ale nie miałeś na myśli pogawędki, tylko pieprzenie, prawda?

Zaskoczyła go.

– Ja... Daj spokój, Elso, nie musisz być taka wulgarna. Nie tak było dawniej.

– Przykro mi, ale przecież właśnie po to przychodziłeś co wieczór do mojego mieszkania. A także w porze lunchu i w ogóle, kiedy tylko mogłeś.

– Elso, kocham cię, a ty kochasz mnie, więc czemu, na mi-

łość boską, mówisz o tym w taki trywialny sposób?

– Więc nie chcesz iść ze mną do łóżka? – spojrzała na niego niewinnie.

– Wiesz, że chcę.

– To skończ kawę i poproś o klucz.

– Dziękuję, Vonni, nikomu poza tobą nie przyszło do głowy, żeby tu dziś przyjść i wszystko pozmywać. – Maria, wdowa po Manosie, stała w swojej kuchni, patrząc na czyste półmiski i błyszczące szkło.

– Jak sobie radzisz? Krewni jakoś ci pomagają?

– Większość tak, ale inni mówią, że był nieodpowiedzialny, a to żadna pociecha...

– Och, zawsze znajdzie się ktoś, kto mówi nie to, co powinien. Niektórzy się w tym specjalizują – zapewniła ją Vonni.

– Czyżbyś także tego doświadczyła?

– Mogłabym tomy pisać. Kto ci dokucza najbardziej?

– Moja siostra. Powiada, że powinnam się rozejrzeć za nowym mężem, póki jako tako wyglądam. Manos nie ostygł jeszcze w grobie, a ona wyskakuje z czymś takim!

– To ta sama, która wyszła za tego sknerę po drugiej stronie wyspy? – Tak.

– Więc raczej nie może uchodzić za autorytet w sprawach miłości. W ogóle się tym nie przejmuj. Kto jeszcze?

– Teść. Uważa, że nie dam rady wychować tutaj dzieci,

chce, żebyśmy zamieszkali u niego w Atenach. Za żadne skarby tam się nie przeniosę, nie cierpię tego miasta!

– Jasne, że nie. Powiedz mu, że o tym pomyślisz. Ze zgodnie ze starym zwyczajem, nie powinno się podejmować decyzji przez dwanaście miesięcy od pochówku.

– Naprawdę jest taki zwyczaj?

– W Irlandii. Nie musisz mu mówić, skąd ta tradycja pochodzi, tylko że jest powszechnie znana.

– Ale on zacznie robić plany...

– To mu twardo powiesz, że nie ma mowy o żadnych planach przed upływem roku. A potem znów coś wymyślisz: na przykład, że dzieci nie mogą zostawić szkoły.

– Miałaś już problemy tego rodzaju w związku ze śmiercią bliskich? Też wysłuchiwałaś przykrych słów? Bo zawsze jesteś taka opanowana...

– Moja siostra napisała mi po pogrzebie matki, że byłam dla niej dopustem bożym i że matka przeze mnie nie sypiała po nocach.

– Och, nie, Vonni, to nie mogła być prawda.

– Owszem, byłam lekkomyślna i znacznie bardziej nieodpowiedzialna niż twój Manos. Po tym liście czułam się fatalnie, długo myślałam, że siostra ma rację, ale po pewnym czasie przypomniałam sobie, jak udawało mi się rozśmieszyć matkę i zaraz zrobiło mi się rażniej, bo moja nudna siostra nigdy tego nie potrafiła.

– A teraz jesteś z nią w kontakcie? Ja swoją najchętniej wytrzasakałabym po pysku!

– Też długo skakałyśmy sobie do oczu, jednak życie jest o wiele łatwiejsze, jeśli się tego nie robi. Teraz co roku wysyłam jej kartki na Boże Narodzenie i na urodziny.

– I odpowiada?

– Przysyła mi pocztówki, kiedy jest we Włoszech na operze, albo z wycieczek do Hiszpanii. Chce mi pokazać, jaka to z niej kulturalna dama, chociaż ja wiem, że żyje samotnie i nie ma prawdziwych przyjaciół. Mnie w tym cichym zakątku jest znacznie lepiej, więc mogę jej okazać odrobinę życzliwości. Ty, Mario, też możesz sobie codziennie gratulować, że nie wyszłaś za takiego kutwę jak twój szwagier. Pomyśl, że ani się obejrzyś, jak twoja siostra wyjedzie do domu, a tam mąż znowu będzie liczyć każdy grosz. Może warto dać jej teraz spokój.

Maria się roześmiała.

– Dzięki tobie czuję się znacznie lepiej. Nie sądziłam, że jeszcze będę mogła się śmiać – powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu Vonni.

– Bo będziesz. Wypłacz się porządnie, ale także się pośmiej. To najlepszy środek na przetrwanie.

Davidowi nie chciało się wracać do wynajętego pokoju. Rodzina, u której mieszkał, wciąż oplakiwała syna, czuł się tam intruzem. Z kolei Fionie nie chciało się iść do domu Eleni i spać

tam samej, w świadomości, że Shane zostawił ją bez słowa wyjaśnienia.

– Zostańcie u mnie na noc – zaproponował nagle Thomas. – Fiona może zająć pokój od tyłu, a David prześpi się na sofie. – Spojrzawszy na ich twarze, dostrzegł w nich ulgę i wdzięczność.

Pokiwali głowami na znak zgody – to naprawdę wspomniały pomysł. Tej nocy nikt nie powinien być sam.

– Mogę przenocować na posterunku? – spytał Andreas brata.

– Właśnie miałem ci to zaproponować.

– Jakoś dziś ta droga na górę wydaje mi się strasznie długa.

– Nikt nie chce być sam w noc po tak smutnym pogrzebie – zauważył Jorgis, klepiąc go po rękę. – Ja także, dlatego cieszę się, że tu zostaniesz.

Rozmawiali o ludziach, którzy przyszli dziś opłakiwać zmarłych. Rozmawiali o swojej siostrze Christinie. Ona też na pewno by przyjechała, gdy nie to, że mieszka daleko i musi opiekować się rodziną. Natomiast nie padło ani jedno słowo na temat syna Andreasa, Adoniego, który przebywał w Chicago i nie kontaktował się ani z ojcem, ani z nikim z miasteczka. A kiedyś chodził do szkoły tymi samymi drogami co Manos...

Nie wspomnieli też żony Jorgisa, która opuściła go po pewnym incydencie wiele lat temu. Zawsze twierdziła, że tylko jest miła dla jednego z turystów. Jorgis jednak uważał, że żona



znacznie przekroczyła granice zwykłej życzliwości. Padły słowa, których nie dało się cofnąć, i kobieta już dawno temu wyjechała do swojej rodziny na Krete.

Jorgis podszedł do barku i wyciągnął butelkę metaxy. Potem przyniósł czyste prześcieradła i poduszkę.

– Wpuścisz mnie do celi? – spytał Andreas.

– Nie, bracie, jako dzieci sypialiśmy w jednym pokoju, to i teraz nic się nie stanie, jeśli dwaj samotni starsi faceci spędzą tę smutną noc razem.

Vonni podała krewnym Marii i Manosa kawę z baklawą, i zamierzała właśnie dyskretnie się ulotnić, kiedy Maria wróciła do kuchni.

– Vonni, mogę cię prosić o przysługę?

– Co tylko zechcesz.

– Możesz zostać tutaj na tę jedną noc? Chyba nie zniosłabym dziś samotności.

– Oczywiście, zostanę.

– Jesteś taką dobrą przyjaciółką, a to łóżko jest takie wielkie i puste...

– Ostrzegam cię, że trochę chrapię.

– Manos też chrapał, i to stale, chociaż za nic nie chciał się do tego przyznać.

– Drogi Manos! – westchnęła z czułością Vonni. – Na pewno by się cieszył, że pochrapię w jego łóżku przez jedną czy dwie noce.

Hotel Anna Beach dysponował małymi bungalowami z widokiem na morze. Dieter otworzył drzwi i cofnął się, by przepuścić Elbę.

Nie usiadła, tylko zaczęła studiować obrazki na ścianach – powiększone fotografie wybrzeża.

– Całkiem fajnie tutaj – zauważyła.

– Nie tego oczekiwałem.

– Ale uzgodniliśmy, że o to ci chodzi.

– To nie jest prawdziwy uśmiech, Elso...

– Nauczyłeś mnie uśmiechać się do kamery. Zęby i oczy, tak mówiłaś. Zęby i oczy. Dobrze to sobie zapamiętałam.

– Proszę cię, kochanie... nie bądź taka.

– No rzeczywiście, po co tracić czas? – Zdążyła już zdjąć granatowy żakiet, teraz ściągnęła przez głowę sukienkę i powiesiła ją starannie na poręczu krzesła.

Dieter wciąż się wahał.

Elsa pozbyła się koronkowego biustonosza i majtek, na koniec zrzuciła z nóg eleganckie granatowe sandaalki.

– Jesteś taka piękna... A już myślałem, że cię nigdy nie zobaczę! – Przyglądał się jej z jawnym podziwem.

– Przecież ty zawsze osiągasz wszystko, co chcesz. – Objęła go za szyję i pocałowała. I nagle było tak, jakby nigdy się nie rozstawali.

W mieszkaniu nad sklepem Fiona położyła się w małym białym pokoiku z turkusową kapą na łóżku i jasnoniebieskim fotelem. Na białej komódce stało lustro w niebieskich ramach w otoczeniu muszli i drobiazgów z ceramiki, całość sprawiała miłe i przytulne wrażenie.

Fiona była zmęczona i smutna.

Miniony dzień okazał się istnym koszmarem, a czekały ją jeszcze następne, równie koszmarnie. Nie spodziewała się, że zaśnie. Zbyt wiele się wydarzyło, a przyszłość rysowała się wręcz przerażająco. Jak cudownie byłoby mieć przy sobie Shane'a... Gdyby tak mogli oboje zatrzymać się przez kilka dni w tym ślicznym mieszkaniu Thomasa! Ale nawet myśląc o tym, Fiona wiedziała, że tylko się oszukuje. Shane kłóciłby się z Thomasem o każdy drobiazg, tak samo jak z innymi ludźmi. Z braku pewności siebie.

Załkała cicho.

To prawdziwe nieszczęście, że ludzie nie rozumieją Shane'a i widzą w nim wszystko, co najgorsze.

Ułożyła się w niebieskiej pościeli i płakała, póki sen jej nie zmorzył.

W pokoju obok Thomas i David grali w szachy. Zza ściany słyszeli cichy szloch.

– Płacze przez tego łobuza! – szepnął ze zdziwieniem David.

– Wiem, to nie do pojęcia – przyznał Thomas.

Siedzieli w ciszy, póki łkanie nie ucichło. Wówczas uśmiechnęli się do siebie z ulgą.

– Wiesz, jak się zachowujemy? – spytał David. – Jak rodzice szkraba, który nie chce usnąć.

– Taak... Zawsze jest taki moment: kiedy już, już wydaje się, że śpi, ty skradasz się na palcach do drzwi i nagle odzywa się senny głosik. Piękne czasy, słowo daję... – Thomas wyraźnie posmutniał, wspominając synka.

David zastanawiał się, co na to odpowiedzieć. Tak często zdarzały mu się gafy!

– Trudno zrozumieć kobiety, co? – wykrztusił wreszcie. Amerykanin przyjrzał mu się w zamyśleniu.

– Owszem, właśnie to samo przyszło mi do głowy. Fiona oplakuje zapijaczonego drania, który ją tłucze, Elsa spotyka się z facetem, chociaż przebyła tysiące kilometrów, chcąc od niego uciec... A moja żona, rzekomo uwielbiająca poezję, literaturę i sztukę, żyje z mięśniakiem, który w każdym pokoju mojego domu trzyma przyrządy do ćwiczeń.

Zabrzmiało to bardzo gorzko i David poczuł wyrzuty sumienia. Znowu coś palnął.

– Ty, Davidzie, pewnie też masz w zanadru jakąś historyjkę o niezgłębionej duszy kobiecej – zauważył Thomas, wzruszając ramionami.

– Nie, właśnie, jak już mówiłem Elsie, w tym cały problem.

Ja nikogo dotąd tak naprawdę nie kochałem, więc wszystko, co powiem, może wydawać się płytkie i sztuczne.

– To nieprawda – zaprzeczył Thomas z uśmiechem. – Jesteś dobrym facetem i cieszę się, że możemy ze sobą porozmawiać tej nocy. Ale w szachy grasz kiepsko. Nie zostawiłeś wolnych pól wokół króla i teraz biedak nie ma wyjścia: szach, mat.

Z jakiegoś powodu obaj uznali, że to bardzo zabawne i długo śmiali się tak głośno, jak tylko pozwalała im troska o śpiącą Fionę.

Dieter pogładził Elsę po twarzy.

– Musiałem mieć źle w głowie, kiedy myślałem, że cię straciłem. Nie odezwała się.

– Znów wszystko będzie dobrze. Nadal nie było odpowiedzi.

– Chyba nie mogłabyś aż tak udawać? – spytał już nieco zaniepokojony.

Elsa leżała, nic nie mówiąc.

– Odezwij się do mnie, powiedz, że to nie miało sensu, że wrócisz ze mną do kraju i znów wszystko będzie dobrze...

Wciąż się nie odzywała.

– Elso, proszę... no, proszę...

Bez pośpiechu wstała z łóżka i otuliła się białym puszystym szlafrokiem, który wisiał na drzwiach łazienki. Z paczki papierosów Dietera wyjęła jednego i zapaliła.

– Przecież rzuciłaś! – zawołał oskarżycielsko.

Zaciągnęła się głęboko i patrząc na niego w milczeniu, usiadła w dużym bambusowym fotelu.

– Wrócisz ze mną, Elso?

– Oczywiście, że nie. To pożegnanie i dobrze o tym wiesz, więc darujmy sobie te głupstwa.

– Pożegnanie?

– Tak, pożegnanie. Ty wracasz do kraju, a ja jadę... jeszcze nie zdecydowałam, dokąd.

– To przecież chore, my jesteśmy dla siebie stworzeni, wiesz o tym tak dobrze, jak ja. Wszyscy to wiedzą.

– Nie, wcale nie wszyscy. Wie parę osób z pracy, ale nie zabierają głosu, bo wodzisz ich na pasku. A ponieważ nie chcesz, by rzecz się wydała, od dwóch lat się ukrywamy. Więc może nie przesadzaj z tym „wszyscy”.

Patrzył na nią, zaskoczony.

– Wchodząc w to, wiedzieliśmy, co robimy. Oboje.

– No więc teraz także wiem, co robię – odparła chłodno Elsa.

– Ty nie należysz do kobiet, które się opierają, czekając na pierścionek zaręczynowy!

– Jasne, że nie, przecież poszłam z tobą do łóżka już na trzeciej randce, prawda? Raczej trudno mnie posądzać o jakieś gierki.

– No więc o czym my mówimy? – spytał, wyraźnie zdezo-

rientowany.

– Wszystko wyjaśniłam ci w liście.

– Do diabła z takim listem! Dwanaście linijek bez ładu i składu! Życie nie polega na rozwiązywaniu zagadek, oboje jesteśmy na to za starzy. Czego ty chcesz? Powiedz! Jeśli przykładasz mi pistolet do głowy i żądasz małżeństwa, to się zgadzam, proszę bardzo, możemy się pobrać!

– Słyszałam o bardziej gorących oświadczeniach.

– Przestań zgrywać idiotkę. Jeśli to jedyny sposób, żeby cię zatrzymać, to się z tobą ożenię. Będę miał zaszczyt się z tobą ożenić – poprawił się po chwili.

– Nie, Dieter, dziękuję. Nie wyjdę za ciebie.

– Więc czego ty chcesz?! – krzyknął, doprowadzony do rozpacz.

– Chcę cię zostawić, zapomnieć o tobie, wyrzucić cię na zawsze z mojego życia!

– Wybrałaś dziwny sposób na okazanie mi tego. – Obejrzał się na łóżko.

Wzruszyła ramionami.

– Już ci powiedziałam. Nie ufam ci, nie podziwiam cię już ani nie szanuję. Seks nie ma z tym nic wspólnego. Seks to seks, chwila przyjemności, podniecenia. Sam tak twierdziłeś, nie pamiętasz?

– Pamiętam, ale to było w zupełnie innych okolicznościach. I nie dotyczyło nas.

– A jednak zasada jest taka sama, czyż nie? – zauważyła z lodowatym chłodem.

– Nie, nie w naszym przypadku. Mówiliśmy wtedy o czymś bez znaczenia, co wydarzyło się w pijanym widzie na festiwalu filmowym z jakąś głupią pannicą, której imienia nawet nie pamiętam...

– Birgit. I ona ciebie pamięta.

– Tylko na tyle, żeby ci wszystko opowiedzieć i zdenerwować cię czymś, co w ogóle się nie liczyło.

– Wiem, zdaję sobie sprawę.

– Więc skoro tak, to, na miłość boską, o co ten cały dramat? Dlaczego wyjechałaś?

– Wyjaśniłam ci w liście.

– Nieprawda, napisałaś jakieś dyrdymały na temat odpowiedzialności i linii, które trzeba wytyczyć. Przysięgam, że nic z tego nie pojąłem.

Włosy miał w nieładzie, a na jego przystojnej twarzy widać było wzburzenie.

– Birgit opowiedziała mi o Monice – brnęła dalej Elsa.

– Monika? Monika? Przecież to było wieki przed poznanie ciebie! Zgodziliśmy się, że przeszłość to przeszłość, może nie?

– Tak.

– Więc po co to wywlekać? Przysięgam, że nie widziałem jej na oczy, odkąd poznałem ciebie. Ani razu!



- Wiem.
- To mi wytłumacz, proszę! Skoro wiesz, że od lat jej nie widziałem ani nawet o niej nie pomyślałem, to o co ci chodzi?
- Swojej córki też nie widziałeś ani o niej nie pomyślałeś od lat.
- Ach! Birgit naprawdę wzięła się do roboty, co? Elsa milczała.
- To się nie miało zdarzyć. Mówiłem Monice, że nie dojrzałem jeszcze do rodzicielstwa, do założenia domu. Wiedziała o tym od samego początku. Nie było żadnych niedomówień. – Zaczynał już wpadać w złość.
- Ile ma lat? – spytała spokojnie Elsa. Tym razem naprawdę się stropił.
- Monika?
- Gerda. Twoja córka.
- Nie wiem. Mówiłem, że nie mam z nimi kontaktu.
- Musisz wiedzieć.
- Osiem, dziewięć... Po co drążysz ten temat, Elso? To nie ma nic wspólnego z nami.
- Zostałeś ojcem. To ma z tobą coś wspólnego.
- Nie. To incydent z zamierzchłej przeszłości i wydarzył się nie z mojej winy. Monika wiedziała o antykoncepcji. Nie mam nic wspólnego z jej dzieckiem, nie miałem i nie będę miał. Zaczęliśmy wszystko od nowa.
- Ale Gerda zaczęła bez ojca.

– Przestań nazywać ją po imieniu, nie znasz jej, powtarzasz tylko paplaninę Birgit!

– Powinieneś mi powiedzieć.

– Nie, to także byłoby niedobrze. Zarzuciłabyś mi, że wleczę się za mną dziecko z poprzedniego związku. Bądź ucziwa, Elso, miałabyś mi to za złe.

– Znacznie mniej niż fakt, że wyrzekasz się własnej córki, pozbawiając ją nadziei i pozwalając, aby gubiła się w domysłach.

– To wyssana z palca gadka, przecież nic nie wiesz o tym dziecku.

– To cały czas moja własna historia! Ojciec nas zostawił, a ja przez całe dzieciństwo czekałam, miałam nadzieję, gubiłam się w domysłach. Każde urodziny, każda Gwiazdka, każde lato... Wciąż myślałam, że wreszcie napisze, zadzwoni, zechce mnie zobaczyć...

– Z tobą było inaczej. Twój ojciec wcześniej z wami mieszkał, miałaś prawo myśleć, że zawsze tak będzie. Ale ja nigdy nie widziałem na oczy dziecka Moniki. Nigdy. Więc nie było mowy o żadnej nadziei.

Elsa rzuciła mu przeciągłe spojrzenie.

– Co chcesz, żebym zrobił? – spytał po chwili. – Nic.

– Czy wróciłabyś do mnie, gdybym nawiązał kontakt z tym zupełnie obcym dzieckiem?

– Nie, nigdy do ciebie nie wrócę.

– Ale to wszystko... – Znów obejrzał się na łóżko, w którym dopiero co się kochali. – To nic dla ciebie nie znaczy?

– Wiesz, że znaczy. Znaczy „żegnam”. – Zaczęła wkładać sukienkę i sandały. Wsunęła bieliznę do torebki i ruszyła do drzwi.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyknął.

– Do widzenia, Dieter. – Minęła wypielegnowane skalne ogródki Anna Beach, kierując się w stronę bramy. Granatowy zakiet miała przewieszony przez ramię.

Dieter wołał za nią z bungalowu:

– Nie odchodź, Elso, proszę! Tak bardzo cię Kocham! Nie zostawiaj mnie!

Ale ona szła dalej.

Vonni uświadomiła sobie, że w domu Marii brakuje mleka, a przecież rano wszystkim będzie potrzebne. Gdy tylko oddech Marii się wyrównał, wymknęła się z wielkiego łóżka i znalazła gliniany dzbanek. Postanowiła pójść do Anna Beach, tam kuchnia jest czynna całą noc.

Wracała już z dzbankiem pełnym mleka, kiedy zobaczyła tę piękną Niemkę. Szła sama, po twarzy płynęły jej łzy. Vonni cofnęła się za krzew bugenwilli, żeby tamta jej nie widziała.

Potem jakiś mężczyzna zaczął krzyczeć na całą ulicę. Vonni nie mówiła dobrze po niemiecku, ale zrozumiała, co wołał. I gdyby ją pytano o zdanie, w jego głosie dźwięczała szczerłość.

Jednak Elsa nawet się nie obejrzała.

## Rozdział 8

Thomas wyszedł po świeży, gorący chleb i figi na śniadanie. Potem zaparzył duży dzbanek kawy i ustawił filiżanki.

Fiona szła ze swego pokoju z uśmiechem wdzięczności na bladej, wymęczonej twarzy. David złożył lekki pled, który dał mu Thomas, i wyklepał poduszki, po czym skwapliwie ruszył do stołu.

– Ale on nas psuje, co, Fiono? To szczęście, że trafiliśmy na takiego gościnnego gospodarza!

– O tak... – Dziewczyna tryskała energią. – Czuję się dziś znacznie silniejsza. Mam mnóstwo planów.

– To nam o nich opowiedz – zachęcił ją Thomas z uśmiechem.

– Najpierw pójde na policję i porozmawiam z komendantem. Ochłonęłam już i nie będę histeryzować. Poproszę, żeby mi pomógł odnaleźć Shane'a, może wie, gdzie on jest. Zatrzymaliśmy się w Atenach tylko na jedną dobę, w drodze na tę wyspę, ale pamiętam, że podobał mu się plac Syntagma. Może Jorgis ma jakiegoś znajomego w tamtejszej policji, który ewentualnie przekazałby wiadomość. Potem wrócę do Eleni, żeby się przebrać, bo noszę tę sukienkę już od kilku dni. A na koniec odszukam Vonni i zapytam, czy nie trzeba jej pomocy przy dzieciach. – Oczy błyszczały jej entuzjazmem, wczorajszy nastrój przy-

gnębienia minął bez śladu.

David także był pełen zapału.

– Przejdę się na górę do tawerny Andreasa. To prawdziwy dżentelmen... chociaż może głupio się wyraziłem.

– Skądże, trafiłeś w dziesiątkę: właśnie dżentelmen. Na pewno bardzo się ucieszy, pozdrów go od nas serdecznie, dobrze?

– Oczywiście.

– Ja też mam kilka spraw do załatwienia. Trochę później, jak już w Kalifornii wszyscy wstaną, zadzwonię do syna. Przede wszystkim jednak muszę znaleźć Vonni. Nie wróciła na noc do swojej szopy.

– Skąd ty to wiesz, u licha? – zdziwił się David.

– Bo zwykle kręci się wokół domu z latarką, a dziś jej nie widziałem. Ale gdy tylko ją znajdę, to poty będę nalegał, aż ją przekonam, żeby odtąd spała we własnej sypialni. Aż mnie mrowi, że nocuje w tym kurniku...

– Mrowi? – spytała Fiona.

– Ach, to takie słówko... Znaczy, że coś cię irytuje, swędzi, jakbyś miała mrówki w majtkach.

– Shane by się tym zachwycił! – wykrzyknęła radośnie. Żaden z mężczyzn nie umiał wymyślić sensownego komentarza.

Elsa była w swoim apartamencie. Wiedziała, że nie zaśnie, więc usiadła na balkonie i obserwowała wschód słońca nad Agia

Anna.

Miasteczko z wolna budziło się do życia. W końcu, uznawszy, że noc ze wszystkimi koszmarami i strachami dobiegła końca, Elsa wróciła do środka, wzięła długi prysznic i umyła włosy. Ubrana w żółtą bawełnianą sukienkę, usiadła z filiżanką kawy i patrzyła, jak prom szykuje się do wyjścia w morze.

Dieter o ósmej popłynął nim do Aten, była tego całkowicie pewna. Wie, że ona z nim nie wróci, więc po co miałby czekać do jedenastej? To nie w jego stylu. Wczoraj odesłał już Clausa i innych wynajętym helikopterem. Zrozumiał, że nie ma sensu szukać jej po całym miasteczku. Na tym balkonie nie ma szans jej wypatrzeć, ale Elsa będzie wiedziała, czy rzeczywiście wyjechał.

Nie dostrzegła go wprawdzie w tłumie oczekującym przed kolorowo wymalowaną schodnią, jednak na pewno tam jest... Mimo wszystko znają się przecież na wylot.

I nagle go zobaczyła. Z włosami w nieładzie, z rozpiętym kołnierzykiem koszuli ścisnął w rękę znajomą skórzaną torbę.

Rozglądał się dookoła, jakby mimo wszystko spodziewał się, że Elsa tam będzie. Nic nie zauważył, nikogo nie widział, ale znał ją na tyle, by czuć na sobie jej wzrok. Nagle postawił torbę na ziemi i podniósł obie ręce w górę.

– Kocham cię, Elso! – krzyknął. – Gdziekolwiek jesteś, wiedz, że zawsze będę cię kochał!

Paru młodych ludzi zaczęło mu bić brawo. Deklaracja mi-

łości zawsze budzi sympatię.

Elsa stała jak wmurowana, kiedy mały prom pruł wody zatoką, biorąc kurs na Pireus. Łzy z jej oczu kapąły prosto do filiżanki z kawą.

– Davidzie, mój przyjacielu, witaj, witaj z całego serca! – Andreas nie posiadał się z radości.

David poczuł ukłucie żalu. Czemu to na twarzy ojca nie pojawia się na jego widok taki promienny uśmiech zamiast wiecznego grymasu niezadowolenia i zawodu?

Pogadali sobie swobodnie na temat wczorajszego pogrzebu i tego, jak w Agia Anna wszystko się teraz zmienia.

– Dobrze znałeś Manosa? – spytał David.

– Tak, my wszyscy się znamy, tu żaden sekret się nie uchowa. Manos przychodził do nas bawić się z Adonim i jeszcze jednym chłopcem. Zrobili sobie huśtawkę na tamtym drzewie. Chętnie uciekał od swojej rodziny... tamci mieli ich aż ośmiu, a Adoni był jedynakiem, cieszyliśmy się, że ma kolegów. Kiedy moja żona, która już odeszła do Pana, stała przy kuchni, zerkąła na chłopaków i wiedziała, że są bezpieczni, mieli tam starego psa i tę huśtawkę... Ciekawe, czy z nieba także ich widzi – biednego Manosa w grobie, a Adoniego w Chicago. Czy wie, że tak się od nas odciął? Jeśli w niebie można mieć ciężkie serce, to jej pewnie waży tyle co ołowiana kula...

David żałował, że nie ma takiego wyczucia jak Thomas.



Ten zaraz znalazłby jakieś krzepiące słowa, może nawet zacytowałby stosowny wiersz?

On sam nie mógł przypomnieć sobie żadnego odpowiedniego cytatu.

– Ja się znam tylko na żydowskim niebie, a i to nie za bardzo – rzekł przepraszająco.

– A myślisz, że ci z żydowskiego nieba widzą, co się u nas dzieje?

– Tak, chyba tak, tylko według mnie, mają szerszą perspektywę, po prostu widzą cały obraz. Przynajmniej tak słyszałem.

Dziwne, ale Andreasa jakby to pocieszyło. Pokiwał kilka razy głową.

– Chodź, Davidzie, zjedźmy razem lunch. Coś nie widać dziś zbyt wielu gości.

David popatrzył na otwarte pojemniki z potrawami, które przygotował na dziś Andreas, i coś go ścisnęło za gardło. Tyle się napracował i wszystko na marne...

– Nigdy jeszcze nie próbowałem takiej pasty – zaczął.

– Davidzie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zamrozę ten duży półmisek. Przygotowałem to zaledwie dzisiaj rano. Może dasz się namówić na musakę albo kalmary? Wiem, to źle świadczy o mojej gościnności, że daję ci do wyboru tylko to, co trzeba zjeść dzisiaj... – Andreas zaśmiał się z zażenowaniem.

– Nawet wolę musakę. Wybrałem tę pastę tylko dlatego, że jest jej tak dużo. Nie chciałem, żeby twoja praca się zmarnowa-

ła.

– Jaki ty jesteś miły. Usiądź tutaj, na słońcu, zaraz przyniosę szklanki i talerze.

I David usiadł posłusznie, zastanawiając się, co ten młody głupek robi w Chicago, skoro mógłby być tutaj.

Eleni z radością przywitała Fionę, która doznała szoku, widząc, że zniknęły rzeczy Shane’a – pomięte koszule i dżinsy, płócienna torba, puszka z tytoniem i czymś tam jeszcze, bibułki do papierosów. Mimo wszystko wciąż miała nadzieję, że zostawił jej jakąś wiadomość u gospodyni, ale tak się nie stało.

Kołana się pod nią ugięły. Może z powodu duchoty w pokoju, a może dlatego, że teraz już wiedziała: Shane naprawdę zniknął z jej życia.

Przecież to takie proste napisać parę słów i zostawić tutaj, nawet jeśli nie chciał zrobić tego na posterunku. Kręciło się jej w głowie, jakby zaraz miała zemdleć, ale zebrała resztkę sił, żeby nie sprawiać kłopotu Eleni – takiej miłej i pełnej współczucia.

Nagle poczuła ciepłą wilgoć na udach.

To na pewno pot.

Taki gorący dzień...

Jednak gdy zerknęła w dół, na sandały, aż za dobrze zrozumiała, co się dzieje.

Eleni zorientowała się także, kiedy ujrzała krew. Czym prę-

dziej podsunęła jej krzesło.

– *Ela, ela, ela* – powiedziała i pobiegła po ręczniki.

– Eleni, mogłabyś poszukać Vonni? Vonni, znasz ją? – Pokazała na twarz, kreśląc palcem bruzdy.

– *Xero Vonni*, tak, tak, znam. – Eleni krzyknęła coś do dzieci. Fiona zamknęła oczy.

Zaraz przyjdzie Vonni, ona będzie wiedziała, co robić.

Vonni siedziała naprzeciwko Thomasa w mieszkaniu nad sklepem.

– Mówiłam ci przedtem i powtarzam jeszcze raz: płacisz mi mnóstwo euro, więc korzystaj z mieszkania bez skrupułów. Dzięki tobie jestem bogata, nie potrzebuję twojego współczucia i nie będę tu spała.

– Nie znasz takiego pojęcia jak „przyjaźń”?

– Chyba znam, tak samo jak wszyscy.

– Więc zastosuj je w tym wypadku. Nie proszę cię jako moją gospodynię, tylko jako przyjaciółkę. Spij w tym pokoiku, który tak ślicznie urządziłaś, a nie z łażącymi dookoła kurczakami.

Vonni parsknęła śmiechem.

– Och, Thomas, jesteś taki kalifornijski, taki higieniczny! Żadne kurczaki po mnie nie łażą. Owszem, są dwie kury, ale w oddzielnej części komórki.

– Zostań w tym pokoju, proszę! Nie znoszę być tylko ze

sobą, czuję się samotny, potrzebuję kogoś za ścianą.

– Daj spokój, lubisz spokój i niezależność. Jesteś wrażliwym facetem, nie oferuj mi miłosierdzia.

– Ty też jesteś wrażliwa, więc nie odrzucaj mojej oferty przyjaźni.

W tym momencie usłyszeli na schodach głosy wykrzykujących coś dzieci.

– Muszę iść. – Vonni zerwała się na nogi. Przytrzymał ją za rękę.

– Nigdzie nie pójdziesz, póki nie zgodzisz się na moją prośbę. Słyszysz?

– Słyszę, słyszę. Zgoda – odrzekła, ku jego zaskoczeniu.

– No dobrze, teraz możesz iść.

– Chodź ze mną, to mi pomożesz. Sprowadź z placu taksówkę. – A w następnej chwili zaskoczyła go jeszcze bardziej, bo złapała z łazienki kilka ręczników i zbiegła po schodach, tłumacząc coś chłopcom po grecku.

– Co się stało? – spytał, doganiając ją.

– To się stało, że być może Fiona ma odrobinę szczęścia. Chyba właśnie traci dziecko tego gnojka, co ją tak pobił, ale oczywiście zachowamy swoje zdanie dla siebie.

Thomas pobiegł po taksówkę, a gdy przyjechała, Eleni wpełnęła chłopców na tylne siedzenie, pochwaliwszy ich przedtem, że tak szybko ją znaleźli. Przejażdżka taksówką była dla nich rzadką przyjemnością, którą powitali z wyraźnym zachwy-

tem. Thomas już miał zapytać, czy na pewno na coś się przyda, ale doszedł do wniosku, że Vonni nie prosiłaby go bez potrzeby, więc uśmiechnął się tylko i wsiadł także.

– Nie mogę powiedzieć, aby życie z moją nową współlokatorką okazało się monotonne.

– Poczciwe z ciebie chłopisko – odrzekła z szerokim uśmiechem.

Poprosili taksówkarza, żeby poczekał, na wypadek, gdyby musieli jechać do lekarza. Thomas został na dole i przyglądał się chłopcom, którzy co kilka minut przerywali zabawę, żeby podbiec do samochodu i chociaż go pogłaskać.

Byli niewiele młodszy od Billa, ten jednak podróżował autem, odkąd pamiętał. Jak inaczej ludzie tu żyją...

Vonni poszła na górę i po chwili Thomas usłyszał głosy w języku greckim i angielskim. Z tego, co zrozumiał, wynikało, że Fionie nic nie zagraża.

Potem Vonni sama go o tym zapewniła.

– Wszystko będzie dobrze, straciła trochę krwi, ale jest pielęgniarką i dość rozsądną osobką, pod każdym względem, z wyjątkiem tego głupka. Myśli, że on się zmartwi, kiedy o tym usłyszy. Niech Bóg ma nas w opiece! Zresztą poprosiłam lekarza, żeby na nią zerknął i dał jej coś przeciwbólowego.

– Czy ona powinna tu zostać?

– Raczej nie, oni nie mówią po angielsku... Pomyślałam...

– ... że mogłaby przenieść się do nas – wpadł jej w słowo Thomas.

– Nie, niezupełnie. Chciałam zaproponować, żeby spędziła ze dwa dni u Elsy.

Thomas pokręcił głową.

– Elsa jest w tej chwili zajęta własnymi sprawami, Fionie lepiej będzie u nas.

– Być może Elsa nie ma już żadnych spraw.

– Ale...

– Słyszałam, że ten Niemiec odpłynął promem o ósmej.

– Więc pewnie jest strasznie przygnębiona.

– Chyba nie, bo sama do tego doprowadziła, tylko nie musimy zdradzać, że o tym wiemy, co?

– Wiesz, gdzie ona mieszka, prawda? – uśmiechnął się Thomas.

– Znam ten budynek, ale słuchaj, taksówka wciąż tu stoi. Może byś tak podjechał i sam zapytał, co ona o tym sądzi?

– Myślisz, że się do tego nadaję?

– Jak nikt na świecie. Poczekam, póki nie wrócisz.

Chwilę później Thomas spojrzął za siebie i zobaczył, że Vonni wychodzi z domku obładowana stertą brudnych prześcieradeł i ręczników – pewnie zamierzała je od razu wyprać. Co za niezwykła kobieta! Chętnie dowiedziałby się o niej czegoś więcej, jednak zorientował się już, że Vonni mówiła o sobie niewiele i tylko wtedy, kiedy sama miała na to ochotę.

– Vonni?

– Już wszystko w porządku. Fiona wyciągnęła rękę.

– Chciałam cię przeprosić za ten kłopot. Krew, zamieszanie i w ogóle...

– Wiesz, że to nic wielkiego. Ty, jako pielęgniarka, doskonale się przecież orientujesz, że to żadna robota. Najważniejsze, że wracasz do zdrowia, niedługo znów będziesz silna jak dawniej.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Niesamowite! – Co?

– Właśnie to. Eleni i ja zamartwiamy się o ciebie, ona wysłała po mnie dzieci, Thomas wiezie nas taksówką, a potem ugaania się za Elszą, żeby zapytać, czy możesz się u niej zatrzymać, sprowadzamy doktora Lerosa, krótko mówiąc, wszyscy, którzy cię znają, przejmują się twoim losem, tylko ciebie jednej nic to nie obchodzi. Pięknie!

– Nie to miałam na myśli. Po prostu nie obchodzi mnie, co się teraz stanie. To już koniec, straciłam wszystko, na czym mi zależało.

Wyglądała naprawdę żałośnie.

Vonni przysunęła sobie krzesło.

– Zaraz przyjedzie doktor Leros. To sympatyczny człowiek, prawdziwy lekarz starej daty. Wprawdzie nie zobaczysz go w najlepszej formie, bo serce mu się ściska, dopiero co musiał

stwierdzić zgon młodych ludzi, którym kiedyś pomagał przyjść na świat. Potem jeszcze godzinami dukał po angielsku i niemiecku, starając się przekonać rodziny ofiar, że ich bliscy nie cierpieli długo przed śmiercią. Jak myślisz, czy w takiej chwili miło mu będzie słuchać, że młoda dziewczyna, która poroniła w bardzo wczesnym stadium ciąży, nie dba o własne życie? Naprawdę, Fiono, to nie pora na takie gadanie. Oczywiście, masz prawo do smutku, ale pomyśl o innych, tak jak to robisz w swojej pracy pielęgniarki, tak jak myślisz o tym facecie, którego ponoć kochasz. Będę tu z tobą, mnie możesz powiedzieć wszystko, nawet że chcesz umrzeć, tylko oszczędzaj doktora Lerosa, bo on przeszedł dziś prawie tyle, co ty.

Fiona płakała.

– Przepraszam... Po prostu każdy mi wmawia, że Shane jest podły, że dobrze się stało, a to przecież nieprawda. Cieszyłam się na to dziecko, kochałabym je, nieważne synek czy córeczka, a teraz już go nie ma...

Vonni pogłaskała ją po ręce.

– Wiem, wiem – powtarzała raz po raz.

– Ty nie uważasz, że tak jest najlepiej?

– Oczywiście, że nie. Strata kogoś, kto miał się stać człowiekiem, musi być strasznym przeżyciem i ogromnie mi Ciebie żal. Ale gdyby to dziecko przeżyło, musiałybyś wykazać się nie lada siłą. Teraz zresztą także. Pamiętaj, że masz tu przyjaciół, nie jesteś sama. Niedługo przyjdzie Elsa.



– Och, nie, po co miałyby mnie brać do siebie, ma przecież własne życie i własnego faceta. Ona myśli, że skoro kocham Shane’a na przekór wszystkiemu, to jestem słaba. Na pewno nie zechce mieć ze mną nic wspólnego.

– Owszem, zechce. Zapamiętaj moje słowa. O, jedzie już doktor Leros.

– Zapamiętam.

– Grzeczna dziewczynka! – pochwaliła ją Vonni.

Chłopcy Eleni nie przeżyli jeszcze takiego dnia.

Jazda taksówką, w domu kręci się tyle ludzi, rozpięte na sznurze prześcieradła łopoczą na słońcu. Wysoki Amerykanin w śmiesznych spodniach za drugą wizytą przyniósł im arbuza.

– *Karpouzi!* – powiedział głośno, dumny że zna nazwę czegoś tak zwyczajnego jak arbuza. Zabrali owoc za dom i zjedli, a potem zakopali pestki w ziemi.

Amerykanin, który czekał przy taksówce na kobiety, obserwował ich z zadowoleniem. Potem ta chora pani zeszła z Vonni, z ich matką i jeszcze z tą elegancką turystką w żółtej sukience, podobną do gwiazdy filmowej. Był z nimi doktor Leros, który wciąż powtarzał, że chorej nic już nie jest, ale musi leżeć.

Spakowali jej torbę, więc chyba wyjechała na dobre.

Wciąż mówiła coś o pieniądzach, a matka kręciła tylko głową. Niedługo potem facet w dziwnych portkach – on musi

być milionerem, skoro cały dzień jeździ taksówką – wcisnęła matce kilka banknotów, po czym wszyscy odjechali.

Z wyjątkiem Vonni, która usiadła z matką przy kawie, ale wyraz ich twarzy wskazywał jasno, że chłopcy nie są mile widziani przy kuchennym stole.

– Zostanę tylko dwa dni, póki się nie pozbiaram – obiecała Fiona, kiedy zobaczyła wytworny apartament Elsy.

– Dobrze mi będzie z tobą – zapewniła ją Niemka. Wyciągała z płóciennej torby rzeczy Fiony, roztrzepywała je i wieszała. – Jest tu żelazko, potem możemy zająć się prasowaniem.

Fiona spojrzała na kremową sukienkę i granatowy żakiet, suszące się na balkonie.

– Ale ty jesteś zdyscyplinowana! – rzekła z podziwem. – Zaledwie wczoraj nosiłaś to na pogrzebie i już wszystko wyprałaś.

– Nie włożę już więcej tego kompletu, chcę go komuś oddać, dlatego najpierw wyprałam – brzmiała spokojna odpowiedź.

– Ależ Elso! To twoje najlepsze rzeczy, przecież musiały kosztować majątek! Nie możesz ich ot, tak wyrzucić! – wykrzyknęła Fiona ze zgrozą.

– Przymierz je później, skoro ci się podobają, i jeśli będą pasowały, to z największą chęcią ci podaruję. Ja na pewno nie będę już tego nosić.

Fiona oparła się na poduszce i zamknęła oczy. Za dużo tych

wszystkich przeżyć...

– Usiądę tu sobie teraz i poczytam – odezwała się Elsa. – Na zewnątrz jest za gorąco, więc zostanę z tobą w pokoju. Spróbuj się zdrzemnąć, a gdybyś chciała pogadać, to proszę bardzo.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo jest o czym, prawda?

– Może później nabierzesz ochoty. – Uśmiechnęła się ciepło i zaciągnęła zasłony.

– Będiesz czytać po ciemku? – zdziwiła się Fiona.

– Oczywiście. Wystarczy mi jedna smuga światła – odrzekła Elsa, sadowiąc się przy oknie.

– Spotkałaś się z nim?

– Owszem.

– I jesteś z tego zadowolona?

– Cóż, właściwie to było pożegnanie. Trzeba było pewne rzeczy jasno powiedzieć, chociaż nie poszło mi łatwo, ale teraz już koniec. Jak ty to powiadasz? Byle do przodu, tak?

– Łatwo mówić, trudniej wykonać... – westchnęła Fiona sennie, gdyż lekarstwo zaczynało już działać. Po chwili spała, oddychając równo i spokojnie.

Elsa obserwowała ją we śnie. Musi mieć około dwudziestu trzech, może czterech lat, wygląda jednak młodziej. Czyż los nie okazał się dla niej miłosierny? Elsa wzięła sobie jednak do serca przestrogę Vonni; bez względu na wszystko, powstrzyma się od jakichkolwiek aluzji na ten temat.

Thomas wyliczył, kiedy najlepiej zatelefonować do Billa: w porze, kiedy chłopiec je śniadanie. Wybrał numer, zastanawiając się, jakie ma szanse, że słuchawkę podniesie jego syn. Prawdopodobnie trzy do jednego, a może i to nie, bo dziecko raczej nie będzie odbierało telefonu, jeśli w pobliżu są dorośli.

No i rzeczywiście odezwał się Andy.

– Cześć, Thomas, dobrze że wtedy zadzwoniłeś, ale mieliście tam piekło!

– Tak, straszna tragedia. – Thomas wiedział, że zabrzmiało to sucho i zdawkowo. Zapadła chwila ciszy.

– A poza tym wszystko w porządku? – spytał Andy.

Ten facet jest nieznośny, żeby tak lekko mówić o katastrofie, która dotknęła całe miasteczko...

– Klawo, można powiedzieć – odparł kąśliwie. – Jest tam Bill?

– Pomaga matce zmywać.

– Jasne, to może mu powiedz, żeby wytarł ręce i pofatygował się do telefonu, bo ojciec dzwoni do niego z drugiego końca świata?

– Zobaczę. – Ten facet jest genialny.

– Może jego matka łaskawie pozwoli mu podejść, nawet jeśli nie skończył. – Thomas uświadomił sobie, że bezwiednie zaciska pięści. A jednocześnie, że Vonni obserwuje go od kuchennych drzwi. Nie poprawiło mu to humoru.

– Cześć, tato! – Bill jak zawsze wydawał się zachwycony

jego telefonem.

– Jak leci, synu? Wszystko dobrze?

– Jasne. Czy twoja wyspa należy do Dodekanezów?

– Nie. Jeśli masz pod ręką ten duży atlas, to ci powiem, gdzie szukać.

– Nie, pod ręką go nie mam. Książki są teraz na górnym podeście.

– Ale chyba nie atlas i słownik? Przecież są ci potrzebne, kiedy oglądasz telewizję. Bill, nie można usuwać z życia wszystkich oznak kultury, tylko po to, aby zrobić miejsce na jeszcze jedno urządzenie gimnastyczne. – Mówił z prawdziwym żalem.

Po drugiej stronie zapadła cisza, jakby chłopiec zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Daj mi mamę, Bill.

– Nie, tato, znów się pokłócicie, jak zawsze. Proszę cię, to przecież nieważne, gdzie leży atlas, jeśli poczekaś, to go przyniosę.

– No dobrze, masz rację, że to nieważne. Wyślę ci e-mail z rysunkiem w załączniku. Jeśli oczywiście twojego komputera także gdzieś nie wepchnęli.

– Ależ nie, tato – odparł Bill z wyrzutem w głosie.

– Co będziesz dziś robił? U was jest jeszcze wcześniej, prawda?

– Tak, najpierw wybieramy się na zakupy. Mam dostać no-

we tenisówki, a potem idziemy z Andym na przebieżkę, żeby je wypróbować.

– To świetnie – zauważył Thomas grobowym głosem, tyście kilometrów dalej, i nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Tęsknię za tobą, synu.

– Tak, tato, ja też bardzo tęsknię, ale to ty wyjechałeś.

– Kto ci to powiedział? Mama czy Andy? Posłuchaj, Bill, rozmawialiśmy o tym bez końca: tak jest lepiej dla mnie, a poza tym macie teraz więcej swobody jako rodzina...

– Nie, tato – przerwał mu Bill. – Mama nic takiego nie mówiła. Andy też nie. Po prostu brakuje mi ciebie, bo wciąż jestem tutaj, a ty wyjechałeś.

– Przepraszam, synu, my tu wszyscy jesteśmy zmartwieni. Tyłu ludzi zginęło... Niedługo znowu zadzwonię. – Odłożył słuchawkę, tak samo zgaszony jak od lat.

Vonni podeszła do niego z brandy.

– Nieźle narozrabiałeś.

– Ty nie rozumiesz, co to znaczy mieć syna – burknął, wstrzymując łzy.

– Czemu, u diabła, uważasz, że nie mam syna? – spytała z oburzeniem.

– A masz? – zdziwił się Thomas.

– Owszem. Nie masz monopolu na rodzicielstwo.

– I gdzie on jest? Dlaczego nie z tobą?

– Bo, podobnie jak ty, wszystko spałam.

Wiedział, że nic więcej mu nie powie. I mimo tak krytycznej postawy, cieszył się, że z nim jest. Znacznie to lepsze niż cztery ściany, w których by płakał, wyrzekając na los ukochanego syna.

Jorgis podjechał do tawerny. Dostał od kogoś dużą nogę jałgnięcia, może Andreas upichciłby coś dla swoich gości? Ten jednak odparł ze smutkiem, że tylko David zawitał dziś w jego progi i raczej nikogo więcej nie oczekuje. Ale ma pomysł: może tak upiekliby tę nogę na posterunku i uraczyli prawdziwym obiadem wszystkich chłopaków, którzy tyle się naharowali przy pogrzebie?

Mogliby zaprosić jeszcze Davida z przyjaciółmi i Vonni. Andreas wrzucił wszystkie składniki sałatki do wielkiej misy. Wyraźnie cieszyła go myśl o gotowaniu dla tylu osób, przynajmniej nie będzie siedział sam w kuchni.

– Nie wiem, czy na posterunku będzie wygodnie – wahał się Jorgis. – Nie bardzo tam przytulnie.

– Zabierzemy te długie czerwone poduszki i położymy je na ławkach. – Andreas nie dawał za wygraną. – Davidzie, pójdź do pokoju Adoniego i przynieś je, dobrze?

Anglik popatrzył na niego ze zdumieniem. Adoni od tylu lat był w Chicago, a nadal miał tu swój pokój?

– Na górze po lewej stronie – wyjaśnił Jorgis i David ruszył ku wąskim schodkom.

W pokoju Adoniego wisiały zdjęcia piłkarzy Panathinaikosu i plakaty greckiego zespołu tanecznego oraz obrazki monasteru Panaya i Matki Boskiej. Chłopak miał widocznie różne zainteresowania.

Łóżko było przygotowane tak, jakby Adoni jeszcze dziś miał wrócić na noc, z czerwonym pledem starannie złożonym w nogach. Na ławeczce pod oknem leżały wąskie czerwone poduszki.

David wyjrzał na zewnątrz. Popołudniowe słońce oświetlało wzgórza z oliwnymi gajami nad błękitną zatoką. Ciekawe na co ten chłopak patrzy w Chicago i czy to jest choć w jednej dieśiątej takie piękne? Chwycił poduszki i zbiegł na dół pomóc Jorgisowi upchnąć je do vana.

– To nam wszystkim poprawi humor, bracie Jorgisie – powiedział Andreas z uśmiechem szczęścia na twarzy.

David obrzucił go tęsknym spojrzeniem. Pomyśleć, że są ojcowie, których tak łatwo zadowolić prostymi rzeczami...

Zajechali najpierw do Thomasa i zostawili tam Davida. Thomas wyraźnie ucieszył się perspektywą uczyty; zaraz pójdzie zorganizować jakieś wino. Vonni ofiarowała się zbadać sytuację u Elsy i Fiony. Poinformowała Davida z podziwu godną zwięzłością o tym, co się wydarzyło; być może Fiona nie będzie miała ochoty przyłączyć się do towarzystwa.

– To straszne – przyznał David. – Jednak kiedy się nad tym zastanowić, może tak będzie le...



– Znasz wyrażenie „nie tykaj tego”? Wymyślono je właśnie na tę okoliczność. Ty możesz tak myśleć, ja mogę tak myśleć, ale Fiona zdecydowanie tak nie myśli, więc cię ostrzegam.

– Bardzo mądrze. Ja zawsze mówię nie to, co trzeba. A co z Elszą? Zdawało mi się, że wyszła z tym swoim przyjacielem z Niemiec?

– Wiem, że to zabrzmiało jak wypowiedź Sfinksa, ale szczerze mówiąc, tej sprawy też bym nie tykała!

Młodzi policjanci z zachwytem powitali rozkoszne zapachy mięsa przyprawionego czosnkiem i oregano. Mieli za sobą wyjątkowo pracowite i wyczerpujące dni. Dobrze było odprężyć się nieco w towarzystwie szefa, jego brata, Vonni i czwórki turystów. Jedna z dziewczyn wyglądała jak królowa piękności, druga była chyba bardzo wycieńczona, może nawet chora.

Mężczyźni mocno się różnili: jeden wysoki, tyczkowaty w idiotycznych, workowatych bermudach z kieszeniami, drugi mały, poważny, w okularach.

Wszyscy goście podjęli wysiłek powiedzenia kilku słów po grecku. Wiedzieli, że wino to *krassi*, więc policjanci nauczyli ich jeszcze kolorów: *aspro* – białe, *kokkino* – czerwone, a także jak prawidłowo wymawiać, *yassu*”.

W rewanżu zostali nauczeni takich słów jak *cheers*, *prosit*, *I'chaim* i *slainte*.

Andreas z dumą kroił mięso, chmury pędziły po niebie, a

księżyc malował wzory na wodzie.

– Wydaje się, że już tyle czasu minęło od naszej wycieczki do Kalatriady – zauważyła Fiona.

– Tamtą noc wypełniał odgłos deszczu bębniącego o dach – dodała Elsa, ujmując ją za rękę na znak solidarności. – To raptem dwa dni temu, a tyle się wydarzyło!

Oczy Fiony napelniły się łzami. David zerknął ukradkiem na Vonni: jak mądrze postąpiła, uprzedzając go!

Na dole, w porcie grupka młodych mężczyzn zebrała się przed domkiem Marii i Manosa. Wkrótce przyłączyli się do nich inni, którzy powychodzili z restauracji i kafejek.

– Co tam się dzieje? – spytał Thomas, obawiając się czegoś niedobrego.

Jorgis spojrział w dół.

– Nic nie widzę, niech któryś zejdzie tam i sprawdzi. – Skiął na jednego z policjantów. Istniała możliwość, chociaż mało prawdopodobna, że ktoś zechce obarczyć Manosa winą za tragedię. Lepiej być przygotowanym na każdą ewentualność.

– To nic groźnego – odezwała się spokojnie Vonni. – Kilku młodych ludzi umówiło się przed domem Manosa, żeby uczcić tańcem pamięć jego i innych. Manos tak lubił syrtaki i inne tańce...

– U nas raczej nie tańczy się po pogrzebie – zauważył Jorgis.

– To nie był zwykły pogrzeb.

Dwunastu mężczyzn ze splecionymi ramionami, w czarnych spodniach i białych koszulach, stanęło w szeregu. Rozległy się pierwsze dźwięki buzuki i tancerze zaczęli się wyginać, pochyłać, podskakiwać do taktu, podobnie jak robił to Manos z przyjaciółmi zaledwie kilka dni wcześniej.

Maria usiadła z synkami na krzesłach wystawionych przed dom. Kiedy to wszystko będzie już tylko mglistym wspomnieniem, może w pamięci dzieci pozostanie noc, podczas której mieszkańcy Agia Anna wyszli z domów, by tańczyć ku czci ich ojca. Wokół tancerzy gromadził się coraz większy tłum i nawet z daleka widać było, że niektórzy ocierali łzy.

Potem wszyscy zaczęli klaskać do taktu i tańczyć. Nikt nie stał z boku.

Grupa zebrana na werandzie posterunku obserwowała ich także. Nie padło ani jedno słowo, wszystko tak bardzo różniło się od tego, co kiedykolwiek widzieli...

Nagle Elsa zaczęła klaskać także. Thomas natychmiast to podchwycił. David i Fiona, wymienili spojrzenia, i po chwili wszyscy już zgodnie klaskali, razem z Vonni, młodymi policjantami, Andreasem i Jorgisem, dopingując tamtych tancerzy. Im także ciekły z oczu łzy.

Elsa podała papierową serwetkę Fionie, która jawnie płakała.

– Co za cudowny pomysł – powiedziała przez zaciśnięte gardło. – Nigdy, póki żyję, nie zapomnę tej nocy.

– Ani ja – rzekł Thomas. – Czuję się uprzywilejowany, że mogłem wziąć w tym udział.

Inni nie byli w stanie wydobyć ani słowa.

I nagle nieoczekiwanie silnym głosem odezwała się Fiona:

– Te same gwiazdy świecą i w Atenach, i nad naszymi domami. Zastanawiam się, co nasi bliscy teraz robią i czy mają choćby blade pojęcie o tym, co my robimy tutaj, w tej chwili.

## Rozdział 9

W domu Fiony rozmawiano o niej, jak prawie każdego wieczoru. Matka oglądała zdjęcia Agia Anna w „Evening Herald”.

– I pomyśleć tylko, że nasza Fiona tam jest!

– Pomyśleć... – burknął jej mąż.

– Ależ Sean, to miło z jej strony, że zadzwoniła, na wypadek gdybyśmy się martwili! Przynajmniej pomyślała o nas!

– Czemu mielibyśmy się martwić? Przecież nie wiedzieliśmy, gdzie, u diabła, jest, poza tym że uczepiła się tego pętaka.

– Ojciec Fiony nie widział żadnych jasnych stron w tej całej sytuacji. Wziął pilota i włączył telewizor, ucinając w ten sposób rozmowę.

Zona natychmiast wyłączyła odbiornik.

– Maureen! Co ty wyprawiasz? Chciałem to oglądać!

– Nieprawda, nie chciałeś niczego oglądać. Po prostu nie chcesz rozmawiać o Fionie.

– Mam już potąd Fiony! I nic mnie nie obchodzi, czy wróci na nasze srebrne wesele.

– Sean, jak możesz tak mówić?!

– Mówię serio. Po co miałyby przyjeżdżać? Snułaby się tylko uwieszona na ramieniu tego głupka i narzekała, że go nie rozumiemy!

- Ona jest twoim dzieckiem, tak samo jak moim.
- Według ciebie wcale nie jest dzieckiem. Ma dwadzieścia cztery lata i prawo do decydowania o sobie, sama tak powiedziała, stając w jej obronie.
- Sean, mnie chodziło tylko o to, że jeśli będziemy napadać na Shane’a, to ją zrazimy. Owszem, jest dostatecznie dorosła, by wiedzieć, co robi, ale nie mówiłam, że to pochwalam.
- Hm...
- Posłuchaj mnie wreszcie. Zaprosiłam na wieczór Barbarę, żeby to wszystko obgadać. Przyjaźniły się przecież aż od Pierwszej Komunii, to już piętnaście lat. Ona tak samo się martwi o Fionę jak my.
- Nieprawda, jest tak samo zepsuta. Gdyby i na nią kiwnął palcem taki zapijaczony ćpun jak Shane, to też by z nim wyjechała. Dzisiejsze dziewczęta są wszystkie na jedno kopyto.
- No, nie, tak nie będziemy rozmawiać! Musimy starać się nawiązać z nią kontakt, niech wie, że jeśli zechce, zawsze ją przyjmujemy.
- Wcale nie jestem pewien, czy jestem gotów ją przyjąć. Powiedziała kilka bardzo przykrych słów, zarówno tobie, jak mnie.
- Tylko dlatego, że urażiliśmy ją, źle się wyrażając o tym chłopaku. – Maureen za wszelką cenę starała się być obiektywna.
- Rzuciła rodzinę, dom, dobrą posadę... i dla kogo? Dla ja-

kiegoś ordynarnego ćpuna!

– Na miłość nie ma rady, Sean.

– Owszem, jest – nie ustępował mąż. – Nie każdy szuka towarzystwa świrów, jak Fiona.

– Ona wcale nie zamierzała zakochać się w świrze. Byłoby jej łatwiej, gdyby znalazła sobie jakiegoś miłego urzędnika bankowego, lekarza czy faceta z własną firmą, jednak co mogła poradzić?

– Coś ty nagle taka skłonna do wybaczenia?

– Powiem ci. Po prostu wzruszyła mnie tym telefonem. Przyszło jej do głowy, że nie wiemy, czy jej tam czasem nie było, kiedy się stała ta straszna rzecz.

Zabręczał dzwonek przy drzwiach.

– To Barbara, bądź miły i rozsądny, proszę cię, Sean. Ona może być naszą jedyną nadzieją, jedynym ogniwem między Fiona a nami.

– Też pewnie figę wie.

– Sean!

– Dobrze już, dobrze.

W domu Davida na eleganckim przedmieściu Manchesteru rodzice oglądali dokument telewizyjny na temat wypadku w Agia Anna i rozmawiali o synu.

– To musiał być koszmarny widok – powiedziała matka.

– Rzeczywiście, skoro David zdecydował się do nas za-

dzwonić – zgodził się ojciec.

– Nie ma go od sześciu tygodni, Haroldzie, a dostaliśmy już dziesięć listów. Naprawdę podtrzymuje kontakt.

– Część z nich to tylko pocztówki.

– Ale pofatygował się na pocztę, kupił znaczki i wrzucił listy do skrzynki – broniła syna.

– Miriam, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Chłopak mógł poszukać kafejki internetowej i wysłać e-mail jak normalny człowiek.

– Wiem, wiem.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Miriam, powiedz mi, czy ja powinienem być inny? – Spojrzeniem błagał ją o prawdę.

Pogładziła go po reku.

– Jesteś cudownym mężem i takim samym ojcem.

– Skoro jestem taki cudowny, to może mi powiesz, co nasz syn robi w tym zakazanym greckim miasteczku?

– Może to moja wina, Haroldzie, może przeze mnie wyjechał?

– Skądże, on cię uwielbia, oboje to wiemy. Czy powinienem powiedzieć mu coś w rodzaju: „Bądź sobie artystą czy poetą, czy kim tam chcesz”? Powinienem? Czy tego potrzebował? Powiedz!

– Nie sędzę, przecież zawsze wiedział, że chcesz, aby przejął firmę, powiedziałeś mu to zaraz po bar micwie.



– A czy to taka zbrodnia? Zbudowałem ten interes dla mojego ojca, który przyjechał do Anglii bez grosza przy duszy. Tyrałem dniami i nocami, aby mu pokazać, że jego cierpienia w końcu się opłaciły. Gdzie tu problem? Chciałem przekazać synowi kwitnącą firmę, to źle?

– Wiem, Haroldzie, wszystko rozumiem – próbowała go uspokoić.

– Skoro ty rozumiesz, to dlaczego on nie może?

– Pozwól, że mu powiem, Haroldzie, proszę...

– Nie, po tysiąckroć nie! Nie potrzebuję litości. Skoro mnie nie kocha i nie szanuje, skoro odmawia mi nawet swego towarzystwa, to litości też nie chcę.

Shirley i Bill dopiero co wrócili z centrum handlowego. Andy wcześniej pojechał na uniwersytet, gdzie wraz z innymi miejscowymi entuzjastami sportu starał się namówić studentów do udziału w maratonie. Młodzież uznała, że skoro nawet takie dinozaury po trzydziestce wciąż lubią biegać, to musi to być coś fajnego.

Bill pomagał matce rozpakowywać zakupy i układać je na miejscu.

– Jesteś fantastycznym chłopcem – powiedziała niespodziewanie.

– Naprawdę?

– Jasne. Nigdy nikogo bardziej nie kochałam.

- Daj spokój, mamo.
- Mówię serio. To święta prawda.
- A twoją mamę? I tatę? Co z nimi?
- Byli świetni, ale moja miłość do nich nie da się porównać z tą do ciebie.
- A tata, w czasie kiedy go jeszcze kochałaś? I Andy?
- To co innego, wierz mi. W miłości do dziecka jest coś poruszającego ziemię, coś zupełnie bezwarunkowego.
- Co to znaczy?
- Ze nie ma mowy o żadnym „Jeżeli” i „ale”. Jesteś tą jedyną, wyjątkową istotą i nic nie może temu przeszkodzić. Niestety nie umiem ci tego porządnie wytłumaczyć. Rozumiesz, chociaż kocha się kobietę czy faceta, to ta miłość może się skończyć i jesteś w stanie to wytrzymać. Wprawdzie nie ma się takiego zamiaru, ale to się zdarza, natomiast miłość do dziecka nigdy nie ustaje.
- I tata też tak uważa? Czuje do mnie to samo co ty?
- Całkowicie! Bill, wiesz, że twój tata i ja różnimy się w wielu sprawach, ale w tym jednym jesteśmy zgodni: jesteś tym najlepszym, co się nam w życiu przydarzyło i zawsze chcemy dla ciebie jak najlepiej.
- Czy tata wciąż jeszcze cię kocha?
- Nie, kochanie, szanuje mnie i lubi, jak sądzę, ale nie kocha. My tylko dzielimy z sobą miłość do ciebie. – Uśmiechnęła się do niego, oczekując, że się z nią zgodzi.

Bill namyślał się przez chwilę.

– Więc czemu tego nie okazuje?

– Sądzę, że okazuje! – Shirley wyraźnie się zdziwiła.

– A ja tak nie uważam. On chce, żebym za nim tęsknił, żalował, że go tu nie ma, a przecież to nieuczciwe. To on wyjechał, nie ja. Ja nadal tu jestem.

Birgit zobaczyła, że do pokoju newsów wchodzi Claus.

– Wróciłeś z Grecji! – wykrzyknęła, uszczęśliwiona.

– Cześć, Birgit. – Szef kamerzystów nie miał złudzeń, że to jego widok tak cieszy Birgit. Skoro on wrócił, to Dieter prawdopodobnie także, i to właśnie interesowało Birgit. Oraz większość pracowników sieci telewizyjnej.

Westchnął; tamten nawet się nie stara, a kobiety i tak za nim szaleją.

Czekał, kiedy Birgit zapyta o Dietera – dał jej trzydzieści sekund. Pomylił się: nastąpiło to jeszcze wcześniej.

Nie traciła czasu na wstępy typu: „Jakie to wszystko smutne”.

– Dieter też wrócił? – rzuciła lekkim tonem.

– Jeszcze nie. – Birgit była twarda, Claus rozsmakowywał się w dawkowaniu jej złych nowin. – Trochę przedłużył pobyt. Spotkał tam kogoś ze starych znajomych. Zabawny zbieg okoliczności, co?

– Ze starych znajomych? Jakiegoś faceta z prasy?

– Nie, kobietę, która u nas pracowała: Elzę. Widok jej miny sprawił mu prawdziwą przyjemność.

– Przecież to już skończone?

– Na twoim miejscu nie wstrzymywałbym oddechu, Birgit – powiedział, wychodząc.

Adoni oglądał w gazecie zdjęcia miasteczka, w którym dorastał. Była tam też twarz Manosa, jego przyjaciela od urodzenia, a także Marii. Tańczył na ich weselu...

Jakie to niezwykle, że gazety w całej Ameryce zamieszczają fotografie i artykuły o jego rodzinnych stronach. Nie opowie o tym nikomu z Chicago, dokąd przyjechał wiele lat temu, ponieważ Eleni z Agia Anna dała mu kontakt do swojego kuzyna. To właśnie on zatrudnił Adoniego za jej osobistym poręczeniem.

Kuzyn ruszył potem dalej, a Adoni został. Spodobało mu się tu, chociaż czasem czuł się samotny. Nikomu nie piśnie słowa o tragedii, jaka wydarzyła się w jego rodzinnym mieście. Po co ma wzbudzać współczucie otoczenia?

W sklepie warzywnym, gdzie pracował, niewiele wiedziano o jego korzeniach. Gdyby im opowiedział, zaraz zaczęliby wypytywać, dlaczego nie utrzymuje kontaktu, dowiedzieliby się o jego kłótni z ojcem, o latach milczenia. Nigdy by tego nie zrozumieli. Ci ludzie żyli wyłącznie dla rodziny, starzy ojcowie cały czas kręcili się po ich domach. Co by sobie pomyśleli o ojcu i synu, którzy nie rozmawiali z sobą od dziewięciu lat?

Oczywiście mógłby zadzwonić do ojca i wyrazić swoje współczucie z powodu katastrofy. Ale ojciec wziąłby to pewnie za oznakę słabości i pomyślał, że Adoni uznaje swój błąd. Ojciec wie, gdzie go szukać. Jeśli ma mu coś do powiedzenia, niech to zrobi.

Shane nie umiał korzystać z metra w Atenach. Kiedy przyjechali tam z Fioną, ona wszystkim się zajmowała. Nazywało się toto *Ilektrikos* czy jakoś podobnie. Czy bilety kupuje się w kiosku? A może tylko na trolejbusy? Ni cholery nie pamiętał.

Chciał się dostać w rejon Exarchia, bo na promie słyszał, że jest tam mnóstwo sklepów z *ouzo* i tawern. Wciąż miał pełną torbę trawki, którą mógł tam sprzedać. Potem usiadł i pogłókuje, co dalej. Jest teraz wolny, wolny jak ptak. Nikt mu nie będzie wyskakiwał z poronionymi pomysłami, że powinien spędzić resztę życia jako kelner na jakimś zadupiu. Fiona musi mieć źle pod sufitem, że mu to sugeruje.

W końcu ona też go zawiodła, jak wszyscy inni. Ale czego miał się spodziewać? I wcale nie była w ciąży, dobrze o tym wiedział. Gdyby tak było, nie odeszłaby i nie zostawiła go samego na posterunku. Może jest już w drodze do tej wrednej rodzinki w Dublinie? Na pewno zabiją tuczne ciele, kiedy zobaczą, że nie ma przy niej tego łajdaka Shane'a.

Wykombinował, że musi znaleźć stację metra Omonia. Kurczę, ależ oni tu mają śmieszne nazwy! I piszą tak, że nikt nie

może nic przeczytać.

– Wejdz, Barbaro – zaprosiła gościa matka Fiony.

– Nie za późno już na spacer? – Ojciec nie wyglądał na zachwyconego wizytą.

– Wie pan, jak to jest, panie Ryan, praca od ósmej do ósmej, a od szpitala jeszcze godzina drogi. – Barbara miała pogodne usposobienie i nie dawała sobie wmawiać nonsensów. Wyciągnęła się na fotelu, jak robiła to od lat w tym domu. Rude włosy miała potargane, twarz zmęczoną po długim dyżurze.

– Napijesz się herbaty czy wolisz coś mocniejszego?

– Och, chętnie wychylę szklaneczkę dżinu, zwłaszcza jeśli mamy rozmawiać o Shanie – usprawiedliwiała się Barbara.

– A ty, Sean?

– No, skoro naprawdę mamy o nim mówić, to i mnie się przyda coś na nerwy.

– Zastanawiałam się, czyby nie napisać do Fiony, że zaszło nieporozumienie... – Maureen podała dżin z tonikiem i usiadła, zerkając niepewnie to na męża, to na Barbarę.

– Tu nie ma mowy o żadnym nieporozumieniu – zezłościł się jej mąż. – Nasza córka dała się ogłupić notorycznemu kryminaliście. Co tu jest do rozumienia?

– Ale takie gadanie nic nie da. Ona jest tysiące mil stąd, a ja za nią tęsknię, Sean, nie ma chwili, żebym o niej nie myślała. Marzę, żeby tu wpadła, jak teraz Barbara, i opowiadała nam o minionym dniu, a naszą postawą tylko ją odsuwamy. Nie są-

dzisz, Barbaro?

– Zgadzam się z panem Ryanem, że nie ma mowy o nieporozumieniu. Shane jest prawdziwym łajdakiem, bo nią manipuluje, wzbudza w niej poczucie winy, a sam udaje ofiarę, że niby cały świat sprzysiągł się przeciw niemu. I z tym najtrudniej walczyć.

– Najgorzej, że oboje mówią, jacy to są w sobie zakochani.  
– Na twarzy Maureen odmalował się smutek.

– Shane nigdy nie kochał nikogo oprócz siebie. Będzie z nią tylko tak długo, póki mu to odpowiada, a potem zostawi ją samą, upokorzoną, w obcym kraju, bez przyjaciół. I wtedy Fiona nie zechce już do nas wrócić. Będzie wiedziała, że każdy z nas pomyśli: „A nie mówiliśmy?”, nawet jeśli głośno tego nie powiemy.

– Ty za nią tęsknisz tak samo jak my – zauważył ze zdumieniem Sean Ryan.

– Oczywiście, że tak. Brakuje mi jej codziennie w pracy, tęsknię za naszymi wieczornymi rozrywkami, wciąż mam jej tyle do powiedzenia i nagle przypominam sobie, że jej nie ma... A gdyby tak utworzyć coś w rodzaju mostu?

– Jakiego mostu? – spytał z niedowierzaniem ojciec Fiony.

– No... Państwo napisaliby do niej, dając do zrozumienia, że wszyscy już wiemy, jak poważnie traktuje swój związek z Shane'em. A potem ja też bym napisała z pytaniem, czy nie przyjechałby razem na państwa srebrne wesele albo na święta?

– Ale to dla nas nie do przyjęcia, że Fiona miałaby z nim zostać na zawsze. Jaki przykład damy pozostałym dzieciom, jeśli zgodzimy się na obecność kogoś takiego jak Shane w życiu ich siostry?

– Proszę posłuchać, pani Ryan, on już stał się częścią jej życia, przecież wyjechali po to, aby mieszkać razem, na miłość boską! Chociaż w głębi serca mam wrażenie, że to długo nie potrwa. I jeśli będziemy udawać, że uważamy to za normalne, wtedy Fiona przestanie nas zaliczać do okrutnego świata, który uwziął się na Bogu ducha winnego Shane’a...

Ojciec Fiony wruszał raz po raz ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to wszystko go przerasta. Na twarzy Maureen widać było wyraźną walkę z łzami.

Barbara spróbowała jeszcze raz.

– Mnie też się to nie podoba, naprawdę! Ani to, że siedzę tutaj, obgadując moją przyjaciółkę za jej plecami, ale uważam, że w końcu powinniśmy coś zrobić, bo inaczej stracimy ją na zawsze.

Wsunięty przez szparę w drzwiach list upadł na podłogę. Miriam Fine poszła sprawdzić, kto osobiście doręcza coś o tej porze nocy.

Na dużej, sztywnej kopercie widniały nazwiska ich obojga. Musiała zawierać jakiś wyjątkowo gruby karton. Zaniósła ją mężowi i zabrali się do otwierania.

Było to potwierdzenie, że Harold Fine został laureatem pre-



stiżowej nagrody Biznesmena Roku, wraz ze szczegółami dotyczącymi uroczystości jej wręczenia. Miało się to odbyć w listopadzie, w sali ratuszowej, w obecności wielu zgromadzonych osób. Nadawcy listu wyrażali nadzieję, że laureat sam zaprosi rodzinę i przyjaciół – najpierw na drinka z udziałem burmistrza, a potem na uroczysty obiad.

– Och, Haroldzie, tak się cieszę, że zobaczę cię w czerni i bieli! – wykrzyknęła Miriam ze łzami w oczach.

– To zdumiewające... – Patrzył na ozdobny kartonik, jakby obawiał się, że zaraz wymknie mu się z rąk albo rozpadnie.

– David byłby taki dumny i uradowany! Powiemy mu o tym zaproszeniu, to dla niego będzie jakiś namacalny dowód. Na pewno wróci na czas do domu.

– Nie bądźmy tacy pewni, Miriam. Z punktu widzenia Davida biznesmeni są uosobieniem zła, a nagroda Biznesmena Roku to coś tak odrażającego, że raczej nie zechce mieć ze mną nic wspólnego.

– Cześć, Bill.

– Cześć, Andy.

Andy usiadł przy chłopcu na bujanej kanapce przed domem.

– Masz doła, dzieciaku? Może mała przebieżka?

– Nie, bieganie niczego nie rozwiąże. – Bill nawet nie podniósł głowy.

– I tu się z tobą zgadzam, ale przynajmniej pozwala zagłu-

szyc zmartwienia.

– Ty nie masz zmartwień, Andy.

– Nie mam, powiadasz? To znaczy, że odwaliłem kawał dobrej roboty, starając się je ukryć. – Walnął Billa po przyjacielsku w ramię, jednak tym razem chłopiec skrzywił się i odsunął.

– Przepraszam, mały.

– Nie szkodzi, to nie twoja wina.

– Więc czyja?

– Sam nie wiem, chyba moja. Widzisz, nie wystarczałem im. Znaczy, mamie i tacie. Nie dałem im dostatecznie dużo szczęścia, – Oni oboje mają fioła na twoim punkcie! Przynajmniej z tego jednego zdają sobie sprawę.

– Tak mówi mama, a może tylko chce, żebym uwierzył.

– Twój tata też tak mówi. Słyszałem to od niego, jeszcze zanim wyjechał.

– A jednak wyjechał.

– Zrobił to dla ciebie, dzieciaku. Chciał ci dać więcej czasu, żebyś mógł przyzwycząć się do mnie i do tego, że teraz my troje stanowimy rodzinę.

– Nie chcę żadnego czasu.

– To czego chcesz?

– Chcę, żeby mama i on nadal się kochali, ale to niemożliwe, więc chociaż żeby mieszkał gdzieś blisko. Ty i mama nie mielibyście nic przeciwko temu, żebym się z nim często widy-

wał, prawda? – Zerknął z niepokojem na ojczyma.

– Jasne, że nie, przecież wiesz.

– A tata o tym wie?

– Ależ tak, Bill!

– Więc skoro wie, to dlaczego musiał wyjechać tak daleko?

Rozmowę Clausa z Birgit podsłuchiwała Hannah, sekretarka ośrodka telewizyjnego. Nie mogła w to uwierzyć. Elsa pojechała tak daleko, żeby odciąć się od tego, co nazywała miłością swego życia, a teraz ta katastrofa znów ich do siebie zbliżyła!

– Przepraszam, Claus, można na słówko?

– Oczywiście! – Wszyscy lubili pogodną, życzliwą, godną zaufania dziewczynę, zaprzyjaźnioną z Elsą.

– Chciałam tylko zapytać, czy ona wraca? – Hannah nie traciła czasu na owijanie rzeczy w bawełnę.

– A zależy ci na tym?

– Mnie owszem, bo chciałabym odzyskać przyjaciółkę. Jednak dla niej byłoby lepiej, żeby tam została – odparła szczerze Hannah.

– Niestety, nie powiem ci, co się wydarzyło, bo naprawdę nie wiem. Dieter polecił nam wracać, więc wróciliśmy. Ale ona wyglądała inaczej, to nie ta sama Elsa, którą znaliśmy. Zmieniła się, jakby podjęła jakąś ważną decyzję.

– Rozumiem – bąknęła Hannah, chociaż nie wyglądała na przekonaną.

– Wiem, na pewno uważasz, że faceci są beznadziejni, gdy chodzi o odczytywanie sygnałów, ale wierz mi, ty też miałabyś problemy z rozeznaniem, co się dzieje.

– Tak, wiem, że to niełatwe. Dziękuję, że mi powiedziałeś, teraz pozostaje nam tylko czekać i mieć nadzieję.

– A na co masz nadzieję, Hannah?

– Brakuje mi nadziei znacznie bardziej niż tobie. Właściwie sama nie wiem... Ufam, że sprawy ułożą się jak najlepiej.

Adoni postanowił zatelefonować do ojca. I to szybko, zanim się rozmyśli. W Grecji teraz jest wieczór, ojciec pracuje w tawernie. Pewnie ma spory ruch, więc nie będzie mógł długo gadać, no i bardzo dobrze. Adoni powie, że jest mu przykro z powodu tragedii, i poprosi o przekazanie wszystkim wyrazów współczucia. O tym, co między nimi zaszło, w ogóle nie wspomni.

Słyszał sygnał telefonu.

Dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. Może wybrał zły numer? Spróbował znowu. Niestety telefon dzwonił w pustej tawernie, więc nikt nie podniósł słuchawki.

Przed wyjazdem z Agia Anna Adoni zainstalował ojcu automatyczną sekretarkę. Najwyraźniej staruszek nie nauczył się jej włączać.

Po pewnym czasie Adoni dał sobie spokój. Pod wieloma względami tak będzie najlepiej.

Shane znalazł dokładnie takie miejsce, jakiego szukał. To była jego klientela. Gdyby trafił tu od razu, miałby murowany sukces. Nieważne, że nie zna języka, w tych sprawach obowiązuje międzynarodowy szyfr. Zagadał do jakiegoś buraka, który nic nie skumał, potem do drugiego, ale i ten wzruszył tylko ramionami.

Trzeci zachował się bardziej obiecująco.

– Ile? – spytał krótko. Był mały i pękaty, miał czujne ciemne oczy.

– A ile chcesz?

– No, ale ile masz?

– Wystarczy.

W tym momencie błysną! flesz polaroidu: jeden, potem drugi – prosto w twarz.

– Co jest, kur... – zaczął Shane, ale zaraz poczuł, że ktoś go łapie za kołnierz i niemal dusi. Okrągła twarz faceta o czujnych oczach znalazła się o centymetr od jego własnej.

– Posłuchaj mnie uważnie. Mamy dwie twoje fotki w tym barze i jedną damy policji. Jeśli zobaczymy, że znów próbujesz tu dilerki, to naprawdę będzie bardzo, bardzo źle.

– Sam powiedziałeś, że chcesz kupić – wykrztusił z trudem Shane.

– Ten bar należy do mojego ojca, nasza rodzina prowadzi go od lat. Na twoim miejscu oddaliłbym się stąd w podskokach. To

mój wuj trzyma cię za gardło. Masz nas przeprosić i wyjść. W ciągu dwudziestu sekund.

– Nie umiem przeproszać po grecku.

– Wystarczy, że powiesz: *signomi*.

– *Si... gomi*, tak?

– *Signomi*, gnojku, lepiej się tego naucz i ciesz się, żeś się tak łatwo wymigał.

– Mogę jeszcze tu wrócić. Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Jasne, że możesz. Dziesięć sekund.

– *Signomi!* – krzyknął przez ramię Shane do tego, który go trzymał. Mężczyzna rozluźnił chwyt i Shane chwiejnym krokiem wyszedł prosto w ciepłą ateńską noc.

## Rozdział 10

Thomas obudził się z lekkim bólem głowy i nie musiał długo szukać przyczyny. Czerwonemu winu, które pili wczoraj na posterunku, nie pozwolono doczekać szacownego wieku. Jorgis mówił, że mogło mieć zaledwie miesiąc.

Cóż, kilka filiżanek dobrej kawy powinno pomóc. Może przejdzie się po świeże pomarańcze i chrupiące bułeczki na śniadanie. Niewykluczone, że Vonni też cierpi z powodu kaca i solidarnie jakoś go zwalczą.

Kiedy jednak wstał, zobaczył, że drzwi do gościnnej sypialni są otwarte, a łóżko starannie zaścielone. I ani śladu żadnych osobistych drobiazgów. Ciekawe, dokąd poszła. Z powrotem do tego kurnika? Albo niczym Szczurołap z Hameln powiodła dzieci do portu?

Sprawiała wrażenie tak samowystarczalnej, była taka swojska z tym swoim warkoczem wokół głowy i opaloną, pooraną twarzą z szerokim uśmiechem... Nie sposób odgadnąć jej wieku. Czterdziestka? Pięćdziesiątka? Sześćdziesiątka? Nikt też nie potrafił określić, od jak dawna mieszka w Agia Anna. Sama Vonni mówiła o sobie mało albo wcale, więc można zgadywać do upojenia...

Thomas ziewnął i pomaszerował do kuchni. Na tym polu też go pobiła. Na stole leżały cztery duże pomarańcze i owinięte w

kratkowaną ściereczkę ciepłe bułeczki. Westchnął z zadowoleniem i zasiadł do śniadania.

Fiona jeszcze spała.

Elsa zostawiła jej karteczkę:

*Idę do portu, nie chciałam Cię budzić. Może spotkamy się tam w południe? Weź kostium kąpielowy, jeśli masz ochotę popływać, a potem ewentualnie zjemy coś w tej milej knajpce z białoniebieskimi obrusami, nie pamiętam jej nazwy. Byłoby miło. Ściskam,*

*Elsa.*

Traktowała Fionę jak młodszą, głupiutką siostrę. I pomyśleć, że ta doświadczona pielęgniarka jest na tyle naiwna, by wierzyć, iż Shane w Atenach niepokoi się o nią i przejmuje jej losem.

Elsa szła wolno wąskimi uliczkami, przyglądając się, jak wokół niej wre życie. Właściciele sklepów zmywali chodniki przed drzwiami i wykładali towar. W kafejkach i restauracjach pracownicy wypisywano dzisiejsze menu na dużych czarnych tablicach.

Nie dostrzegała tej samej bez troski i wesołości, co przed wypadkiem, ale mimo wszystko mieszkańcy jakoś się pozbierali. A przynajmniej sprawiali takie wrażenie. Jak sama Elsa.

Zdawało jej się, że bardzo umiejętnie ukryła przed innymi



swoje uczucia. Zważywszy na okoliczności, całkiem nieźle dała sobie radę. Wczoraj wieczorem brała udział w ożywionej rozmowie, a potem stała się opoką dla Fiony, która wypłakiwała się jej na ramieniu.

Teraz też zdobywała się na to, by kiwać ludziom głową i uśmiechać się, rzucając raz po raz „*kalimera*”.

W środku jednak czuła się pusta i samotna.

Chciałaby gdzieś przynależeć, znaleźć miejsce, gdzie nie byłaby ludziom obojętna. Nigdy jeszcze nie czuła się tak wyizolowana – bez rodziny, miłości, pracy, a odkąd wyjechała z Niemiec, także bez domu. Ojciec ją porzucił, dla matki stanowiła tylko przedmiot ambicji, ale nie miłości, kochanek ją oszukiwał i myślał, że będzie mógł kłamać do końca życia...

Ktoś w poobijanym starym wanie na nią zatrafił. Elsa podniosła rękę, osłaniając oczy od słońca, i zobaczyła Vonni z całym stadkiem dzieciaków.

– Jedziemy na naprawdę fantastyczną plażę, której chyba nie znasz. Może się z nami zabierzesz?

– Świetnie, tylko w południe mam się spotkać w porcie z Fioną. Chyba zdążymy wrócić?

Na szczęście miała przy sobie kostium kąpielowy i słomkowy kapelusz, więc była przygotowana. Vonni przytaknęła ochoczo.

– Jasne, na pewno do tej pory będziemy z powrotem. Nie mogę narażać dzieci na południowy upał.

Powiedziała coś po grecku do kilkulatków w tyle vana. Dzieci uśmiechnęły się i zawołały chórem:

– *Yassu, Elsa!*

Elsa poczuła ucisk w gardle, jakby nagle jej życzenie się spełniło. Jednak w jakimś tam stopniu gdzieś przynależała. Choćby na krótko.

David wypożyczył rower i przejechał pięć kilometrów, aby odszukać wspaniałą plażę, którą zachwalali mu gospodarze. Z radością spotkałby się z towarzystwem z poprzedniego wieczoru, aby pogadać na temat tańca jako sposobu okazywania szacunku. Ale nikt mu tego nie zaproponował, a David nie mógłby znieść myśli, że się narzuca.

Sapiąc z wysiłku, pokonał kilka wzniesień i zjechał na drugą stronę. Jaka piękna okolica! Dlaczego ludzie tak ciągną do zatłoczonych miast? Po co spędzać całe godziny na dojazdach wśród spalin, kiedy można żyć tutaj?

W miejscu, gdzie spodziewał się owej plaży, zobaczył najpierw, ku swemu rozczarowaniu, zaparkowanego vana, a zaraz potem Elbę i tę dziwną starszą kobietę – Vonni. Zdały się już usadowić na piasku razem z ósemką dzieci.

Vonni ustawiła dzieci w rzędzie przy samej linii brzegu i zaczęła wymachiwać rękami, kreśląc w powietrzu duże znaki. Dzieci kiwały z zapalem główkami. Pewnie im wyjaśniała, że najpierw wejdzie do wody sama z Elsą i że nikomu nie wolno

zapuszczać się dalej niż dorośli.

David położył się na skrawku trawy i obserwował z daleka tę scenę. Elsa tak ślicznie wyglądała w eleganckim turkusowym kostiumie! W krótkich jasnych włosach odbijało się słońce; zdążyła się już lekko opalić i poruszała się z wdziękiem, to zanurzając się, to wynurzając w zabawie.

Vonni, niska i śniada, z warkoczami upiętymi na głowie, miała praktyczny czarny kostium, który od dwudziestu lat nie wychodził z mody. Ona też biegała w przybrzeżnych drobnych falach, nawołując do siebie dzieci. Co bardziej lękliwym pomagała, ujmując je pod łokieć.

David miał wielką ochotę przyłączyć się do tej zabawy, ale czuł, że mógłby przeszkadzać. I nagle Elsa go zobaczyła.

– *Ela, ela*, David, chodź popływać, to coś fantastycznego!

Z ociąganiem zszedł na plażę. Na szczęście miał pod spodniami kąpielówki, zdjął więc okulary i położył je na starannie złożonym ubraniu.

Najpierw przywitał dzieci:

– *Yassas, ime Anglos*.

– Bo pewnie same w życiu by na to nie wpadły, że jesteś Anglikiem – zakpiła Vonni.

– Może i nie – nastroszył się David.

– Daj spokój, i tak jesteś lepszy niż dziewięćdziesiąt procent turystów. Przynajmniej zadałeś sobie trud nauczenia się kilku greckich słów. Nawet nie wiesz, jak tutejszych ludzi to cieszy.

– Naprawdę? – spytał uszczęśliwiony. Jedno z dzieci ochlapało go wodą.

– Znakomicie, *poli kala* – zawołał.

– Życzę ci, żebyś kiedyś miał szóstkę własnych. Będiesz cudownym ojcem, zobaczysz – powiedziała niespodziewanie Vonni.

Thomas szedł w stronę portu. Wszystko wracało już do normy. Wielu rybaków wyruszyło na morze, inni naprawiali sieci.

Powitali go kiwnięciem głowy. Mieszkał tu już na tyle długo, że nie traktowano go jak obcego.

Jeden z mężczyzn powiedział coś, czego Thomas nie rozumiał. Żałował, że nie przestudiował książki z rozmówkami jak David, mógłby uchwycić chociaż parę słów.

– Przykro mi... *Signomi*.

Mężczyzna z licznymi tatuażami, wyglądający na marynarza, wyjaśnił:

– Mój kumpel powiada, że dobrzy z was ludzie, bo uczestniczyliście w naszym nieszczęściu.

Thomas patrzył na nich zaintrygowany.

– Wszyscy czuliśmy smutek i bardzo nas wzruszył ten wasz wczorajszy taniec. Nigdy go nie zapomnimy.

– Jak już wróćcie do waszych krajów, pan i pańscy przyjaciele, opowiecie o tym znajomym? – Marynarz wyraźnie ich

znał i zamierzał wystąpić w roli tłumacza.

– Pochodzimy z różnych krajów – odrzekł wolno Thomas. – Z Niemiec, Anglii, Irlandii i Stanów Zjednoczonych, ale wszyscy zabierzemy z sobą to wspomnienie, dokądkolwiek się udamy.

– A myśmy myśleli, że przyjaźnicie się od dawna... – zdziwił się wytatuowany.

Fiona obudziła się i przeczytała kartkę. Czyż życie nie jest dziwne, że przez przypadek postawiło na jej drodze taką miłą i wspaniałomyślną dziewczynę? Elsa okazała się niemal tak samo dobrą przyjaciółką jak Barbara. Co za niezwykła historia, Shane z pewnością się ucieszy, kiedy mu o tym opowie.

Bo już wkrótce się z nią skontaktuje, niech sobie wszyscy myśla, co chcą. Fiona umyła włosy i wysuszyła suszarką Elsy. Wcale tak źle nie wyglądała. Błada, nieco mizerna, ale na pewno nie wypłoszyłyby ptaków z drzew, jak zwykł mawiać jej ojciec.

Fiona myślała o nim przez chwilę. Był taki dobry i kochający, póki nie przyprowadziła do domu Shane’a... Naprawdę żałowała, że nie będzie mogła przyjechać na srebrne wesele rodziców.

Ale to błąd ojca.

Był taki stanowczy w kwestii Shane’a... Nie, nie warto teraz tracić czasu na rozpamiętywanie tego. Musi sobie radzić, póki

Shane jej do siebie nie wezwie. Ubierze się starannie, a potem przespaceruje do portu. Nie chce, żeby Elsa wzięła ją za jakąś żalosną ofiarę losu.

Pokaże się jej z jak najlepszej strony.

Zostawiły Davida na plaży przy nauce jego codziennych dziesięciu zdań. Krótco po jedenastej Vonni wypuściła dzieci z vana przy placu, po czym podwiozła Elsę do portu.

– Dzięki za towarzystwo!

– Jak to się dzieje, że mieszkańcy Agia Anna powierzają ci swoje dzieci? – spytała Elsa.

– Nie wiem, znają mnie już ładnych parę lat i widocznie nabrali zaufania – tłumaczyła się niezbyt pewnie starsza kobieta.

– Ile lat tu jesteś?

– Ponad trzydzieści. – Co?!

– Pytasz, więc odpowiadam – odparła Vonni z niezmałym spokojem.

– Rzeczywiście. Przepraszam. Widzę, że należysz do osób, które nie lubią wścibstwa – usprawiedliwiała się Elsa.

– W zasadzie nie mam nic przeciwko rozsądnym pytaniom. Przyjechałam do Agia Anna jako siedemnastoletnia dziewczyna, za mężczyznę, którego kochałam.

– I byliście razem?

– Tak i nie. Opowiem ci o tym innym razem. – Vonni włączyła silnik i odjechała.

– Thomas!

Podniósł na nią wzrok z drewnianej skrzynki, na której siedział u wejścia do portu, gdzie wiatr pędził fale.

– Jak miło cię widzieć, Elso! Co powiesz na ten wygodny fotel? – Poklepał zapraszająco drugą starą skrzynkę.

Usiadła z taką gracją, jakby znajdowali się w salonie.

W tym momencie uświadomił sobie, jak świetną musi być prezenterką. Czy raczej była. Taka nigdy nie narzeka na niewygodę, zawsze nad sobą panuje.

– Masz mokre włosy. Pływałaś?

– Tak, pięć kilometrów stąd jest mała laguna z naprawdę piękną plażą. Po tamtej stronie. – Wskazała ręką kierunek.

Thomas się stropił.

– Tylko mi nie mów, że odbyłaś dziś dziesięciokilometrowy spacer.

– Nie, ze wstydem przyznaję, że nie. W obie strony podwiozła mnie Vonni. Spotkałyśmy Davida, to prawdziwy sportowiec, wyobraź sobie, że pożyczył rower. Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście morze jest tu ciekawsze niż gdzie indziej?

– Na pewno bije na głowę mój kawałek wybrzeża Kalifornii. To płaskie wybrzeże z przyjemnymi zachodami słońca, ale nie ma tam tych zmiennych barw ani przyboju.

– A co powiedzieć o morzu na północy? Lodowato zimne od Holandii po Danię, na pewno nie takie jak to! Nic dziwnego, że działa inspirująco na ludzi. To znaczy, wiem, że to tylko re-

fleks nieba, ale nikt mi nie wmówi, że ta woda nie jest szafirowa.

– „Tocz fale wód swych, oceanie siny... „\* – zacytował Thomas. Ku jego zdumieniu, Elsa podjęła po angielsku:

– „Bicz flot tysiąca darmo cię rozpienia! Na łądzie śladem człowieka: ruiny, Tu u twych brzegów kres jego zniszczenia!”. Przez chwilę gapił się na nią z otwartymi ustami.

– Znasz na pamięć angielską poezję? Jak śmiesz być taka wykształcona?!

Elsa roześmiała się, zadowolona z pochwały.

\* Cytat z poematu George’a Byrona „Wędrowki Childe Harolda” („Childe Harold’s Pilgrimage”), tu w przekładzie Jana Kasprowicza. W oryginale ocean nie jest siny, tylko właśnie szafirowy, dosł. ciemnoniebieski – *dark blue* (wszystkie przypisy tłumaczki).

– Mieliliśmy w szkole nauczycielkę angielskiego, która uwielbiała Byrona. Właściwie to była w nim wręcz zakochana. Gdybyś wybrał innego poetę, nie wypadłabym tak dobrze.

– Mówię serio! Ja nie zacytowałbym ani jednego wiersza po niemiecku. Co tu zresztą mówić o poezji, skoro nie znam ani jednego słowa w twoim języku.

– Owszem, znasz. Wczoraj powiedziałaś: „*Wunderbar*” i „*prosit*” – pocieszyła go Elsa.

– Chyba „*prosit*” mówiłem aż za często... o, przypominam



sobie jeszcze jedno niemieckie słowo: *Reisefieber*.

Elsa parsknęła śmiechem.

– No, to jest naprawdę wspaniałe! Skąd, u licha, je znasz?

– To znaczy „gorączka podróżna”, prawda? Jak się wpada w panikę na lotnisku albo na dworcu kolejowym?

– Tak, właśnie tak! Kto by pomyślał, że o tym wiesz! – Wyraźnie była pod wrażeniem.

– Mieliśmy na wydziale faceta, który wciąż wyskakiwał z tego rodzaju słowami, w końcu wszyscy je sobie przyswoiliśmy.

Siedzieli tak i gadali, bardzo zadowoleni, jakby znali się przez całe życie.

Nic dziwnego, że rybacy wzięli ich za starych przyjaciół.

Vonni wróciła vanem do domu Manosa.

Maria siedziała przy stole nad pustą filiżanką po kawie.

– Jest coraz trudniej, zamiast łatwiej – zauważyła. – Myślałam przez chwilę, że to Manos nadjeżdża tym vanem.

– Oczywiście, że jest trudniej. Po prostu zaczyna do ciebie docierać prawda, a to najbardziej boli. – Vonni powiesiła kluczyki na ścianie i podstawiła przed nią dzbanek gorącej kawy, którą kupiła w tawernie naprzeciwko wraz z porcją baklawy.

Maria zwróciła ku niej twarz ze śladami łez.

– Ty zawsze wiesz, czego komu potrzeba – powiedziała z wdzięcznością.

– Kto, ja? Ja robię wszystko na opak i popełniłam więcej

pomyłek niż cała Agia Anna razem wzięta – protestowała Vonni.

– Nie przypominam sobie żadnej.

– Bo jesteś za młoda. Najbardziej spektakularne błędy popełniłam, jeszcze zanim się urodziłaś.

Vonni krzątała się po kuchni, odruchowo robiąc w niej porządek – tu i tam coś podniosła, poukładała, pomyła kubki.

Potem usiadła.

– Piękne były te tańce wczoraj wieczorem. Manos by się cieszył...

– Wiem – szepnęła Maria, znów zalewając się łzami. – I taka się potem czułam silna, jakby jego duch wciąż tu był. A dzisiaj to wrażenie zniknęło.

– Cóż, może wróci, kiedy objaśnię ci mój plan. – Vonni podała jej kawałek papierowego ręcznika.

– Plan?

– Tak. Nauczę cię prowadzić auto. Maria zmusiła się do słabego uśmiechu.

– Ja miałabym jeździć samochodem? Vonni, nie żartuj. Manos nie pozwalał mi nawet dotknąć kluczyków od vana.

– Ale teraz na pewno chciałby, żebyś jeździła. Ja ci to mówię.

– Nie, Vonni, skądże znowu, bałby się, że pozabijam siebie i wszystkich mieszkańców.

– No to pokażemy mu, że się mylił. Bo będziesz musiała

jeździć do swojej nowej pracy.

– Do pracy?

– Och, tak. Będziesz mi pomagała w sklepie, wiesz? I znaczna część twoich obowiązków będzie związana z wyjazdami po towar do takich miejscowości jak Kalatriada. To mi oszczędzi telepania się autobusami.

– Przecież sama możesz jeździć tam vanem, po co ma tu stać?

– Nie, nie mogę. Manosowi by się to nie spodobało. On długo i ciężko pracował na ten wóz, nie chciałby, żebyś ot, tak go oddała. Ale byłby dumny, gdybyś dzięki niemu zarabiała na życie.

I w jakiś magiczny sposób Maria uśmiechnęła się znowu – tym razem naprawdę szczerze. Wydawało się, że duch Manosa powrócił do domu, a ona stawiała mu czoło, jak często robiła to za życia męża.

– No dobrze Manos, zobaczysz, jak cię zadziwię!

David natknął się na nie, kiedy ćwiczyły jazdę na pustym kawałku ziemi za miasteczkiem.

– *Siga, siga* – darła się Vonni, gdy wóz podskakiwał i dygotał.

– Co znaczy *siga*? – spytał David z ciekawością. – Dość często słyszę to słowo.

– Ale chyba nikt jeszcze nie wykrzykiwał go w takich nerwach. – Vonni wysiadła z vana, otarła czoło i wzięła kilka głę-

bokich oddechów. Maria nadal zaciskała dłonie na kierownicy, jakby nie mogła ich oderwać. – To znaczy „wolniej”, ale ta ofiara wyraźnie nie zna takiego pojęcia.

– To żona Manosa, prawda? – David zerknął na kobietę, która wciąż zaciskała ręce na kierownicy.

– Bóg wie, że nigdy nie uważałam się za dobrego kierowcę, jednak w porównaniu z nią mogłabym uchodzić za rajdowca Pierwszej Formuły! – skarżyła się Vonni, zamykając na chwilę oczy.

– Czy ona musi prowadzić?

– Rano tak myślałam, chociaż teraz nie jestem już pewna. Ale oczywiście nie umiałam trzymać gęby na kłódkę, więc nie pozostaje mi nic innego, jak brnąć w to dalej...

– Mojej matki nikt nie mógł nauczyć prowadzenia auta, a jednak mnie się udało – powiedział z namysłem David. – Może bym spróbował?

– Jak to zrobiłeś? – spytała Vonni z nadzieją w oczach.

– Byłem bardzo cierpliwy, nigdy nie podnosiłem głosu i poświęciłem na to wiele godzin.

– Naprawdę byś spróbował? Drogi, kochany Davidzie, zrobiłbyś to?

– Jasne, jeśli to coś pomoże... Musisz tylko mi powiedzieć, jak jest po grecku „hamulec”, „pedał gazu” i „skrzynia biegów”.

Zapisał sobie słowa w notesie i podszedł do vana. Maria patrzyła z powątpiewaniem, gdy zajmował miejsce obok niej.

– *Kalimera* – powiedział oficjalnie i uściśnął jej dłoń.  
– Jak się mówi Jedziemy”? – spytał Vonni.  
– *Parne*, tylko na razie jej tego nie mów, bo wylądujecie na murze.

– *Parne*, Mario – polecił łagodnie. Samochód szarpnął i ruszył.

Vonni patrzyła ze zdumieniem, jak David uczy Marię zatrzymywać wóz. On naprawdę ma talent! Z twarzy Marii zniknął wyraz paniki.

– Odwieź ją do domu, jak skończycie, dobrze?

– A co z moim rowerem?

– Zjadę nim na dół i zostawię przed domem Marii.

Nim zdążył odpowiedzieć, przerzuciła nogę przez ramę męskiego roweru i ruszyła w stronę miasta. David obrócił się do swej uczennicy.

– *Parne*, jeszcze raz. – Tym razem silnik nie zgasł.

Fiona siedziała przy stoliku w małej kafejce, gdy ku swemu zdziwieniu ujrzała Vonni na rowerze. Starsza kobieta też ją zauważyła i zawróciła w jej stronę.

– Jesteś sama? – spytała.

– Mam się tu spotkać z Elsą w południe.

– Ach, prawda, wspominała mi o tym. Pomogła mi na plaży przy dzieciach.

– Tak? – W głosie Fiony dzwięczała nutka zazdrości.

– A potem przyjechał David i pożyczył mi rower. Mam mu go zostawić przed domem Marii, bo ten chłopak postanowił zaryzykować życie i właśnie uczy ją jeździć.

– Boże, widzę, że każdy jakoś się aklimatyzuje... – westchnęła tęsknie Fiona.

Vonni oparła rower o jeden z pustych stolików.

– Posiedzę z tobą, póki Elsa nie przyjdzie. Fiona wyraźnie się ucieszyła.

– Napijesz się *ouzo*? – spytała.

– Nie, tylko *metrio kafethaki*, małą kawę.

Siedziały w milczeniu, obserwując życie w porcie. Jest w tej Vonni coś ciekawego, pomyślała Fiona. Ma wielkie wyczucie nastroju, wie, że wcale nie chce się gadać przez cały czas. To bardzo kojące.

– Vonni?

– Tak, Fiono?

– Zastanawiałam się, czy nie znalazłaby się tu dla mnie jakaś praca. Mogłabym nauczyć się greckiego i ewentualnie pomagać doktorowi Lerosowi. Co o tym sądzisz?

– Czemu chcesz tu zostać? – spytała łagodnie Vonni.

– To piękne miejsce. I chciałabym jakoś się ustabilizować, póki Shane nie wróci.

Vonni milczała.

– Ty myślisz, że on nie wróci, co? – krzyknęła Fiona. – Oceniasz książkę po okładce, jak wszyscy! Nie znasz go tak jak

ja!

– To prawda.

– Uwierz mi, Vonni, on przez całe życie nie miał nikogo, kto by go zrozumiał... póki nie poznał mnie.

Vonni pochyliła się i odsunęła jej z czoła kosmyk, odsłaniając siniec.

– I ładny sposób znalazł, by ci okazać, jak bardzo to docenia. Fiona szarpnęła się do tyłu ze złością.

– To wcale nie tak, jemu teraz serce krwawi, że podniósł na mnie rękę. Jestem tego pewna!

– Jasne.

– Nie bądź taka protekcyjna, nie traktuj mnie z góry... Dość już tego wycierpiałam od własnej rodziny!

– I pewnie od wszystkich, którzy cię kochają.

– To nie jest prawdziwa miłość, to dusząca klaustrofobia! Oni chcieliby widzieć mnie ustabilizowaną, u boku jakiegoś urzędnika państwowego czy bankowca, z kredytem do spłacania i dwójką dzieci.

– Wiem – powiedziała ze współczuciem Vonni.

– Więc skoro wiesz, to dlaczego nie wierzysz, że Shane do mnie wróci?

– A ty sama w to wierzysz?

– Oczywiście, że tak! My się kochamy, wyjechaliśmy, żeby być na zawsze razem. Dlaczego miałby nie wrócić?

Vonni przełknęła głośno ślinę i odwróciła wzrok.

– No powiedz, proszę! Przepraszam, że na ciebie krzyknęłam, ale po prostu wychodzę z siebie, kiedy ludzie napadają na Shane’a. Wciąż myślę, że tak już będzie zawsze, póki się nie zestarzejemy. Może wiesz coś, czego ja nie wiem?

Wyglądała na strasznie zdenerwowaną. Zacisnęła dłoń na spalonym słońcem ramieniu starszej kobiety i patrzyła na nią rozszerzonymi ze strachu oczami.

Vonni nadal milczała.

Mimo wszystko czuła się odpowiedzialna za wyjazd Shane’a do Aten. To ona doradziła Jorgisowi, żeby go wsadził na statek, więc jest winna Fionie jakieś wyjaśnienie. Tylko co mogłaby jej powiedzieć, skoro ma same złe wiadomości?

Jorgis dał Shane’owi kartkę z adresem i telefonem posterunku.

Eleni mówiła, że dawała mu papier i ołówek, aby napisał parę słów, kiedy się pakował, a Shane odmówił. Nic z tego nie poprawi Fionie humoru...

– Nie, nie sądzę, żebym wiedziała coś, czego ty nie wiesz – odpowiedziała z wolna. – Ale chciałam zauważyć, że Shane może się nie domyślić, że zostaniesz tutaj bez niego. Jeśli rzeczywiście miałby się z tobą skontaktować...

– Oczywiście, że tak!

– ... to raczej będzie cię szukał w Dublinie. Czy to nie jest jakieś wyjście?

– Nie, on wie, że nigdy tam nie wrócę i nie przyznam im ra-



cji. Za dobrze mnie zna, nie przejdzie mu przez myśl, żeby tam dzwonić. Po prostu pewnego dnia przyplynie tu promem, a ja do tego czasu muszę się jakoś urządzić.

– To nierealne Fiono, Agia Anna się do tego nie nadaje, tu się przyjeżdża wyłącznie na wakacje.

– Ty jednak zamieszkałaś tutaj na stałe.

– Wtedy było inaczej.

– Dlaczego inaczej?

– Po prostu inaczej. Poza tym nie przyjechałam z własnej woli, tylko żeby być z człowiekiem, który tu mieszkał.

– I tak się stało?

– Owszem, wiele lat temu nie było tu żadnego ruchu turystycznego. Patrzyli na mnie dziwnie, właściwie uznali mnie za dziwkę. W tamtych czasach tutejsi mieszkańcy, podobnie jak u nas w kraju, zaręczali się, żenili i tak dalej.

Vonni patrzyła na morze, wspominając tamto wszystko, cały ten inny czas.

– Więc już wiesz, że można opuścić Irlandię, przyjechać na piękną wyspę i być szczęśliwą? – Fiona rozpaczliwie próbowała znaleźć jakieś podobieństwa.

– Na swój sposób.

– Chyba nie powiesz mi, że żałujesz! Wrosłaś w to miejsce, ta decyzja musiała być słuszna.

– Nie, mój Boże, nie, szkoda tracić czas na żal! To jedno z najbardziej bezsensownych uczuć... – Vonni umilkła znowu.

– A co się stało z... no, z tym mężczyzną? – spytała Fiona w przypiływie śmiałości.

Vonni popatrzyła jej prosto w oczy.

– Ze Stavrosem? Właściwie to nie wiem – odrzekła, ucinając temat. Potem oznajmiła, że ma mnóstwo rzeczy do zrobienia i dziękuje Bogu, że przynajmniej odpadło jej uczenie Marii prowadzenia samochodu.

– A ty, Fiono? Jak sobie radzisz, gdy zostałam sama?

– Doskonale. Dziękuję, że byłaś dla mnie taka dobra – powie działa grzecznie Fiona.

Cieszyła się, że starsza kobieta już odchodzi. Nie powinna wypytywać Vonni o jej faceta. Elsa już szła w ich stronę, machając z daleka ręką.

– Zostawiam cię pod dobrą opieką – rzuciła Vonni na odchodne. Elsa usiadła i opowiedziała Fionie o ranku na plaży. Zamówiły sałatkę i gawędziły bez skrępowania o życiu na wyspie. Kończyły już posiłek, kiedy przemknął koło nich, charcząc, stary van, prowadzony dość nieobliczalnie przez Marię. Na miejscu pasażera siedział David. Obserwowały, jak otwiera Marii drzwi, klepie ją zachęcająco po ramieniu i na koniec całuje w rękę.

– Boże, jaki z niego będzie fantastyczny mąż! – wykrzyknęła Elsa z podziwem.

– Taak... Czyż to nie tragedia, że nigdy w życiu nie potrafimy się w takich zakochać? – Fiona westchnęła ciężko. Z ja-

kiegoś powodu uznały, że to bardzo śmieszne i wciąż jeszcze chichotały, kiedy David mijał je na rowerze.

Po chwili się do nich przyłączył.

– Naprawdę jest taka beznadziejna? Vonni mówiła, że przeżyła z nią istny koszmar.

– Vonni przesadza. Maria da sobie radę, tylko oczywiście wciąż jeszcze jest bardzo przygnębiona i zdenerwowana. Vonni chce ją zatrudnić, jak już się nauczy jeździć. Swoją drogą to zadziwiająca kobieta...

Fiona zamierzała opowiedzieć im o tym mężczyźnie sprzed lat, Stavrosie, ale ostatecznie uznała, że nie powinna. Vonni bardzo przestrzegала dyskrecji w niektórych sprawach.

Słońce już zachodziło i nad portem widać było czerwono-złotą lunę. Thomas zauważył, że Vonni wciąż jeszcze robi coś w swoim sklepie. Zastanawiał się, czy nie wejść tam i nie zaprosić jej na wieczornego drinka, ale zaraz sobie przypomniał, jak ceniła samotność.

Wyraziła zgodę na nocowanie w wolnym pokoju dopiero po długich zapewnieniach, że nie będą wzajemnie ingerować w swoje życie. Thomas nie miał ochoty iść na górę i siedzieć sam.

Bardzo chciał zadzwonić do Billa. Tamta ostatnia rozmowa tak głupio zawisała w powietrzu. Wciąż czuł do Vonni pretensję, że go podsłuchiwała, a potem stwierdziła, że wszystko zepsuł. Tym razem na pewno znajdzie odpowiednie słowa.

Usiadł w małej ulicznej kafejce i sporządził listę spraw, o których chciał opowiadać. Na przykład, że jadł obiad na posterunku policji tuż obok cel aresztantów, że tutejsi mieszkańcy tańczyli po pogrzebie, że w Niemczech uczą w szkołach angielskiej poezji, chociaż w naszych nie uczy się niemieckiej.

Przyjrzał się spisowi. Co za nudziarstwo! Takie rzeczy w ogóle nie interesują dzieci. Może Bill uzna za dziwne, że jego ojciec jadł obiad obok cel, może informacja p tańczących z sobą mężczyznach, zwłaszcza po pogrzebie, wprawi go w konsternację... I co go obchodzi poezja, obojętne – angielska czy niemiecka?

Thomas siedział z głową w dłoniach, myśląc, jakie to żałosne, że nie potrafi znaleźć nic, co miałby do powiedzenia chłopcu, którego całym sercem kochał.

– Vonni?

– Wejdz, Jorgis, siadaj.

– Tyle tu ładnych rzeczy... – Policjant rozglądał się po sklepie.

– Niektóre rzeczywiście są ładne. Jeszcze raz dzięki za wczorajszą gościnę, wszystkim bardzo się podobało.

– To nie czas na samotność. Słyszałem, że już nie uczysz wdowy jazdy.

– Przekazałam ją temu miłemu Anglikowi. – Vonni nagle się roześmiała. – Ale to miał być sekret!

– Sekret w tym mieście?!

– Wiem, wiem. – Milczała przez chwilę, czekając, że Jorgis w końcu powie, co go tu sprowadza.

– Mieliśmy telefon z Aten. W sprawie tego chłopaka, cośmy go wyekspediowali, wiesz, tego Irlandczyka...

– Ach, tak?

Więc jednak się odezwał. Fiona miała rację. Vonni nie wiedziała, czy powinna się cieszyć czy czuć się rozczarowana.

– I co powiedział?

– On? Nic. Telefonowali z posterunku w Atenach. Zgarnęli go w barze za dilerkę. Miał przy sobie moją wizytówkę, więc zainteresowali się, co o nim wiem.

– A co wiesz?

– Nic, jak dotąd. Nie było mnie, kiedy telefonowali. Chciałem przedyskutować to z tobą. Taka miła dziewczyna...

– Wiem, taka miła, że tylko patrzeć, jak wsiądzie na następny prom i pojedzie, by stanąć murem przy swoim mężczyźnie.

– To właśnie podejrzewałem.

– Znasz to zdanie o zamykaniu ludzi i wyrzucaniu klucza?

– Znam i często kusi mnie, by tak zrobić. Chyba powiem tym z Aten, że mieliśmy tu drobny wypadek pobicia dziewczyny i pijaństwa. Nie sądzę, abym musiał mówić więcej na temat tej Irlandki, co?

– Po mojemu, masz rację. Nie musimy też nic mówić samej Fionie, zgadzasz się ze mną?

- To jest zabawa w Boga, czyż nie?
- Nawet jeśli, to niech tak będzie. Boga nie było w pobliżu, kiedy ten łajdak tłukł Fionę. Może Najwyższy potrzebuje czasem pomocnej dłoni – powiedziała Vonni z ponurą satysfakcją.

Znacznie później tej samej nocy weszła na górę i zastała Thomasa siedzącego po ciemku w fotelu.

- Święty Józefie! – wykrzyknęła. – Aleś mnie wystraszył!
- Cześć, Vonni. – Miał bardzo smętną minę.
- Dzwoniłeś do syna i znów go zdenerwowałeś?
- Nie, siedziałem tu parę godzin i dumiałem, co powiedzieć, ale nic mi nie przyszło do głowy, więc nie zadzwoniłem w ogóle.
- Może na dłuższą metę tak jest lepiej.
- Co za dupa wołowa ze mnie! Żeby nie znaleźć nic, o czym można pogadać z dziewięciolatkiem?
- Powiedziałabym, że nie różnicie się od innych ojców i synów tego świata, którzy nie umieją się porozumieć. – Nie wyglądała na aż tak bezlitosną jak jej słowa.
- On nie jest moim synem – oświadczył beznamiętnie Thomas.
- Co masz na myśli?
- To, co mówię. Mniej więcej dziesięć lat temu, kiedy Shirley i ja staraliśmy się o dziecko, przeszedłem odpowiednie badania. Okazało się, że po przebytej w dzieciństwie śwince je-

stem bezpłodny. Przez cały dzień łąziłem i myślałem, jak powiedzieć o tym Shirley, ale kiedy wreszcie dotarłem do domu, okazało się, że to ona miała dla mnie nowinę: jest w ciąży, czyż to nie cudowne?

– Powiedziałaś jej o wyniku badań?

– Nie. Potrzebowałem czasu na zastanowienie. Nie miałem pojęcia, że ona zabawia się na boku. Nawet przez myśl mi nie przeszło. A ponieważ nie zdradziłem się od razu, to potem już nie mogłem się zdecydować.

– I tak już zostało?

– Kocham go tak mocno, jakby był mój.

– Bo rzeczywiście jest twój.

– Tak, to prawda. Chowałem go razem z nią, jeździłem w nocy po lekarstwa, uczyłem go czytać i pływać... jest po prostu mój. Jego biologiczny ojciec musiał zniknąć z powierzchni ziemi. Nie jest nim Andy, on zjawił się parę lat później i myśli, że Bill jest mój.

– Poruszyłeś ten problem podczas procesu rozwodowego?

– Żeby stracić wszelkie szanse na widywanie Billa?

– No tak... – Vonni pokiwała głową.

– To fantastyczny chłopak, wiesz?

– Oczywiście, jestem tego pewna. Zapadła długa cisza.

– Wracaj do niego, Thomas. Przebywając tak daleko, tylko unieszczęśliwiasz was obu.

– Nie mogę. Uzgodniłiśmy, że tak będzie najlepiej.

- Uzgodnienia można zmienić, a plany ułożyć na nowo.
  - Tam byłoby mi gorzej niż tu. Kiedy pomyślę, że miałbym codziennie natykać się na tego głupka, który pozuje na jego ojca...
  - Ale to ty jesteś prawdziwym ojcem. I tylko to się liczy. – Vonni, mówiąc te słowa, patrzyła w ziemię.
  - Chciałbym w to wierzyć.
  - Powinieneś wierzyć. – W jej głosie brzmiała spokojna pewność kogoś, kto wie, o czym mówi.
- Tamtej nocy, kiedy mu wytknęła, że spaprał całą rozmowę, przyznała, że też miała dziecko. Syna, którego utraciła na zawsze wskutek złych decyzji.
- Thomas zamknął oczy. Od dawna już się nie modlił, ale dziś całym sercem zwrócił się ku Bogu. Spraw, proszę, abym podjął właściwą decyzję. Abym nie utracił syna...



## Rozdział 11

Vonni i David pili kawę w knajpce z kratkowanymi obrusami. Za chwilę miała przyjść Maria na lekcję jazdy.

– Mówi, że jesteś bardzo dobry i w ogóle na nią nie krzyczysz – powiedziała Vonni.

– Biedaczka, czy ona uważa, że każdy będzie na nią krzyczał?

– Cóż... jeden „każdy” to ja, Manos także... więc pewnie jest tak, jak mówisz.

– Krzykiem niczego nie zdołał.

– Powiedziałam Marii, że nauczyłeś prowadzić auto swoją matkę. A ona na to, że w takim razie twoja matka ma szczęście, bo urodziła takiego syna.

– Ale moja matka tak nie myśli.

– Czemu tak sądzisz? – zdziwiła się Vonni.

– Bo to prawda. We wszystkim trzyma stronę ojca, powtarza za nim jak papuga, że czeka na mnie gotowy biznes, mogę zostać prawą ręką ojca, jego oczami i uszami, mam szczęście, większość ludzi tylko marzy o przystąpieniu do spółki zbudowanej latami ciężkiej pracy.

– A ty im nie powiedziałaś, że kochasz ich, ale nie tę firmę?

– Próbowałem, i to nieraz, zawsze kończyło się na oskarżeniach i kłótni. Mówiłem, że ile razy przekraczam próg biura,

czuję coś w rodzaju paniki... ale równie dobrze mógłbym mówić do ściany. •

– Jak wrócisz, przekonasz się, że zmiękli i...

– Nie zamierzam wracać – wpadł jej w słowo.

– Przecież nie zostaniesz tu na zawsze.

– Ty zostałeś – wytknął jej David.

– Mam już potąd tłumaczenia, że to były inne czasy – westchnęła Vonni.

– Dziś zabieram Marię na górskie drogi – zapowiedział David.

– Boże, jesteś odważny jak lew! – wykrzyknęła z podziwem.

– Całkiem dobrze sobie radzi, jeśli nie ma dużego ruchu. Przynajmniej nie wpada wtedy w panikę.

– A te straszne „agrafki”, ten osuwający się grunt... ?

– Wiem, ale przecież po takich właśnie drogach ma jeździć do górskich wiosek, kiedy już ją zatrudnisz?

– Tak, za parę miesięcy, ostatecznie tygodni, ale nie dni.

– Poza miastem idzie jej znacznie lepiej. Tutaj ciągle natyka się na te wielkie ciężarówki skręcające ze stacji benzynowej.

– Ostrożnie z tą stacją, żebyś nie rozjechał moich marzeń.

– Co takiego?!

– To była moja stacja. Przez całe lata harowałam tam dniami i nocami.

– Nie!

- Ależ tak.
- I co, sprzedałaś ją w końcu?
- Nie... została przejęta, dawno temu. Ale to zbyt skomplikowana historia, by teraz o niej mówić. Gdzie konkretnie będziecie dziś ćwiczyć? Pytam, bo chcę wiedzieć, której drogi unikać.
- Chyba wybierzemy się do gospody Andreasa, to dostatecznie kręta droga.
- Lubisz go, prawda?
- Kto by go nie lubił? To taki uczynny, miły człowiek. Nie wywiera na nikogo nacisku, niczego nie wymusza...
- Też jest uparty na swój sposób.
- Ale to dobry upór. Jego syn musi mieć źle w głowie, że nie chce wrócić z Chicago.
- Możliwe – powiedziała bez przekonania Vonni.
- Jak to „możliwe”? Chłopak pracuje w zieleniaku na drugim końcu świata w wielkiej, hałaśliwej metropolii, kiedy mógłby pomagać ojcu w tym cudownym zakątku.
- Vonni wstała i przekrzywiwszy głowę na bok, rzuciła mu przeciągłe, zagadkowe spojrzenie.
- O co ci chodzi? – spytał po chwili.
- Wiesz, o co, Davidzie. Czy tego samego nie można powiedzieć o tobie? Masz ojca, a także matkę, którzy za tobą tęsknią i dziwią się, co ty robisz na drugim końcu świata.
- To co innego.

- Naprawdę?
- Coś zupełnie innego. Mój ojciec nie myśli rozsądnie, on jest po prostu nieomylny. Nikt by z nim nie wytrzymał.
- Adoni miał o to samo pretensję do swojego. Andreas nie zgodził się założyć oświetlenia na dachu tawerny, nie zgodził się na muzykę buzuki na żywo, chociaż przyciągnęłoby to wieczorem wielu klientów. Adoni nie mógł niczego zaproponować, niczego zmienić, bo ojciec zawsze musiał mieć rację.
- Nie zauważyłem w nim ani śladu tej cechy – zaprotestował chłodno David.
- Nie? No cóż, wobec ciebie jest uprzejmy i pełen szacunku, ale rodzice rzadko kiedy odnoszą się z szacunkiem do własnych synów...
- Ty masz syna, prawda?
- Tak. Ma na imię Stavros, jak jego ojciec.
- I odnosisz się do niego z szacunkiem?
- Nie widuję go, więc żaden szacunek nie wchodzi w rachubę. David wyglądał na zaskoczonego.
- Przecież musisz się z nim czasem spotykać!
- Nie. W ogóle. Ale kiedy jeszcze go widywałam, przechodziłam dość szczególny okres. W tym czasie dla nikogo nie byłam uprzejma, a już zwłaszcza dla niego. Dlatego teraz nie ma sposobu, żeby się dowiedział, jak bardzo mi go brakuje. Dziś na pewno odnosiłabym się do niego z szacunkiem i serdecznością, tylko co z tego...

Wyprostowała się nagle i wróciła do rzeczowego tonu.

– Dobra. Zabieram dzieciaki, a ty możesz wywieźć ich matkę choćby pod Ścianę Śmierci czy gdzie tam masz ochotę.

Wstała i krzyknęła coś po grecku do dzieci, które wyraźnie się ucieszyły.

– Co im powiedziałaś? – zainteresował się David.

– Poruszyłam temat lodów, co wywołało odpowiednie wrażenie.

– Założę się, że zawsze jesteś grzeczna wobec wszystkich.

– I przegrałbyś, ale nie ma sensu wypytywać ludzi, bo i tak nic ci nie powiedzą. Jediną osobą, która może ci wyjaśnić moje życiowe problemy, jestem ja sama.

W tym momencie z domu wyszła Maria, gotowa do lekcji. Pozdrowiła Vonni, po czym zwróciła się do Davida.

– *Parne*, David!

– *Parne*, Maria!

Vonni patrzyła ze zdumieniem, jak wdowa po Manosie sadowi się na fotelu kierowcy, zerka w lusterko i gładko wyprawadza vana na główną drogę.

Jeśli ten chłopak zamierza zostać w Agia Anna, być może zrobi karierę jako instruktor jazdy!

Andreas z Jorgisem grali w tryktraka w kafejce koło posturunku. Zauważyli znajomy wóz, którym Manos rozbijał się dawniej po Agia Anna.

- To Maria! Ktoś uczy ją jeździć! – wyjaśnił Jorgis bratu.
- Pewnie Vonni.
- Nie, wygląda na faceta.
- Ach, to ten chłopak, David Fine. Bardzo porządny młodzieniec – powiedział z zadowoleniem Andreas.
- Prawda? – Siedzieli w ciszy przez chwilę. – A czy miałeś jakąś wiadomość od... – zaczął Jorgis.
- Nie, ani słowa – przerwał mu Andreas.
- Oczywiście mogli tam o niczym nie słyszeć.
- No właśnie. – Andreas rzucił kostkami po planszy.

Nie było już więcej mowy o Adonim w dalekim Chicago. Bracia rozmawiali o swojej siostrze Christinie, która miała skomplikowaną młodość, ale teraz żyła szczęśliwie z dobrym człowiekiem po drugiej stronie wyspy. Nie wspominali dziś o jej przeszłości, podobnie jak o byłej żonie Jorgisa, która знаła Manosa i jego przyjaciół od dzieciństwa. Ona też od dawna nie utrzymywała kontaktu z mieszkańcami Agia Anna.

Thomas znalazł księgarnię.

- *Vivliopolio* – poinformowała go wcześniej Vonni.
- Naprawdę? – zdziwił się. – To brzmi jak nazwa witaminizowanego napoju.
- Wiesz, greckie *V* wygląda jak zwichrowane *B* z czymś w rodzaju zwisającej nóżki. Kiedy tu przyjechałam, jedną z pierwszych rzeczy, której szukałam, była właśnie księgarnia, a

jak ją znalazłam, pomyślałam, że to jest *biblionwakyō* czy coś podobnego, co kojarzy się z francuskim *bibliothèque*.

– Ty masz dobrze w głowie?

– Ani trochę... Po co ci księgarnia?

– Tak się składa, że szukam niemieckiej poezji. Myślisz, że mają coś?

– Może... Nigdy nic nie wiadomo.

Miała rację. W wydzielonej części księgarni Thomas zobaczył książkę z utworami Goethego w wersji dwujęzycznej, niemiecko-angielskiej. Kupił ją i usiadł na pobliskiej ławce.

Studiował starannie tomik, póki nie natrafił na odpowiedni wiersz. Wtedy wyjął notatnik i zapisał:

*Kennst du das Land, wo die Zitronen bluhn, Im dunkeln Laub die Gold-Orangen gluhn.*

Obok umieścił tłumaczenie:

*Do you know the land where the lemontrees blossom, Where the golden oranges glow in the dark foliage. \**

Nauczył się tego na pamięć i zadeklamuje Elsie. Niech sobie nie myśli, że on nie ma pojęcia o niemieckich poetach.

Właśnie zaczął przepisywać następny urywek, w którym była mowa o lekkich wietrzykach, mirtach i wybujałych laurach, kiedy na stronę padł cień. To Elsa zaglądała mu przez ramię. Kiedy zobaczyła, co czyta, cofnęła się i wyrecytowała: *Kennst du es wohl? Dahin! Dahin Mocht ich mit dir, o mein Geliebter, ziehn. \*\**

– No dobra, poddam się! Nie przeczytałem jeszcze tłumaczenia. Co to znaczy?

– To znaczy... Niech spojrzę... To znaczy: „Znasz go może? To tam, tam, chciałbym pojechać z tobą, o moja ukochana”.

Gdy to wypowiedziała, spojrzeli na siebie lekko spłoszeni, jakby przypadkiem odsłonili coś zbyt intymnego.

– Czy Goethe był w Grecji? Czy to jest ów „kraj, gdzie cytryna dojrzewa”? – spytał Thomas, żeby skierować rozmowę na bezpieczniejszy temat.

– Z pewnością chodzi o kraj śródziemnomorski, chociaż Goethe podróżował głównie po Włoszech, miał fioła na punkcie Włoch. Ale oczywiście mógł się wybrać także do Grecji. Tu ja z kolei muszę się przyznać do braków w wiedzy.

\* Polscy czytelnicy znają ten wiersz w tłumaczeniu, a właściwie, jak sam poeta to określa, „naśladowaniu”, Adama Mickiewicza pod tytułem „Wezwanie do Neapolu”:

Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa, Pomarańcz blask majowe złoci drzewa...

\*\* Znasz-li ten kraj? Ach, tam, o moja miła! Tam był mi raj, Pókiś ty ze mną była. (przekład j. w. )

– A cóż mówić o mnie? Do dziś nie przeczytałem ani jednego słowa z jego twórczości, i to w żadnym języku – wyznał szczerze Thomas.

– Więc czemu czytasz teraz?



– Żeby zrobić na tobie wrażenie.

– Nie musisz. Już zrobiłeś.

Andreas odebrał telefon z Irlandii.

– Czy to tawerna w Agia Anna?

– Tak, a w czym mogę pomóc?

– Fiona Ryan dzwoniła stąd do swojej rodziny w dniu tamtej strasznej tragedii.

– Tak, tak, pamiętam.

– Jestem najbliższą przyjaciółką Fiony, mam na imię Barbara. Fiona podała mi ten numer na wypadek, gdyby straciła kontakt, więc dzwonię, bo... bo zastanawiam się, czy oni wciąż jeszcze tam są?

– A czy wynikł jakiś problem?

– Nie, nie ma żadnego problemu, tylko... przepraszam, z kim mówię?

– Z właścicielem tawerny. Mam na imię Andreas.

– Och, no dobrze, a widziałeś ją od tamtej pory?

– To bardzo mała miejscowość, tu wszyscy codziennie się spotykają.

– I z Fioną wszystko w porządku? Andreas pomyślał chwilę. W porządku?

Dziewczyna wyglądała na wykończoną, została pobita przez swojego chłopaka, który następnie ją zostawił i wyjechał do Aten, gdzie został oskarżony o rozprowadzanie narkotyków i

czeka w więzieniu na proces. Fiona miała poronienie, ale wciąż myśli, że Shane do niej wróci...

W porządku? Nie bardzo.

Ale chociaż instynktownie pragnął opowiedzieć tej miłej Barbarze o wszystkim, co się wydarzyło, wiedział, że nie on powinien to zrobić.

– Chyba im wszystkim spodobało się to miejsce – odrzekł oględnie.

– Wszystkim? Chcesz powiedzieć, że udało się jej znaleźć przyjaciół mimo Shane'a na karku? Zwykle ludzie unikają go jak zarazy.

– To bardzo sympatyczni ludzie. Niemka, Amerykanin, Anglik – wyliczał, żeby ją pocieszyć.

– Co za niespodzianka! Słuchaj, Andreas, czy znasz jakieś miejsce, gdzie mogłabym przesłać jej e-mail albo faks?

– Oczywiście. – Podał jej numery posterunku policji.

– Tu wszyscy bardzo wam współczują z powodu tego nieszczęścia. To musiał być naprawdę koszmar.

– Dziękuję. Jesteś bardzo uprzejma i dobra. – Na pewno taka była. W przeciwieństwie do jego syna o kamiennym sercu.

Andreas wciąż pluł sobie w brodę, że napisał do Adoniego. Ale obiecał Elsie, a teraz już za późno na żal. List lada dzień dotrze do Chicago.

Zgodnie z obietnicą, Fiona poszła na badanie do doktora

Lerosa.

– Wszystko w porządku – oznajmił lekarz. – Jest pani zdrowa i może pani urodzić jeszcze mnóstwo dzieci.

– Och, mam nadzieję, że kiedyś...

– Wraca pani do kraju?

– Nie, muszę czekać na Shane'a. Spodziewam się znaleźć tu pracę, jestem wykwalifikowaną pielęgniarką. Czy mogłabym, na przykład, pomagać panu?

– No raczej nie, moja droga... Widzi pani, po pierwsze, moi pacjenci mówią tylko po grecku.

– Ależ ja się nauczę! Byłoby tak cudownie, gdyby Shane zastał mnie już urządzoną.

– A nie będzie mu przykro z powodu tego poronienia? – Doktor Leros słyszał trochę o poczynaniach młodego człowieka przed wyjazdem z Agia Anna. Wiedział też, że ogólna opinia nie zakłada raczej jego powrotu.

Biedna, otumaniona dziewczyna o miękkim sercu. Ale praca u niego nie wchodziła, niestety, w rachubę.

– Na pewno się zmartwi na swój sposób, ale może lepiej będzie w przyszłości porządnie to zaplanować. Z drugiej strony, ucieszy go fakt, że jestem zupełnie zdrowa.

– To dobrze. – A... a ta praca?

– To niemożliwe, naprawdę. Może zapyta pani w hotelu? W Anna Beach?

– Ale oni zamykają na zimę.

– A pani chce tu zostać na cały rok? – Oczy lekarza rozszerzyły się ze zdumienia.

– Vonni tak zrobiła.

– Ach, ale to co innego.

– Dlaczego co innego? – zdenerwowała się Fiona.

– Pani nie знаła Stavrosa.

– A pan go znalazł?

– o tak, to był mój najlepszy przyjaciel.

– I gdzie jest teraz?

– Nie wiem, opuścił wyspę – odparł lekarz z ponurą miną. Fiona nie zamierzała ustąpić.

– A jak pan myśli, czy kiedyś wróci?

– Nie teraz, za dużo się wydarzyło...

– Ale nikt o tym nie mówi, co?

– To stare dzieje. Za dużo się wydarzyło od tej pory – powtórzył lekarz i wstał, aby uścisnąć jej rękę i dać do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca.

Jorgis objeżdżał Agia Anna, wiedząc, że prędzej czy później natknie się na Fionę lub kogoś z jej przyjaciół. W końcu wypatrzył ją z koszykiem przy straganie z owocami.

– O, Jorgis, właśnie Ciebie potrzebowałam. Jak jest „arbuz” po grecku?

– *Karpouzi*.

– Świetnie! *Karpouzi, karpouzi* – powtarzała, uszczęśliwio-

na.

– Mam list dla ciebie.

– Od Shane’a! Wiedziałam, że napisze – rozpromieniła się Fiona.

– Nie, to z Irlandii, od twojej przyjaciółki Barbary. – Wręczył jej wydruk e-maila.

Ledwie rzuciła okiem, tak była zawiedziona. Wrzuciła list do koszyka.

– Zawsze możesz wpaść do mnie, żeby napisać odpowiedź – zaproponował Jorgis.

– Nie, dziękuję, ale może mógłbyś jakoś sprawdzić, co się stało z Shane’em?

Popatrzył na nią, gryząc wargę.

Z pewnością nie należy przed Fioną ukrywać tego, że Shane został aresztowany i nie wróci do Agia Anna. Ale przecież w Atenach mają pióra i papier oraz telefony, więc gdyby chłopak chciał, mógł się z łatwością z nią skontaktować. Tylko, jak wiadać, nie chciał.

Zostawmy to na razie.

– *Karpouzi* – powtórzył, odchodząc.

– To jest po grecku „do widzenia”? – spytała smutno. Jorgis się roześmiał.

– Nie, to „arbuz”. Musisz się bardziej starać.

Usiadła w kafejce i wyciągnęła list.

*Pewnie się zastanawiasz, jak ten Sherlock Holmes – Barbara Cię wytropił, ale to było łatwe; Twoja mama miała numer, z którego dzwoniłaś, a potem Andreas mi powiedział, że jego brat jest komendantem policji. Podobno Ty i Shane zaprzyjaźniliście się z miłymi ludźmi z różnych krajów – to wspaniała wiadomość.*

*Ach, Fiono, jak bardzo mi Ciebie brakuje w szpitalu! Carmel jako siostra oddziałowa jest po prostu nie do wytrzymania. Straszy pacjentów, grozi pielęgniarkom, niepokoi odwiedzających, no mówię Ci, zachowuje się jak wariatka na haju. Mamy dwie nowe pielęgniarki z Filipin – takie miłe stworzenia, ale o mały włos nie uciekły z powrotem. Na szczęście przekonałam je, że my też czujemy się sterroryzowane.*

*Na ortopedii potrzebują więcej pielęgniarek i pomyślałam, że mogłabym złożyć tam papiery. Wspaniale jest pracować przy nowych kolanach i biodrach. Czy jeszcze nic nie wiadomo, kiedy Ty i Shane wracacie? Pytam, bo gdybyście się zdecydowali do końca lata, to akurat będą rozdzielane fantastyczne mieszkania. Moglibyście śmiało się starać – miałabyś zaledwie dziesięć minut do szpitala. Sama marzę o takim, ale w pojedynkę to za duży koszt, trzeba mieć kogoś do pary.*

*Właściwie to wspomniałam o tej możliwości Twoim rodzicom. Powiedziałam im, że naprawdę spodobałoby się Wam takie rozwiązanie, gdybyście chcieli wrócić. I wiesz – nawet nie mrugnęli okiem! Pamiętasz, jak nie pozwalali wymawiać jego imienia? Widać dobrze się stało, że wyłożyłaś jasno swoje racje.*

*Bardzo się ucieszyli z Twojego telefonu. Co za straszna tragedia!*

*W każdym razie masz już mój adres e-mailowy, więc koniecznie daj znać, jak Wam się w Grecji podoba. Zawsze chciałam się tam wybrać i zawsze kończyło się nie dalej niż w Hiszpanii. Pamiętasz, jak w Marbelli spotkałyśmy tych dwóch facetów z Anglii, którzy się spiekli na raka i dali nam kluczyki od samochodów? Ależ byliśmy lekkomyślne... Ty oczywiście nadal jesteś.*

*Uściski dla Was obojga – Barbara*

Fiona nie posiadała się ze zdumienia.

Barbara przesyła uściski Shane'owi? Rodzice przyjmują do wiadomości, że Fiona zamierza na stałe z nim zamieszkać? Świat jakby się nieco przechylił.

Ponownie przeczytała list, a potem poszła do mieszkania Elsy, żeby ugotować zupę i przyrządzić sałatkę owocową.

Elsa przystanąła obok sklepu Vonni i zaprosiła ją na wieczorny posiłek.

– Fiona coś gotuje, więc urządzimy sobie babski wieczór.

– Nie, dziękuję, Elso, to bardzo miło z waszej strony, ale mam robotę.

– Robotę? Jaką znowu robotę?

– Spotykam się co tydzień z grupą niewidomych, którzy tkają dywaniki. Dobieram im kolory wełny, a potem staram się

sprzedać gotowe wyroby. – Wzruszyła lekko ramionami, jakby chodziło o normalne, codzienne obowiązki.

– Zawsze się znałaś na tkaniu dywanów?

– Niezupełnie.

– Więc czemu się tego podjąłeś? I to z niewidomymi?

– Och, musiałam się jakoś odwdziaczyć. Doszłam do wniosku, że niewidomi mogą znakomicie tkać, tylko potrzebują kogoś, kto by im zaznaczył, gdzie ma być kolor różowy, a gdzie pomarańczowy.

– Co miałaś na myśli, mówiąc o odwdzięczaniu się?

– Ludzie z tej miejscowości byli dla mnie dobrzy, chociaż przez całe lata sprawiałam im same kłopoty. Dokuczałam wszystkim, wydzierałam się na dzieci, aż się mnie bały. A jednak znosili mnie cierpliwie, póki się nie otrząsnęłam.

– Nie mogę w to uwierzyć... Ty się wydzierałaś? Straszylaś dzieci? – Elsa roześmiała się jak z dobrego żartu.

Vonni miała bardzo poważną minę.

– Tak było, naprawdę. Ale miałam coś na swoje usprawiedliwienie: widzisz, mąż mnie zdradził. Póki grywał w *tavli* po restauracjach i tawernach, nie protestowałam, to taki sposób na życie. Ale kiedyś poznał piękną Magdę i zapomniał o mnie zupełnie. Dał się jej omotać, nie wracał na noc do domu. Miałam małego syna i tutejsi ludzie pomagali mi w opiece nad nim, bo pracowałam na stacji benzynowej. Nigdy im tego nie zapomnę... chociaż naprawdę trudno im przychodziło trzymać moją stronę.



Byłam cudzoziemką, więc mogło ich kusić, aby to jego popierać, nie mnie.

– I co się stało?

\* Grecka gra podobna do tryktraka.

– Dużo się stało. Po pierwsze i najważniejsze, Stavros wyprowadził się z naszego domu i zamieszkał z Magdą.

– No nie! W takiej małej miejscinie...

– Wielkość miasta jest bez znaczenia. W dużej metropolii zło tak samo pozostaje złem. A Stavros już do mnie nie wrócił. Popęliłam wtedy mnóstwo głupstw i wtedy poznałam tolerancję i życzliwość moich sąsiadów.

– Jakiego rodzaju głupstw? – zainteresowała się Elsa.

– To już może innym razem. – Na twarz Vonni opadły niewidzialne żaluzje.

– Pytam, bo sama ostatnio popełniłam wiele głupstw. To pocieszające wiedzieć, że inni też się wygłupili, a jednak przetrwali.

– Czy chodzi o tego mężczyznę, który wykrzykiwał do gwiazd, że cię kocha?

– Ty wiesz wszystko! – zawołała ze zdumieniem Elsa. – Tak, oczywiście, że o niego. A problem polega na tym, że ja też wciąż go strasznie kocham.

– Czemu to ma być problem?

– Hm... to skomplikowana sprawa.

– Zawsze są jakieś komplikacje – zauważyła ze współczuciem Vonni.

– Tak, tylko o tym się zapomina. On ma na imię Dieter i kieruje stacją telewizyjną, w której pracuję... a właściwie pracowałam. Nauczył mnie wszystkiego, aż stałam się kimś w rodzaju gwiazdy, powierzono mi prowadzenie ważnego wieczornego dziennika. Tak czy inaczej, zakochaliśmy się w sobie i byliśmy razem przez ponad dwa lata.

– Mieszkaliście razem?

– Aż tak proste to nie jest.

– Jest żonaty, tak?

– Nie o to chodzi. Tylko jeśli wszyscy w sieci wiedzą, robi się niezręczna sytuacja.

Vonni podniosła głowę i spojrzała Elsie prosto w oczy. Ta z jakiegoś powodu spłoszyła się i uderzyła w ton defensywny.

– Nie wiesz, jak tam jest, Vonni. To istny kocioł. Zaraz by pomyśleli, że dostałam tę pracę tylko dlatego, że z nim żyję. Łatwiej było nam obojgu, jeśli mieszkaliśmy każde u siebie.

– Jasne – poddała się Vonni. – Więc co robisz tutaj?

– Dostrzegłam w nim coś bardzo zimnego i bezdusznego.

– I to cię uwiera bardziej niż fakt, że nie przyznawał się do ciebie publicznie?

Elsa się wyraźnie zdenerwowała.

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz. Przecież to była wspólna decyzja.

– Tak, oczywiście. Więc cóż było takiego zimnego i bezdusznego?

– Odkryłam, że ma dziecko z kobietą, z którą żył wiele lat temu.

– I co?

– Jak to „i co”? Ma dziecko, córkę, ale nigdy jej nie uznał, nie uczestniczył w jej życiu. Nie uważasz, że to coś złego?

– Myślę, że takie rzeczy zdarzają się każdego dnia, każdego tygodnia, jak świat długi i szeroki. I ludzie jakoś to wytrzymują.

– Mnie też się to zdarzyło. Mój ojciec odszedł w siną dal i dotąd nie dał znaku życia.

– No i spójrz na siebie! Czyż nie przeżyłaś? Taka jesteś piękna, pewna siebie, odnosisz sukcesy... To tylko dowodzi, że mam rację.

– To niczego nie dowodzi. Nie wiesz, co czuję, co zawsze czułam... Uważałam, że jestem kompletnie do niczego, skoro nawet rodzony ojciec mnie nie chciał.

– Dorośnij, Elso! W końcu każdy z nas polega tylko na samym sobie i ewentualnie na przyjaciółach, jeśli mamy dość szczęścia, by ich zdobyć. Nie jesteśmy uwiązani do swoich dzieci ani one do nas. Nie istnieje potężne prawo, które głosi: „Będziesz miłował swoje dzieci”, a w zamian za to: „Twoje dziecko będzie miłowało ciebie”. Szczęśliwe Rodziny to tylko gra w karty, a nie rzeczywistość.

– Nie wiem, co sprawiło, że jesteś taka rozgoryczona i cy-

niczna, ale cieszę się, że ja nic takiego nie czuję.

– Bo ty byś chciała, żeby udawał sobotniego tatusia wobec dziecka, które według niego w ogóle nie powinno przyjść na świat.

– Ale ono istnieje, a on właśnie tak powinien robić.

– Nie dlatego go zostawiasz – zauważyła Vonni.

– Słucham?

– Zostawiasz go dlatego, że mu nie ufasz. Myślałaś, że ani się obejrzysz, jak poprosi, abys dzielila z nim życie. Jesteś taka piękna i przyzwyczaiłaś się, że wszystko układa się zawsze po twojej myśli. Gdybyś kochała go naprawdę, potrafiłabyś odłożyć na bok sprawę dziecka. Ale nie, ty po prostu nie jesteś pewna jego miłości i dlatego wyolbrzymiasz epizod, który wydarzył się na długo przed waszym poznaniem. Znalazłaś sobie pretekst, czyż nie?

Else aż zapiekły oczy na taką niesprawiedliwość.

– Mylisz się, on mnie kocha, słyszałaś sama, jak głośno to wykrzykiwał. Powtórzył to jeszcze raz rano, kiedy wsiadał na prom.

Mam po nim taką wielką pustkę w sercu... Postanowiłam jak najszybciej wrócić do Niemiec i powiedzieć mu, że ja też go kocham. Vonni pochyliła się ku niej.

– Posłuchaj mnie, Elso, bo już nigdy w życiu nikt nie da ci takiej dobrej rady: Nie wracaj tam, idź dalej przed siebie, a jego zostaw. Bądź dla niego na zawsze pięknym, jasnym wspomnie-

niem. On nigdy nie pokocha cię w taki sposób, na jakim ci zależy.

Elsa wstała, bojąc się wypowiedzieć choćby słowo. Zdawało się jej, że obok mignął Thomas – szedł bocznymi schodkami na górę w tych głupich, workowatych spodniach. Nie chciała rozmawiać ani z nim, ani w ogóle z nikim. Chciała dostać się do swojego mieszkania i to natychmiast.

– Jesteś bardzo milcząca, Elso – zauważyła Fiona. – Nie smakowała ci ta dobra, zdrowa zupa, którą ci ugotowałam?

– Jest pyszna, przepraszam... Mam dziś kiepski nastrój, ale nie martw się, zaraz mi przejdzie. Nie cierpię humorzastych ludzi. – Elsa uśmiechnęła się promiennie.

– Coś się stało?

– Tak... pokłóciłam się z Vonni. Już głupiej wyjść nie mogło.

– Pokłóciłaś się z Vonni?!

– No wiem, że to brzmi idiotycznie, ale tak właśnie się stało.

– Ale o co?

– Ona wie o mnie i o Dieterze. Namawia mnie, żebym go rzuciła i trzymała się od niego z daleka. – Elsa wcześniej nie opowiadała Fionie o swym romansie, i teraz tej ostatniej po prostu zabrakło słów. – Więc po prostu patrzymy na sprawy nieco inaczej, rozumiesz, co mam na myśli?

– A ty ciągle go kochasz, prawda?  
– Och tak, zdecydowanie tak! I on czuje to samo.  
– W takim razie nie ma o czym mówić – odrzekła Fiona rzeczowo, jakby po prostu stwierdzała fakt. – Musisz do niego wrócić i nie oglądać się na Vonni.

Uzgodnili, że spotkają się w portowej kafejce po obiedzie, i teraz cała czwórka omawiała miniony dzień.

– Czy ktoś z was także ma wrażenie, że po prostu zabijamy tu czas... zamiast robić coś zupełnie innego? – zastanawiał się Thomas.

– Ja tam jestem zadowolony z obecnego stanu rzeczy – odrzekł David.

– Ja także – dodała Fiona. – Zresztą i tak muszę tu czekać na Shane’a.

– Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu wrócę do Niemiec – oznajmiła Elsa. – Właśnie się nad tym zastanawiam. A ty, Thomas?

– Cóż, Vonni uważa, że powinienem wrócić i zobaczyć się z synem. Ale też jeszcze się nie zdecydowałem.

– Vonni ostatnio nic tylko wysyła nas do domu! – narzekał David.

– Odkąd nauczyłem Marię prowadzić samochód, mnie także chce się stąd pozbyć. Kazała mi pogodzić się z rodzicami i podjąć pracę u ojca.

– Ona nie wierzy, że Shane wróci – zawtórowała mu Fiona.  
– Powiada, że tu nie ma pracy, i najlepiej będzie, jak pojedę do Dublina.

– Jest lepszym policjantem niż Jorgis – zauważyła Elsa ze śmiechem. – Mnie poradziła, abym zakończyła związek z Dieterem, bo on ponoć wcale mnie naprawdę nie kocha.

– Chyba tak tego nie ujęła? – spytał David.

– Niemal słowo w słowo. Ale w przeciwieństwie do was kazała mi jechać gdzie indziej i nie wracać do kraju.

Podzielili się z sobą tym, czego zdołali dowiedzieć się o Vonni: pochodzi z zachodniej Irlandii, przyjechała na wyspę ponad trzydzieści lat temu, ponieważ pokochała tutejszego mężczyznę imieniem Stavros. W jakiś sposób udało się jej kupić mu stację benzynową, gdzie harowała dniami i nocami. Urodziła syna, także Stavrosa, którego teraz nie widuje. Stavros senior opuścił wyspę, być może zabierając z sobą dziecko. Przeżyła ciężki okres, ale mieszkańcy Agia Anna zaopiekowali się nią, więc teraz Vonni uważa, że ma wobec nich dług wdzięczności.

– Na czym polegał ten trudny okres? – zastanawiała się Fiona.

– Może chodzi o załamanie po wyjeździe Stavrosa?

– Mnie się zdaje, że ona jest alkoholiczką – powiedział cicho David. Wszyscy się obruszyli. Ta spokojna, rozsądna kobieta z głową na karku miałaby być niewolnicą nałogu? Niemożliwe.

– Czemu tak sądzisz? – spytała Elsa.

– A nie zauważyliście, że ona nigdy nie pije żadnych mocniejszych drinków? Ani *ouzo*, ani nawet wina?

Popatrzyli na niego z szacunkiem. Przecież wszyscy wielokrotnie siedzieli z Vonni przy różnych stołach, a tylko łagodny, wrażliwy David zauważył to, co teraz stało się oczywiste dla każdego.



## Rozdział 12

Vonni miała rację, mówiąc, że mieszkańcy Agia Anna zwarli wokół niej szeregi. Czwórka przyjaciół nie mogła wydobyc od nikogo żadnych informacji.

– Podobno to Vonni prowadziła kiedyś tę stację benzynową? – zagadnął Thomas Jorgisa.

Policjant mruknął coś, co mogło oznaczać zarówno „tak”, jak „nie”.

– Czy z wielką niechęcią jej się pozbyła? – drażył dalej Thomas.

– Naprawdę nie wiem.

– A może to była dla niej ulga?

– Mieszkasz w domu Vonni, więc zapytaj ją samą – odrzekł grzecznie Jorgis.

Nie lepiej poszło Davidowi z Andreasem.

– Musiałeś znać jej męża, tego Stavrosa?

– Tu wszyscy wszystkich znają.

– I pewnie Magdę też znałeś?

– Jak mówiłem, to mała miejscowość.

– A ich syn? Czy przyjaźnił się z twoim i z Manosem?

– W małych miasteczkach wszystkie dzieci bawią się razem.

– Pewnie uważasz, że zadają zbyt wiele pytań?

– To dobrze, że interesujesz się tą miejscowością i ludźmi,

którzy tu mieszkają – odparł wymijająco Andreas i zamilkł.

Elsa, kupując w delikatesach oliwki i ser, próbowała wyciągnąć coś z Yanniego. Miał około sześćdziesiątki i na pewno był świadkiem dramatu.

– Jak to wspaniale, że Vonni tak wrosła w to miasteczko... – zaczęła.

– Rzeczywiście, to bardzo porządna kobieta.

– Znal ją pan chyba, kiedy jeszcze była żoną Stavrosa?

– Rozmawiała z panią o Stavrosie?

– Owszem, trochę.

– Więc pewnie powiedziała pani wszystko, co chciała – odparł Yanni, ukazując złote zęby w uśmiechu. Nie pisnął więcej ani słowa.

I tak Elsa, która potrafiła skłonić polityków, rekinów biznesu, pisarzy i aktorów do wywnętrzania się w wywiadach dla niemieckiej telewizji, musiała uznać swą porażkę.

Fiona wybrała się do domu Eleni ze słodyczami dla dzieci.

– Chciałam podziękować, że była pani dla mnie taka dobra w czasie mojej choroby...

– A teraz już wszystko w porządku? – spytała szczerze przejęta kobieta.

– Tak, ze mną tak, tylko trochę mi smutno, bo wciąż czekam na Shane’a. Jeśli tu wróci, powie mu pani, gdzie teraz mieszkam?

– Shane. Tak, oczywiście, że powiem. Jeśli wróci.

– Ależ wróci. On mnie kocha. – Tak.

Zapadła krępująca cisza. Fiona nie chciała już się upierać, więc zmieniła temat:

– Znała pani może Stavrosa? Chodzi mi o męża Vonni...

– Nie mówię dobrze po angielsku. Ja opowiadam temu Shane'owi, gdzie pani mieszka. I dziękuję za *karameles* dla dzieci. Dobra z pani dziewczyna.

– Vonni, przyjdź potem na górę na *potokalatha*, dobrze?

– Więc wreszcie dotarło do ciebie, że piję tylko bezalkoholowe napoje? – spytała ze śmiechem.

– To David się pierwszy połapał, nie ja. On jest bardzo spostrzegawczy. Zresztą, nieważne, co pijesz, potrzebuję twojej rady.

– Wcale nie potrzebujesz. Po prostu chcesz, żebym cię zapewniła, że wszystko będzie dobrze, nawet jeśli nie kiwniesz palcem w tej sprawie. Zgadza się?

– Wolałbym, żebyś potrafiła mnie przekonać.

– Będę za dziesięć minut.

Miała na sobie czystą żółtą bluzkę z wyhaftowanymi różyczkami. Pewnie trzymała swoje rzeczy w sklepie.

– Ładne – pochwalił, wskazując haft. – To twoja robota?

– Nie, ktoś inny to wyszył... już trzydzieści lat temu.

– Naprawdę? A kto?

– Nieważne, ale ona haftowała wprost bosko.

Thomas przelknął z wysiłkiem ślinę. Nie chciał być natręt-

ny.

– Rozumiem, zadaję zbyt wiele pytań. Przepraszam, Vonni, nie musisz odpowiadać.

– Rzeczywiście. Wy wszyscy zrobiliście się ostatnio nazbyt ciekawi. Wypytujecie o mnie wszystkich naokoło – wytknęła mu z niewinnym uśmiechem.

Thomas wbił wzrok w podłogę.

– Powtórzyli ci? – spytał stropiony.

– Oczywiście, że powtórzyli. – Dla niej było to naprawdę oczywiste.

– Przykro mi, to wprawdzie wygląda na zwykłe wścibstwo, ale powiem ci, Vonni, że powód jest inny. Po prostu uważamy cię za niezwykłą kobietę. Zafascynowałaś nas.

– Czuję się pochlebiona i zaskoczona. Ale i tak powiem ci wszystko, co tylko chcesz wiedzieć. – Uśmiechnęła się zachęcająco.

– Nie wiem. Teraz, jak już mam prawo pytać, to naprawdę nie wiem, o co. Może najpierw, czy jesteś szczęśliwa?

– Tak, jestem. A ty?

– Ja nie. Wiesz przecież, że kompletnie spałałem sprawę Billa, sama mi to wypomniałaś. Ale to miała być rozmowa o tobie.

– A konkretnie, o czym?

– Wszyscy chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o twoim mężu. Jaki był, co się z nim stało...

Czuł się niezręczne, tak ją sondując, ale Vonni zachowała całkowity luz.

– To bardzo trudne pytania. Miał na imię Stavros, był czarnookim brunetem o ciemnej karnacji i bez względu na modę, zawsze nosił długie włosy. Jego ojciec był tu fryzjerem i wciąż powtarzał, że wstyd mu za takiego zarośniętego syna i że Stavros robi mu złą reklamę. Co do wzrostu... Stavros nie należał do wysokich, można by go określić jako krępego. Od pierwszej chwili, jak go zobaczyłam, wiedziałam, że już nigdy nie zechcę nikogo innego.

– A gdzie go zobaczyłaś? Tutaj, w Agia Anna?

– Nie, zupełnie gdzie indziej. W najbardziej nieprawdopodobnym miejscu – rozmarzyła się Vonni.

– Mam cię błagać na kolanach czy sama mi powiesz?

– Poznałam Stavrosa w Ardeevin, małym miasteczku w zachodniej Irlandii, wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, czyli jeszcze przed twoim urodzeniem.

– To prawda, ale urodziłem się zaledwie cztery lata później.

– Przyjechał do pracy w komisie samochodowym przy głównej ulicy. Nigdy dotąd nie widzieliśmy nikogo tak egzotycznego. Prawdziwy, żywy Grek na głównej... właściwie na naszej jedynej ulicy, bo w Ardeevin więcej ich nie ma. Mówił, że uczy się angielskiego, handlu samochodami, a przy okazji zwiedza świat... – Westchnęła na samo wspomnienie. – Nigdy nie przeszło nam przez myśl, że Ardeevin jest akurat tym miej-

scem, od którego powinno się zaczynać zwiedzanie świata. Czemu nie Paryż? Albo Londyn, a nawet Dublin? Ale powiedział, że tu mu się podoba, bo jest tak samo jak w jego rodzinnej Agia Anna. Czuje się swojsko i swobodnie. – Urwała, by to wspominać.

Thomas nie zachęcał jej do dalszych zwierzeń. Albo sama coś powie, albo nie, bez względu na jego pytania.

– Chodziłam jeszcze do szkoły, byłam w ostatniej klasie. Moja rodzina miała nadzieję, że otrzymam tak zwane wezwanie do nauki. Oznaczało to miejsce w college’u, gdzie zdobywało się uprawnienia do nauczania w podstawówce. Krótko mówiąc, coś w rodzaju wygranej na loterii, bo dostawało się darmowe wykształcenie, stałą pracę i pensję.

– Ale wezwanie nie nadeszło?

– Nawet nie wiem. W każdym razie wiadomość do mnie nie dotarła, bo byłam tak zakochana w Stavrosie, że nic więcej się już nie liczyło. Przestałam chodzić do szkoły, przestałam się uczyć, przestały mnie obchodzić egzaminy. Jedyнным moim celem każdego dnia było ukryć się przed siostrą, a potem wśliznąć na zaplecze salonu Ardeevin Motors. Nie zależało mi na niczym więcej, chciałam tylko być z nim.

Thomas słuchał, zafascynowany chłodem, z jakim relacjonowała dzieje swojej pierwszej miłości.

– W końcu jego szef Jimmy Kean doszedł do wniosku, że Stavros nie koncentruje się w pełni na swych obowiązkach i

zaczął przebąkiwać o zamiarze wylania go z roboty. Nie mogłam ani jeść, ani spać, tak bardzo się martwiłam. Co zrobię, jak Stavros stąd wyjedzie? Moje egzaminy po prostu przesiedziałam. Ledwie rozumiałam pytania, więc cóż mówić o odpowiedziach.

– I jakie miałaś wyniki?

– Nie mam pojęcia. Bo widzisz, tego lata zdarzyło się w Irlandii coś najcudowniejszego pod słońcem: strajk bankowy! – Aż oczy jej się zaświeciły na samo wspomnienie.

– Banki zastrajkowały? Nie wierzę!

– Ależ tak!

– I jak ludzie sobie radzili?

– Głównie bazowali na zaufaniu, na skryptach dłużnych... Wydrukowano nawet książeczki czekowe z pustymi blankietami, żeby wyglądało to bardziej normalnie.

– I co?

– To, co zdarzyło się później, zakrawa po prostu na cud. W supermarketach zalegała gotówka, której banki nie chciały odbierać, więc znajomym klientom zaczęto wypłacać pieniądze w zamian za owe „czeki”. Piętnaście kilometrów dalej, w dużym mieście, znajdował się supermarket, w którym mnie znano, gdyż kierownik był kuzynem mojej matki. Zrealizowałam tam czek na dwa i pół tysiąca funtów. Tego samego dnia Jimmy Keane kazał Stavrosowi się wynosić. – Vonni wstała i zaczęła chodzić po pokoju, nie przerywając opowiadania. – Stavros powiedział,

że będzie za mną tęsknił, że jestem jego prawdziwą miłością i pewnego dnia spotkamy się znowu. Teraz pojedzie z powrotem do Agia Anna, otworzy tam stację benzynową, a potem ściągnie mnie do siebie i będziemy razem. Zapytałam go, co stoi na przeszkodzie, żebym od razu z nim pojechała, skoro mam własne fundusze i mogę mu pomóc. Powiedziałam, że to są moje oszczędności.

– Jeszcze powiedz, że się ucieszył.

– O tak, ucieszył się, w przeciwieństwie do moich rodziców. Oznajmiłam im, że mam lat siedemnaście i pół, a za sześć miesięcy i tak wyjdę za niego, nie oglądając się na ich pozwolenie. Więc co mieli robić? Zamknąć mnie na klucz? Było dużo płaczu i krzyku, gadaniny o zmarnowanym życiu, złym przykładzie dla siostry, o tym, że nie będą śmieli spojrzeć ludziom w oczy. Mój ojciec był w Ardeevin nauczycielem, ważną figurą w tamtejszej społeczności, matka pochodziła z rodziny właścicieli dużych sklepów rozsianych w całej okolicy. Po prostu wstyd i hańba!

– Ale złamałaś ich w końcu.

– Zapowiedziałam, że jeszcze tego samego dnia wyjeżdżam i rzeczywiście o siódmej trzydzieści oboje wsiedliśmy do autobusu.

– A pieniądze?

– Ach, tak, pieniądze. Zanim skończył się strajk w banku, byliśmy już dobrze ustawieni w Agia Anna. Mieliśmy cudowną podróż, pociągiem i statkiem, oszczędziliśmy sporą sumę, nie



tknęliśmy jej nawet przed dotarciem na miejsce. Jechaliśmy przez Szwajcarię i Włochy, żywiąc się chlebem i serem. W życiu nie byłam taka szczęśliwa, co ja mówię, nikt nigdy nie był taki szczęśliwy jak ja wtedy.

– A po przyjeździe tutaj?

– Już nie było tak wspaniale. Na Stavrosa czekała dziewczyna, spodziewała się jego dziecka. Myślała, że po powrocie się z nią ożeni. To była Christina, siostra Andreasa i Jorgisa. Kiedy odkryła, że nie wrócił do niej, próbowała się zabić. Okazało się jednak, że umarło tylko dziecko w jej łonie, ona sama przeżyła. Wszyscy przeżyliśmy wtedy okropny okres.

– Co się stało z Christina?

– Poszła do szpitala, wiesz tego na wzgórzu, przy drodze do Kalatriady.

– Tak, wiem. A z tobą co się potem stało?

– Ze mną? Nauczyłam się greckiego, kupiłam stację benzynową. Wkrótce umiałam zmienić koło, napompować opony. Co tydzień odwiedzałam Christine. Nie odzywała się do mnie przez czterdzieści pięć wizyt i nagle pewnego dnia zaczęła mówić. Potem szybko wróciła do zdrowia i wyszła za dobrego człowieka. Ma dzieci i wnuki, mieszkają wszyscy po drugiej stronie wyspy. Często ją widuję.

– Wyszłaś za Stavrosa?

– Wzięliśmy cywilny ślub w Atenach. Nie uznała go ani moja rodzina, ani jego – dla nich nie był prawdziwy.

W jej głosie pojawiło się zmęczenie. Thomas zrozumiał, że nie powinien naciskać.

– A w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, tym samym, w którym ty się urodziłeś w Kalifornii, przyszedł na świat nasz syn Stavros. Do tego czasu ludzie zdążyli się do mnie przyzwyczaić. Urządziliśmy chrzciny w cerkwi i nawet ojciec Stavrosa rozluźnił się trochę i śpiewał. Przyjechała Christina i podarowała mi wszystkie ubranka, które przygotowała dla tamtego dziecka.

– To niezwykle.

– Wiem. Z Irlandii, oczywiście, nie było ani słowa. Napisałam im, że mają wnuka, ale nie odpowiedzieli.

– Musieli czuć się bardzo rozgoryczeni.

– Tak, a ostatnią kroplą, która przelała kielich, były te pieniądze.

– Ach, prawda, pieniądze... – uśmiechnął się Thomas.

– Zawsze zamierzałam je spłacić.

– Jasne – przyznał bez przekonania.

– I spłaciłam. – Zabrzmiało to jak coś najbardziej oczywistego na świecie.

David otworzył list. Pierwszy raz zdarzyło się, że rodzice do niego napisali. Siedział i nie wierząc własnym oczom, czytał, jaką dumą i radością napełniło ich zaproszenie na uroczystość wręczenia zdobytej przez ojca nagrody. Przesłali mu fotokopię, ale opisali wygląd liter wytłoczonych na grubym kartonie.

David znał takie nagrody; biznesmeni co roku poklepywali się po plecach. Przyznawano je wyłącznie za sukcesy w robieniu pieniędzy. Nie za osiągnięcia, dobroczynność, badania naukowe, hojność włożenie na dzieła miłosierdzia, chodziło tylko o kult bożka o imieniu Dochód.

Matka rozpisywała się bez końca: o posiedzeniu w ratuszu, o tym, co na siebie włożą, o rozmieszczeniu gości przy stole. Pytała, jak prędko Davidowi uda się wrócić, by mógł wziąć udział w tej uroczystości.

Kiedy już nieco ochłonie, napisze kurtuazyjny list z wyjaśnieniem, czemu go tam nie będzie. List lepiej się do tego nada niż telefon. Nie ma niebezpieczeństwa, że komuś puszcza nerwy.

Fiona poszła do hotelu Anna Beach i wysłała e-mail do swojej przyjaciółki Barbary w Dublinie.

*Jak miło, że do mnie napisałaś! Kurczę, Barb, tu jest przepięknie, tak się cieszę, że wybraliśmy akurat to miejsce. Wypadek był straszny, ale ludzie tu są dzielni i dobrzy, że do rany przyłoży. Shane wyjechał na kilka dni do Aten w sprawie pracy, spodziewam się go lada dzień i wychodzę na każdy prom. Dzięki za wiadomości ze szpitala, wyobrażam sobie tę krowę Carmel jako oddziałową!*

*Napiszę znowu, kiedy już będziemy mieli jakiś plan.*

*Ściskam – Fiona*

– Jest faks do tej Niemki, pani znajomej – powiedział recepcjonista do Fiony, kiedy ta wychodziła.

Fiona nie mogła się nadziwić, skąd wszyscy o nich wiedzą.

– Zabiorę go.

Zaczynała coraz lepiej poznawać Agia Anna, odkryła nawet kilka skrótów prowadzących z jednej strony na drugą. Położyła przed Elsą przyniesioną kartkę.

– Przeczytałabym, ale to po niemiecku. – Tak.

– A ty nie przeczytasz? Przecież nie musisz tłumaczyć.

– Wiem, co tam jest napisane.

– Co ty, jasnowidz jesteś? – zdumiała się Fiona.

– Tam stoi, że mam się wziąć w garść, wrócić na swoje miejsce, czyli do jego łóżka dwa razy na tydzień, i zapomnieć o niezależności.

– A może jednak nie?

– Dobrze, zaraz ci przetłumaczę... przynajmniej się streszcza.

*Kochana Elso, Decyzja należy do Ciebie. Wróc do mnie, a zamieszkamy razem, tak żeby wszyscy widzieli. Nawet możemy się pobrać, jeśli tego właśnie chcesz. Do tamtego dziecka mogę pisać listy i wysyłać prezenty, skoro ma Ci to poprawić samopoczucie. Jesteśmy dla siebie stworzeni, wiesz o tym tak samo jak ja, więc po co te gierki ? Wyślij mi faks, że się zgadzasz, i to jak najszybciej.*

*Kocham Cię aż do końca świata – Dieter*

W Chicago Adoni odebrał list z greckim znaczkiem. Jeśli miła włoska rodzina, u której pracował, uważała za coś dziwnego, że nigdy nie pisano do niego z Grecji, to się z tym nie zdradzała. Zaniósł list do męskiej toalety i usiadł, by odczytać rozwlekłe pismo ojca.

List zaczynał się od , „*Adoni mou*” i w prostych słowach donosił o płonącym na oczach całego miasteczka statku, do którego nikt nie był w stanie dotrzeć na czas. To sprawiło, że wszystkie inne sprawy zupełnie straciły znaczenie, pisał ojciec.

*Kłótnie na temat tawerny są tak małe w porównaniu ze sprawami życia i śmierci. Sprawiłbyś mi wielką przyjemność, mój synu, gdybyś wrócił do Agia Anna, abyśmy mogli się spotkać jeszcze przed moją śmiercią. Przrzekam, że nie będę już rozmawiał z Tobą tym tonem, co wtedy, przed Twoim wyjazdem. Twój pokój jest zawsze przygotowany, gdybyś zechciał się wybrać w odwiedzin. Oczywiście możesz przywieźć z sobą, kogo tylko zechcesz – mam nadzieję, że ktoś taki jest.*

Adoni wyjął dużą niebieską chustkę, aby otrzeć oczy. A potem zapłakał jeszcze raz, ponieważ nie miał nikogo, kogo mógłby wziąć ze sobą w tę podróż.

Nikt nie wpłacił kaucji za Shane’a, więc po wstępnym prze-

słuchaniu zapakowano go z powrotem do celi.

– Mam prawo do jednego telefonu! – wydarł się chłopak. – Przecież jesteście w pieprzonej Unii! Przyjęliśmy was także z powodu takich spraw jak ta, więc może byście przestrzegali praw człowieka!

Przysunęli mu aparat bez komentarza.

Shane wybrał numer posterunku w Agia Anna. Żeby tak jeszcze pamiętał imię tego starszego gościa, niech go diabli...

– Szukam Fiony Ryan.

– Słucham? – powiedział Jorgis.

– Dzwonię z policji czy tam z dołka w Atenach...

– Już ci powiedzieliśmy, że jej tu nie ma – skłamał gładko Jorgis.

– Musi być! Będzie miała ze mną dziecko, ma zdobyć kasę na kaucję! – W głosie Shane’a pojawił się strach.

– Niestety, nie możemy ci pomóc – odrzekł Jorgis i odłożył słuchawkę.

Shane błagalnie poprosił o jeszcze jeden telefon. Był tak zdenerwowany, że policjant w końcu ustąpił.

– Ale jak do Irlandii, to się streszczaj.

– Barbara! Cholernie długo cię szukali. Tu Shane.

– Byłam na oddziale, Shane. Niektórzy nazywają to pracą.

– Bardzo śmieszne. Słuchaj, Fiona jest w Dublinie?

– Co?! Zerwaliście z sobą? – Barbara nie potrafiła ukryć radości.

- Chyba żartujesz. Musiałem wyjechać do Aten...
- Do pracy? – zasugerowała cierpko Barbara.
- Coś w tym stylu... A ci debile z Agia Anna mówią, że jej tam nie ma, więc chyba mamy jakiś kryzys w komunikacji.
- Ojejku, Shane, tak mi przykro.
- Nieprawda, aż drżysz z radości.
- Właściwie, to w czym mogę ci pomóc?
- Mogłabyś jej przekazać, żeby się ze mną skontaktowała w... zresztą, mniejsza o to, sam ją znajdę.
- Na pewno, Shane? Bardzo chciałabym ci pomóc – powiedziała przymilnie Barbara. Lepszej nowiny nie słyszała od dnia, w którym jej przyjaciółka spiknęła się z tym odrażającym ty-  
pem.

Thomas patrzył na Vonni, która ze spokojem opowiadała mu historię swego życia. Teraz okazuje się, że spłaciła ów gigantyczny dług. Ile sekretów jeszcze ukrywa?

- Spłaciłaś ten supermarket? – spytał z niedowierzaniem.
- Zajęło mi to trochę czasu... prawie trzydzieści lat. Ale dostali wszystko co do pensa. Na początek wysyłałam im sto funtów rocznie.
- Podziękowali ci? Wybaczyli?
- Nie, nawet się nie odezwali.
- A ten kuzyn twojej matki? Nie potwierdził zwrotu?
- Nie, zresztą to bez znaczenia.

- Utrzymujesz jakiś kontakt z rodziną?
- Przysyłają mi chłodne życzenia na Boże Narodzenie. Robią to z chrześcijańskiego miłosierdzia, żeby sobie udowodnić, jacy to są wielkoduszni, zdolni do wybaczenia i tak dalej. Po pewnym czasie zaczęłam pisać długie listy, wysyłałam zdjęcia małego Stavrosa, ale było to nieco jednostronne. A potem, rzecz jasna, wszystko się zmieniło.
- Zmieniło? Czyżby się przekonali?
- Nie, mam na myśli, że to ja się zmieniłam. Wiesz, wpadłam w obłąd.
- No nie, Vonni, ty – w obłąd? Nie wierzę. Podniosła na niego zmęczony wzrok.
- Od lat nie mówiłam o sobie. Prawdę rzekłszy, mam już trochę dość.
- Może połóż się w swoim pokoju, odpocznij... – zaproponował jej łagodnie.
- Nie, Thomas, muszę nakarmić kury.
- Pozwól, że ja to zrobię.
- Dziękuję, ale nie. I wiesz co? Możesz opowiedzieć innym to wszystko. Nie chcę, żeby zwracali ludziom głowę wypytywaniem o moje sprawy.
- Thomas wyglądał na zakłopotanego.
- Przecież nie muszą wiedzieć, nikt z nas nie musi...
- Resztę opowiem innym razem. Rozumiesz: „dalszy ciąg nastąpi”. – Uśmiechnęła się czarująco.



Ku swemu zdumieniu odwzajemnił ten uśmiech. Tej nocy Vonni nie wróciła do mieszkania. Kiedy Thomas wyjrzał później przez okno, zobaczył promień latarki przesuwający się wokół kurnika.

Następnego dnia, gdy spotkali się w porcie, opowiedział im historię Vonni. Weszły im w zwyczaj te codzienne spotkania w knajpce z obrusami w niebieską kratkę.

David zdał relację z ostatniej lekcji: zatrzymali się i podwieźli kilku sąsiadów Marii. Niezbyt dobrze zrozumiał, co mówili, ale na pewno były to okrzyki aprobaty.

Elsa i Fiona nie wspomniały o otrzymanych wiadomościach; opowiedziały tylko, jak spędziły rano: pomagały pewnemu staruszkowi malować krzesła. Chciał je pomalować na biało, a Elsa zaproponowała, żeby jedno pociągnąć farbą niebieską, a drugie żółtą. Był nimi zachwycony... przynajmniej tak im się wydawało.

Thomas opowiedział historię Vonni.

– Chciała, żebyście ją poznali, bo do dalszego ciągu wybierze kogoś z was trojga.

Zastanawiali się nad sytuacją w Irlandii podczas strajku banków.

– Pamiętam, jak ojciec mówił, że wszystko chodziło jak w zegarku – przypomniała sobie Fiona. – Owszem, zdarzyło się, że kilku pojedynczych naciągaczy, tak jak Vonni, skorzystało z

okazji do zbitia fortuny, ale nie było ich wielu.

– Ciekawe, komu opowie następny odcinek – zastanawiała się Elsa.

Okazało się, że Davidowi. Jeszcze tego samego dnia.

Thomas i Elsa postanowili przejść się wybrzeżem. Fiona udała się na posterunek, żeby zapytać Jorgisa o wieści z Aten. David usiadł z rozmówkami greckimi na portowym murze. Niebawem przyłączyła się do niego Vonni. Pomogła mu ćwiczyć wymowę.

– Niedługo będziesz gadał jak tubylec.

– Wątpię. Ale podoba mi się tutaj, ludzie wyznają odpowiednie wartości, nie są zwariowani na punkcie kasy.

– Poskrob trochę, a znajdzie się całkiem sporo takich, którzy są. David opowiedział jej o zaproszeniu na uroczystość wręczenia ojcu nagrody – jak go to wszystko śmieszy. Wyjął kartonik z małej teczki na nuty, którą zawsze przy sobie nosił. Vonni przeczytała uważnie, a wtedy wręczył jej także list matki. Ku jego zdumieniu, w oczach starszej kobiety błysnęły łzy.

– Pojedziesz, oczywiście? – zapytała.

– Nie mogę. Za sześć miesięcy będzie coś nowego. Nigdy nie ucieknę, zostanę w to wciągnięty, nie, Vonni, kto jak kto, ty jednak powinnaś wiedzieć, jakie to ważne wydostać się z tego bagna. Ty przecież nie wróciłaś do Irlandii, prawda?

– Nie, ale chciałam, tysiąc razy chciałam pojechać i znów

ich zobaczyć. Na przykład na ślub mojej siostry, na uroczystość pożegnania ojca przed odejściem na emeryturę, kiedy mama była w szpitalu i przy wielu innych okazjach. Tylko że nikt mnie nie chciał tam widzieć, więc nie pojechałam.

– Skąd wiesz, że cię nie chcieli widzieć? Kontaktowałeś się z jakimiś znajomymi?

– Nie, moje przyjaciółki były na mnie wściekłe. Zrobiłam wszystko to, do czego ich ciągnęło: uprawiałam seks z dorosłym mężczyzną, rzuciłam szkołę, zrealizowałam czek bez pokrycia w czasie strajku, uciekłam na grecką wyspę... Nie, one się do mnie nie odezwały, ale – co dziwne – zrobił to Jimmy Keane. Przypuszczam, że miał wyrzuty sumienia; gdyby nie wylał Stavrosa, nic by się nie wydarzyło. Tak więc on jeden odpowiedział na mój list. Napisałam mu, że zwalniam mojego ukochanego, wyświadczył mi wielką przysługę, i pewnie poczuł się trochę lepiej. W każdym razie donosił mi o wszystkim, co się działo w Ardeevin. No, może nie o wszystkim, ale zawsze...

– I potem także pisywał?

– Tak, tylko widzisz, ja wpadłam w obłąd i to jakby wszystko zmieniło. – Mówiła tak lekko, jakby informowała, że wpadła w kałużę, a nie w obłąd.

– Ale chyba nie naprawdę? – zaniepokoił się David.

– Och, raczej tak. Rozumiesz, to przez Magdę. Ona miała okropnego męża, wściekał się o byle głupstwo i wciąż sobie wyobrażał, że Magda flirtuje z innymi mężczyznami. A prawda

była taka, że ta kobieta utrzymywała dom w porządku, gotowała mężowi posiłki I nie podnosiła głowy znad robótki, wiecznie pochylona nad haftem. Przynajmniej my uważaliśmy to za prawdę. Może rzeczywiście nie podnosiła głowy, póki Stavros nie zaczął się do niej przymilać, kto ją tam wie?

– Lubiałaś ją z początku?

– O tak, była śliczną, łagodną kobietą o pięknym uśmiechu, miała ciężkie życie – bez dzieci, z nieodpowiedzialnym mężem. Czasem widzieliśmy u niej siniaki czy skaleczenia, ale zawsze nam tłumaczyła, że jest niezdarą albo że upadła, bo była zmęczona. Stavros grywał z jej mężem w *tavli* po kafejkach, tak samo jak inni. Nie chciał wiedzieć, co się działo w tamtym domu. „To ich życie, Vonni, ich małżeństwo, nie powinniśmy się wtrącać... „ A ja prawdopodobnie byłam tak zajęta pracą na stacji i przy małym Stavrosie, że... nie podejmowałam żadnych działań. Aż pewnego dnia przyszłam zabrać obrus i widzę, że ona siedzi, a krew jej kapie na biały materiał. Pobiełam po doktora Lerosa, ojca tego obecnego. Opatrzył ją i oświadczył, że tak dalej być nie może i trzeba nam silnego mężczyzny, takiego jak Stavros, żeby coś zrobił. No więc powtórzyłam to Stavrosowi, a on po raz pierwszy mnie wysłuchał i sprowadził dwóch przyjaciół. Nie wiem, co się potem wydarzyło, ale domyślałam się, że przytrzymali męża Magdy na podłodze i powiedzieli mu, co się stanie, jeśli jego żonie przydarzy się kolejny wypadek.

– I tamten potraktował to serio?

– Jak najbardziej. Magda nagle przestała być „niezdarą”, chodziła z podniesioną wysoko głową i po raz pierwszy patrzyła ludziom w oczy. Wtedy wszyscy się zorientowali, jaka jest śliczna, bo do tej pory widzieliśmy tylko, że ma piękne włosy – tłumaczyła Vonni cichym, pełnym smutku głosem.

– Czy podejrzewałaś, że Stavros... no, że jest nią zainteresowany?

– Ani trochę. Dowiedziałam się o tym jako ostatnia osoba w Agia Anna. Owszem, słyszałam, że żony często żyją w nieświadomości, ale nie wierzyłam: musiałyby być wyjątkowo tępe. W końcu jednak i mnie coś zaświtało.

– Jak?

– No, nie najlepiej to wyszło. Mały Stavros był na stacji benzynowej; miał wtedy ponad cztery lata. Nagle zapytał, czemu Magda jest ciągle taka zmęczona. Odpowiedziałam, że to nieprawda, a on na to: „To dlaczego, jak do nas przychodzi, to zawsze się kładzie do łóżka i papa musi przy niej siedzieć?”. Pamiętam tę chwilę, jakby to było dziś; nogi się pode mną ugięły i poczułam, że zaraz zemdleję. Magda i Stavros? W naszym domu? W moim łóżku? To jakieś nieporozumienie, to musi być pomyłka.

– I co zrobiłaś?

– Na drugi dzień wyłączyłam wcześniej pompy i poszłam do domu. Mały Stavros bawił się w ogrodzie, nasz dom stał zaraz za domem Marii. Wzięłam synka za rękę, zaprowadziłam go

do sąsiadów naprzeciwko, a sama wróciłam. Otworzyłam po cichu drzwi; w środku było bardzo cicho i nagle usłyszałam ich śmiech. Nazywał ją „futrzanym króliczkiem”, tak samo jak mnie w intymnych chwilach. Stanęłam w progu i patrzyłam. Była naprawdę piękna – z długimi, ciemnymi lokami i oliwkową skórą. Potem zobaczyłam w lustrze swoje odbicie. Niedobrze. Nie tak powinnam postąpić.

Umilkła. Przez pewien czas siedzieli w ciszy, wreszcie Vonni zdecydowała się mówić dalej.

– Pomyślałam sobie tak: Właściwie po co wróciłam, po co ich szpieguję? Teraz wszystko wyszło na jaw. Gdyby mnie nie podkuśiło, moglibyśmy ciągnąć tak dalej, udając, że wszystko w porządku. Wszyscy. Ale kiedy się jej przyjrzałam, jak uświadomiłam sobie, jaka jest piękna, wiedziałam, że przegrałam. Oczywiście Stavros ją wybierze, nie mnie. Więc nic nie mówiłam, tylko patrzyłam, to na jedno, to na drugie. Wydawało mi się, że trwało to bardzo długo, aż w końcu odezwał się mój mąż: „Proszę cię, Vonni, tylko bez scen, bo przestraszysz dziecko”. O tym pomyślał najpierw, żeby nie przestraszyć małego! A ja to pies? Kurczę, opuściłam dla niego rodzinę i własny kraj, a on ma to w nosie! Co go obchodzi Vonni, która ukradła dla niego pieniądze, kupiła stację benzynową i tyrała w niej dzień w dzień od świtu do zmroku, żeby zapewnić mu dostatek... Nagle wszystko wydało mi się przekrzywione, jak obraz źle zawieszony na ścianie. Już nic nie było w porządku. David słuchał,

zmrożony jej emocjami.

– Wyszłam stamtąd. Wyszłam z naszej sypialni, z naszego domu, minęłam synka, który bawił się z dziećmi, i pomaszerowałam prosto na koniec miasta do małego baru. Zwykle prześiadawali tam starsi mężczyźni. Zamówiłam *raki*, wiesz, to taki prymitywny samogon, coś jak nasz *poitin*. Piłam, póki nie opuścił mnie widok jej pięknie zaokrąglonego ramienia przytulonego do jego piersi. Piłam, póki nie upadłam na podłogę.

Zanieśli mnie do domu... nic z tego nie pamiętam. Rano obudziłam się w naszym łóżku. Po Stavrosie nie było ani śladu. Przypomniałam ją sobie w tym samym łóżku i dostałam gwałtownych torsji. Małego także nigdzie nie było widać. Musiałam iść do pracy, ale odór benzyny i wyziewy spalin wywołały kolejny atak wymiotów. Poszłam więc do tamtego baru, przeprosiłam za swoje zachowanie i zapytałam, ile jestem winna. Wszyscy zgodnie kręcili głowami; nie zamierzali brać ode mnie pieniędzy za to, że doprowadziłam się do stanu nieważkości ich – prawdopodobnie domowej roboty – bimbrem. Nerwowo dopytywałam się, jak wczoraj przyjęto mnie w domu.

Okazało się, że Magda już wcześniej zaprowadziła moje dziecko do jego dziadka fryzjera. Stavros zaś tylko wskazał im sypialnię i wyszedł. Nie mogli mi w niczym pomóc. Tym razem zamówiłam dobrą brandy – *metaxę*, żeby przezwyciężyć szok, a potem dowłóklam się jakoś do stacji, ale nie byłam w stanie wydobyć głosu, więc poszłam do domu. Ha! Domu... Nikogo

tam nie zastałam. Po czterech dniach i czterech nocach picia dotarło do mnie, że zabrali mi dziecko. Jak przez sen słyszałam, że mąż Magdy popłynął kutrem na inną wyspę. Następne, co sobie przypominam, to przebudzenie w szpitalu, tym przy drodze do Kalatriady. Odwiedziła mnie tam Christina, pierwsza miłość Stavrosa. „Udawaj, że jesteś spokojna, że czujesz się lepiej, to cię wypuszczą”, przekonywała. No i udawałam.

– Poskutkowało?

– Tylko trochę. Stavros nie chciał ze mną rozmawiać, nie chciał powiedzieć, co zrobił z dzieckiem, a ja wiedziałam, że nie wolno mi podnieść głosu, bo znów mnie zamkną na oddziale bez klamek.

– A Stavros?

– Przeprowadził się na drugą stronę ulicy i żył z Magdą. Wiedziałałam, że mnie obserwują, więc nie mogłam już pić w tamtym barze. Kupowałam butelkę tu, butelkę tam i piłam, póki nie urwał mi się film. Nigdy już nie położyłam się w tym łóżku z wyjątkiem nocy, kiedy przynieśli mnie nieprzytomną; sypiałam tylko na sofie. Nie wiem, jak długo to trwało.

Potem przyszła Christina i pomogła mi pozbierać się do kupy. Znacznie czystsza, porządnie ubrana i względnie trzeźwa, udałam się na spotkanie z mężem. W grzecznych słowach powiedział mi, że mam spadać, zostawić go w spokoju. Mogę nadal mieszkać w domu, ale w dystrybutorach na stacji i wszędzie pozmieniał zamki, usunął też moje nazwisko z ra-



chunków i książeczek czekowych. Poinformował mnie, że nasz syn mieszka w Atenach u jego ciotki i że już nigdy go nie zobaczę. Wyjaśnił, jak komuś kto ma problemy z głową, że zamierza sprzedać stację, swoją stację, a potem zamieszkać z Magdą w jakimś innym miejscu, sprowadzić tam małego Stavrosa i w ogóle zorganizować sobie nowe życie.

I nagle zrozumiałam, że tak naprawdę będzie. Zostanę tu sama, bez syna, bez miłości, bez mojej pracy, bez możliwości powrotu do kraju, z dwoma tysiącami długu. Udało mi się dotąd dokonać pięciu wpłat po sto funtów rocznie, a i to z wielkim trudem, pracując po dziewięć godzin dziennie. Skąd teraz wezmę pieniądze?

– Ale przecież Stavros wiedział o tym długu, więc chyba musiał zaproponować ci pomoc? – spytał wstrząśnięty David.

– Nie, on o niczym nie wiedział, nie powiedziałam mu. Myślał, że to moje pieniądze, odziedziczone czy zaoszczędzone.

I po tych słowach Vonni odeszła, zostawiając Davida z rozmówkami greckimi, których nawet nie otworzył, bo nie mógł przestać myśleć o tym, co przed chwilą usłyszał.

– Wiecie, czego nie rozumiem? – spytała Fiona tego samego dnia, kiedy wspólnie składali fragmenty historii Vonni w całość.

– Pewnie dlatego nie poszła do adwokata? – domyślił się Thomas.

– Nie mogła tego zrobić – powiedziała Elsa. – Miała na su-

mieniu kradzież pieniędzy, poza tym Stavros oddał jej dom, a ona nie znała tutejszych zwyczajów...

– Zaraz, zaraz. A dlaczego Andreas mówił, że mały Stavros przychodził do tawerny bawić się z Adonim i łąził z nim po drzewach? Przecież nie mógł tego robić w wieku czterech lat!

– Może Stavros i Magda nie wynieśli się stąd od razu – zasugerował David. – Vonni musiało być jeszcze ciężiej, jeśli jej dziecko mieszkało naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy.

– Cóż, opowie nam o tym kiedy indziej. Sama obiecała – przypomniał Thomas.

– Ale nie będę jej więcej naciskał.

– Z tobą, David, dobrze się gada – zauważyła Elsa ze swym cudownym uśmiechem. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby znów padło na ciebie.

Vonni wróciła do Davida szybciej, niż się spodziewał.

– Wyświadczysz mi pewną przysługę?

– Z przyjemnością.

– Mam dostarczyć trochę gliny garncarskiej i form do szpitala. Potrzebują tego na zajęcia rehabilitacyjne. Może ze mną pojedziesz? Wiesz, po prostu nie znoszę jeździć tam sama. Wciąż mi się wydaje, że zaraz zamkną za mną drzwi na klucz, jak przedtem.

– Chyba nie przebywałaś tam długo? Czy Christina nie pomogła ci się wydostać, podsuwając ten pomysł z udawaniem?

– Ach, tak, ale to był dopiero pierwszy raz. Potem jeszcze wróciłam, w sumie spędziłam tam trzy lata. – Vonni mówiła o tym lekko jak o czymś normalnym. – To co, idziemy po vana Marii i ruszamy?

– Tak, tak.

– Czyżbyś małpował mój akcent, młody człowieku?

– Gdzieżbym śmiał!

– W ogrodzie jest bardzo ładny zakątek, pokażę ci – zaproponowała w szpitalu, kiedy już odnieśli przywiezione rzeczy. Usiedli razem w miejscu, skąd mieli widok na okoliczne wzgórza, i wtedy Vonni podjęła swą opowieść, jakby nigdy jej nie przerywała.

Tym razem wypełniła kilka bolesnych luk.

– W momencie, gdy dotarło do mnie, że wszystko stracone, nie widziałam już sensu w udawaniu. Wyprzedalam rzeczy z domu – jego domu, jak zawsze uważałam – i przepuściłam wszystko na alkohol. Tak więc wciąż tu wracałam i wychodziłam – jak w efekcie jo-jo.

Stavros przekonał wszystkich, że nie nadaję się na matkę. Nie mieliśmy tu sądów ani kodeksów, ani pracowników socjalnych... a jeśli nawet istniał ktoś taki, to nie byłam dostatecznie trzeźwa i zdrowa na umyśle, by zrozumieć, co się do mnie mówi. Synka widywałam raz w tygodniu, w sobotę, przez trzy godziny i zawsze w towarzystwie kogoś innego, nie Stavrosa czy Magdy, tylko na przykład teścia, szwagierki, czasem Andreeasa,

bo jemu ufali.

– Każdy by zufał Andreasowi. Ty także?

– Oczywiście. Ale te odwiedziny były nieudane. Ja płakałam... płakałam nad wszystkim, co utraciłam i czego już nigdy nie odzyskam, tuliłam do siebie małego, szeptałam, jak bardzo go kocham, jak bardzo jest mi potrzebny... No i dzieciak się mnie bał.

– No nie – mruknął David.

– Naprawdę, nie cierpiał tych wizyt. Andreas potem woził go do siebie na górę, żeby pohnął się na drzewie i trochę rozweselił po spotkaniu ze mną, ja znów zalewałam robaka i tak się to ciągnęło latami. Rozumiesz, latami! Chłopak miał dwanaście lat, kiedy go stąd wywieźli.

– Oni?

– Stavros i Magda. Ja byłam wtedy tutaj. I wówczas stało się nagle coś dziwnego. Kiedy już wyjechali na dobre, doszłam do wniosku, że wciąż mam przed sobą życie. Tego roku pewien pacjent szpitala popełnił samobójstwo i wszyscy doznaliśmy szoku. Szczególnie alkoholicy, bo on też nie mógł przestać pić.

No i wytrzeźwiałam. Brzmi to całkiem prosto, prawda? Oczywiście wcale nie było tak prosto, a jednak mi się udało... tylko że za późno.

Mój syn wyjechał i nawet nie miałam po co wypytywać, dokąd. Jego dziadek, stary fryzjer, zachowywał się dość uprzejmie, ale nie chciał mi powiedzieć. Pisałam do niego – znaczy,

do małego Stavrosa – listy na każde urodziny, oddawałam je najpierw jego dziadkowi, a później ciotkom. Nawet w tym roku, kiedy skończył trzydzieści cztery lata...

– I nigdy ci nie odpisał?

– Nigdy.

– A Andreas nie wiedział? To taki dobry człowiek, na pewno by ci powiedział, czy sam dał znać twojemu synowi, jak bardzo się zmieniłaś.

– Nie, Andreas nic nie wie.

– Szkoda, on by cię zrozumiał, w końcu jego syn też nie chce wrócić z Chicago...

– Posłuchaj mnie, Davidzie. – Tak?

– Każdy problem ma dwie strony. Kiedy mój Stavros dorastał, zachowywałam się jak świnia, więc niby skąd ma wiedzieć, że teraz jestem dobra i mam serce na dłoni? Gdyby kiedykolwiek się odezwał, zrobiłby to wyłącznie z litości.

– Ktoś mógłby go o tym poinformować. Vonni machnęła ręką.

– Kiedy Adoni dorastał, Andreas uważał, że nikt tak jak on nie zna się na prowadzeniu tawerny. Teraz jest stary, samotny i marzy, aby syn wrócił do domu. Tylko skąd syn ma o tym wiedzieć?

– Tak jak mówiłem, ktoś mógłby go zawiadomić. Może ty?

– Nie bądź śmieszny, Davidzie. Czemu Adoni miałby wierzyć obłąkanej pijaczce, niemal tak starej jak jego ojciec? Sam

powinien dojść do wniosku, że warto spróbować.

– Ależ to głupki, ci młodzi, co? Adoni siedzi w Chicago, Stavros Bóg wie gdzie... Dlaczego żaden nie puknie się w czoło i nie wróci, jeden do ojca, drugi do matki? Mnie to się nie mieści w głowie.

– Pewnie wielu ludzi w Anglii to samo mówi o tobie – uważała Vonni.

– To całkiem inna sprawa.

– Nadal masz tamten list?

– Tak, jednak to nie ma nic do rzeczy.

– David, ty głupku! Ogromnie cię lubię, ale straszny z ciebie głuptas. W tym liście matka błaga cię o powrót!

– Gdzie o tym pisze?

– W każdej linijce. Twój ojciec jest chory. Może nawet umierający...

– Vonni!

– Naprawdę, Davidzie. – I zapatrzyła się w morze, jak robiła to tyle razy w czasach, kiedy miała wyłączony umysł.

## Rozdział 13

Elsa nic nie odpisała Dieterowi. Wciąż potrzebowała czasu na przemyślenie tego wszystkiego.

Nie miała wątpliwości, że pisał szczerze. Skoro oznajmił, że chce ją poślubić, to widocznie był gotów do takiego kroku. Niełatwo mu to przyjdzie po latach samotnego życia. Na pewno zbierze cięgi od przyjaciół. I nie przyzna się za nic, że ma wyrzuty sumienia z powodu porzucenia własnego dziecka, a będzie do tego zmuszony, jeśli zechce nawiązać kontakt z małą Gerdą. Ale i na to się zgodzi, byle tylko odzyskać Elbę – przynajmniej tak napisał.

Dotychczas szczerze wierzył, że nic nie stoi na przeszkodzie ich wspólnemu życiu i że nie ma w tej sytuacji niczego, co by wymagało zmiany. Teraz wszystko zależy od Elsy: powinna zdecydować, kiedy wróci do Niemiec, a on będzie na nią czekał.

Więc co ją powstrzymuje?

Wybrała się na spacer po krętych drogach z dala od miasteczka. Nigdy dotąd tędy nie chodziła, a ponieważ wkrótce miała wyjechać, chciała dobrze wryć sobie w pamięć całą okolicę.

Nie zobaczyła żadnych restauracji, tradycyjnych tawern ani sklepików z rękodziełem. Małe, biedne domki, obok ze dwie kozy, dzieci bawiące się wśród kur i kurczaków.

Elsa przystanąła i przyjrzała się im uważnie.

Czy on i Dieter mogliby mieć dzieci? Parkę małych blondasków, jakże odmiennych od ciemnookich greckich dzieci, ale o takim samym uśmiechu.

Czy to zmniejszyłoby nieco jej żal? Czy jej dzieci miałyby rosnąć w świadomości, że mają przyrodną siostrę Gerdę, która z nimi nie mieszka?

Uśmiechała się do siebie z tych podsuwanych przez wyobraźnię wizji, kiedy nagle z jednego z domków wyszła Vonni.

– Mój Boże, Vonni, ty jesteś dosłownie wszędzie! – wykrzyknęła Elsa ze zdumieniem.

– To samo mogłabym powiedzieć o tobie – odparowała tamta.

– Gdziekolwiek się ruszę, zaraz wpadam na ciebie!

– Dokąd prowadzi ta droga? Po prostu zwiedzam sobie okolicę.

– W zasadzie donikąd... ot, jedna z wielu, ale mam coś do oddania kawałek dalej, może ze mną pójdziesz? Przyda mi się towarzystwo.

Wyglądała na dziwnie przygnębioną.

– Coś złego się stało? – zainteresowała się Elsa.

– W tym domku, z którego wyszłam przed chwilą, mieszka dziewczyna w ciąży. Ojcem dziecka jest jeden z tych, co zginęli na statku Manosa. Ona nie chce tego dziecka... No i zrobiła się afera. Doktor Leros nie chce słyszeć o zabiegu, więc dziewczy-



na zamierza skorzystać z usług jednej takiej, która „wybawia z kłopotów” w miasteczku odległym o pięćdziesiąt kilometrów. Może od tego umrzeć, a już z pewnością dostać zakażenia. Czemu nie może urodzić i pokochać tego dziecka – to niejasna sprawa. Siedziałam u niej godzinę, przekonywałam, że wszyscy jej pomożemy opiekować się maleństwem, ale czy taka posłucha? W życiu.

– To dla ciebie coś niezwykłego, prawda? – zażartowała Elsa.

– Czy ciebie ktoś może nie posłuchać?

– Czemu tak mówisz?

– No bo my wszyscy słuchamy cię bardzo uważnie i bierzemy sobie do serca każde twoje słowo, naprawdę! Godzinami dyskutowaliśmy z Davidem o twojej teorii na temat choroby jego ojca.

– To nie żadna teoria, on naprawdę jest chory. I co David postanowił? Nie był zadowolony z tego, co powiedziałam, oj, nie!

– Cóż, on uważa, że to pułapka, sposób na ściągnięcie go do domu. Wie, że trudno mu będzie się wyrwać z powrotem, ale zasiałaś w nim niepokój.

– Wcale tego nie chciałam.

– Owszem, w pewnym sensie chciałaś nim potrząsnąć, zmusić do zastanowienia. I udało ci się, zamierza dziś zadzwonić do rodziców.

– No i dobrze. – Vonni skinęła z uznaniem głową. Zatrzymała się przy obskurnym domku. – Muszę tu wejść, chodź ze mną. Mam dla Nikolasa czarodziejskie lekarstwo. – Z wełnianej torby wyjęła gliniany garnuszek.

– Zajmujesz się także magią?

– Nie, to tylko maść z antybiotykiem. Nikolas nie wierzy w lekarzy ani w nowoczesną medycynę, więc razem z doktorem Lerosem uknuliśmy spisek.

Elsa patrzyła, jak Vonni krząta się po chałupce, porządkując izdebkę i gawędząc swobodnie po grecku z właścicielem, a potem starannie smaruje mu chorą nogę.

Kiedy wychodziły, staruszek uśmiechnął się do nich z wdzięcznością.

Szły dalej wijącą się drogą. Vonni pokazywała Elsie różne ciekawe punkty i wymieniała nazwy, tłumacząc ich znaczenie na angielski.

– Lubisz tę okolicę, co? – spytała Elsa.

– Miałam szczęście, że tu trafiłam. Może znalazłabym jakąś inną miejscowość, ale w Agia Anna jest mi dobrze. Nigdy nie chciałabym mieszkać gdzie indziej.

– Przykro mi będzie stąd wyjeżdżać... naprawdę przykro.

– A wyjeżdżasz? Wracasz do Niemiec? – Vonni wyraźnie nie podobał się ten pomysł.

– Tak, oczywiście. Muszę ruszyć dalej.

– Nie tyle dalej, co z powrotem. Do tego wszystkiego, od

czego uciekłaś.

– Ty nie wiesz... – zaczęła Elsa, ale Vonni jej przerwała.

– Wiem to, co sama mi mówiłaś: że postanowiłaś się wyrwać z niekorzystnej sytuacji, a potem on tu przyjechał i przekonał cię do zmiany decyzji.

– Nie, to wcale nie on. Sama zmieniłam zdanie – odrzekła z urazą Elza.

– Czyżby?

– Posłuchaj, Vonni, kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, co to znaczy kogoś kochać i pojechać za nim na koniec świata. Przecież, do licha, sama tak zrobiłaś, więc czemu nie możesz zrozumieć?

– Byłam wtedy dzieckiem, uczennicą, a ty jesteś dorosłą, wykształconą kobietą, zrobiłaś karierę, masz zapewnioną przyszłość. Nie możesz się ze mną porównywać.

– Mogę, bo to jest dokładnie to samo: pokochałaś Stavrosa i rzuciłaś wszystko, żeby być z nim. Zupełnie jak ja dla Dietera.

Vonni zatrzymała się w pół kroku i obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem.

– Jak możesz tak myśleć?! Tu nie ma ani cienia podobieństwa. Co ty poświęciłaś? Nic. Wracasz na tę samą posesję, do mężczyzny, któremu nadal nie ufasz. Wszystko, od czego uciekłaś, otrzymasz z powrotem i uważasz to za zwycięstwo?

Elsa była wściekła.

– To nieprawda! – wykrzyknęła z błyskiem w oku. – Dieter

chce się ze mną ożenić! Nie będziemy się więcej ukrywać, zaczniemy żyć jak mąż i żona, a po pewnym czasie zostaniemy prawdziwym małżeństwem.

– Czyli jedynym powodem, dla którego uciekłaś, była chęć wymuszenia oświadczyn? A mnie się zdawało, że miałaś poczucie zawodu, bo Dieter porzucił swoją córkę i uznał to za rzecz bez znaczenia. Czy już cię to nie mierzi?

– Mamy tylko jedno życie, Vonni. Musimy wyciągnąć ręce i łapać, co się da.

– I nieważne, komu to odbierzemy?

– Ty wzięłaś wszystko, co chciałaś, prawda?

– Stavros niczego nikomu nie obiecywał. Był wolny.

– A Christina?

– Nie wiedziałam o niej, póki tu nie przyjechałam. On ją zostawił, a dziecko umarło, to całkiem co innego.

– A pieniądze? Przecież je ukradłaś. Nie możesz uważać się za bielszą od bieli!

– To tylko pieniądze, a zresztą je zwróciłam. Co do pensa!

– To bajki, Vonni, przecież nic nie zarabiałaś. Wciąż trafiałaś z powrotem do szpitala, skąd miałaśbyś wziąć tyle pieniędzy?

– Powiem ci, skąd. Z szorowania podłóg na posterunku, krojenia warzyw w tawernie Andreasa, sprzątanania w delikatesach, z uczenia w szkole angielskiego... oczywiście gdy tylko wytrzeźwiałam na tyle, by zdecydowano się powierzyć mi dzieci.

- Robiłaś to wszystko? Myłaś podłogi... ?
- Nie mam twoich kwalifikacji, Elso. Ani twojej pewności siebie, ani urody. W jaki inny sposób mogłabym zarabiać?
- Przebolałaś w końcu Stavrosa, co? Przebolałaś?
- Czemu o to pytasz?
- Nie wiem. Muszę wiedzieć, na wypadek gdybym podjęła inną decyzję.
- O nie, Elso, ty już podjęłaś decyzję: wracasz, wyciągasz rękę i chwytasz, co się da.
- Czemu jesteś taka okrutna, czemu wszystko psujesz? – krzyknęła Elsa.
- Ja okrutna? Ja coś psuję? Ja? Spójrz tylko na siebie, posłuchaj; co mówisz. Już kiedyś ci wytknęłam, że przywykłaś, by wszystko było po twojemu. I naprawdę tak myślę. To jest ten beztroski egoizm pięknych kobiet. Magda go miała, ty także. To bardzo groźna cecha, bo daje ci zbyt dużą władzę... ale tylko do czasu. Do czasu.
- Czy Magda straciła urodę? To właśnie masz na myśli?
- Skąd mam wiedzieć?
- Masz swoje sposoby. Na pewno ktoś ci powiedział.
- Cóż, może cię to ubawi, ale masz rację. Ktoś mi powiedział... właściwie nie jedna osoba. Magda straciła urodę, co więcej, straciła w pewnym stopniu Stavrosa. Najwyraźniej pojawiła się w ich firmie młodsza kobieta i Stavros spędza z nią sporo czasu. – Vonni uśmiechnęła się do własnych myśli.

– Co za ludzie karmią cię takimi historiami? Jacy mściciele roznoszą te plotki?

– Co za ludzie, pytasz? Pewnie tacy, którzy uważają, że należy mi się jakiś rewanż za utratę wszystkiego i późniejsze mozolne wysiłki, aby odzyskać ludzki szacunek.

– Tobie nie zależy na szacunku – burknęła Elsa.

– Zależy. Wszyscy potrzebujemy uznania, aby móc wytrzymać z sobą samym i dopatrzeć się jakiegoś sensu w tym wszystkim.

– Ty jesteś wolny duch, nie dbasz o ludzką opinię – upierała się Elsa.

– Ale nie jest mi obojętne, co sama myślę o sobie... Nawiasem mówiąc: owszem, przebolełam Stavrosa, chociaż zdarza mi się jeszcze o nim myśleć. Wiem, że ma teraz siwe włosy i chciałabym go kiedyś spotkać na ulicy, pod warunkiem że moglibyśmy pogadać jak normalni ludzie. Ale to wykluczone.

– No dobrze, porozmawiajmy o mojej sytuacji – powiedziała Elsa rzeczowym tonem. – Czemu nie miałabym wrócić do Dietera? Proszę cię, wytłumacz mi to na zimno, nie chcę się z tobą kłócić.

– To bez znaczenia, Elso. – Vonni westchnęła. – Ty i tak nie weźmiesz pod uwagę moich słów. Zrobisz, co zechcesz. Dajmy temu spokój, zapomnij, co ci mówiłam.

Szły dalej w niezręcznej ciszy, aż do samego miasta.

- Shirley?
  - Tak, Thomas?
  - Jest tam Andy w pobliżu?
  - Chyba nie chcesz rozmawiać z Andym?
  - Nie, ale chciałbym pogadać z moim synem i nie życzę sobie, aby w tym czasie Andy Sportowiec podrzucał obok piłkę, próbując go wyciągnąć na kolejny trening czy coś w tym stylu.
  - Szukasz powodu do kłótni?
  - Nie, oczywiście że nie, tylko mówię jasno, że chcę rozmawiać z synem. Okej?
  - Dobra, zaczekaj. Już ci go daję.
  - I żeby Muskularny Andy nie sapał mu w kark.
  - Jesteś, jak zwykle, bardzo niesprawiedliwy. Andy zawsze ulatnia się, jak dzwoniisz, a potem pyta Billa, czy dobrze mu się gadało z tatą. To ty wszystko utrudniasz.
  - Dawaj go, Shirley, dzwonię z daleka.
  - A czyja to wina?
- Niemal widział, jak była żona wzrusza ramionami.
- Cześć, tato!
  - Bill, opowiedz, jak spędziłeś dzień. – Thomas słuchał jednym uchem relacji z lekkoatletycznych rozgrywek dla rodzin na uniwersytecie. Bill z Andym wygrali „trójnożny” wyścig .
  - Wyścig ojców i synów, tak to nazywają, prawda?
  - Nie tato, już się nie używa tej nazwy, bo zbyt wiele rodzin się... zreformowało.

– Jak to: zreformowało?  
– Nasz nauczyciel tak to nazywa. Rozumiesz, ludzie się rozwodzą... i w ogóle.

Całkiem niezłe słowo, ale lepiej w to teraz nie wnikać.

– Jasne, więc jak teraz nazywają ów wyścig?  
– Wyścig seniorów i juniorów.  
– Świetnie.  
– Coś cię gryzie, tato?  
– Stoi tam ktoś przy tobie, czy jesteś sam?  
– Sam, Andy zawsze wychodzi na podwórko, kiedy dzwonisz, a mama jest w kuchni. Czemu pytasz?

– Chciałem powiedzieć, że cię kocham.

– Tato!

– Już dobrze, powiedziałem i w tej rozmowie nie będę powtarzał. Kupiłem ci dziś fantastyczną książkę... bo wiesz, tu jest księgarnia, w takim małym miasteczku! To są mity greckie, napisane współczesnym językiem. Czytałem to dziś przez całe popołudnie. Znasz jakieś greckie historie?

– Czy ta o dzieciakach, które popłynęły szukać złotego runa, jest grecka?

\* Wyścig par, w którym lewa noga jednego zawodnika jest związana z prawą drugiego.

– Jasne, może mi powiesz o niej parę słów? – zaproponował Thomas z zadowoleniem.



- No więc... ten brat i siostra jechali na grzbiecie owcy...
- Czytaliście to w szkole?
- Tak, tato, mamy nową panią od histry i ona wciąż każe nam coś czytać.
- To wspaniale.
- Wspaniale to dopiero będzie. W przyszłym roku będę miał brata albo siostrę.

Thomasowi serce zmieniło się w kawał ołowiu. Shirley jest w ciąży! I oczywiście nie raczyła go zawiadomić, może zabrakło jej odwagi? Teraz razem z Andym stworzą prawdziwą rodzinę, a jemu nie pisnęła ani słowa! Thomas nigdy w życiu nie czuł się taki osamotniony. Ale musi trzymać wszystkie drzwi otwarte i nie tracić kontaktu ze względu na Billa.

– To naprawdę fantastyczna nowina – wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

– Andy teraz maluje dziecinny pokój. Opowiedziałem mu, jak ty szykowałeś pokój dla mnie i wstawiłeś tam półki na książki, jeszcze zanim się urodziłem.

Thomas poczuł łzy pod powiekami. Cały nastrój szlag trafił.

– Cóż, Andy pewnie ustawia półki na sportowe buty, sprzęt i trofea dla biednego malucha, a książki pójdą się trzaskać...

Bill wciągnął głośno powietrze.

– To nie fair, tato.

– Życie jest nie fair, synu – podsumował Thomas i odłożył słuchawkę.

– Opowiadaj – zażądała Vonni, kiedy dwie godziny później zobaczyła jego twarz.

Thomas tkwił nieruchomo na krześle. Nie ruszył się stamtąd przez cały dzień.

– No, Thomas, znów wszystko popaprałeś z dzieciakiem, tak?

– Zszedłem mu z oczu, zapewniłem dystans, zrobiłem wszystko, co powinienem. Jak postąpiłabyś na moim miejscu?

– Wróciłabym, aby odzyskać swoje terytorium, po prostu byłabym obecna.

– Shirley jest w ciąży – oznajmił Thomas beznamiętnie.

– Więc teraz twój syn tym bardziej cię potrzebuje. Ale nie, ty musisz się obnosić ze swoją szlachetnością, trzymać się z daleka i łamać mu serce, zapewniając dystans, którego dzieciak wcale nie chce.

– Vonni, kto jak kto, ale ty wiesz chyba, jak trudno jest uniknąć błędów wobec własnego dziecka. Ty przez całe życie żałujesz swoich, więc powinnaś zrozumieć.

– Czy wiesz, że nie znoszę wyrażenia „kto jak kto, ale ty powinnaś to czy tamto”? Dlaczego właśnie ja?

– Bo miałaś dziecko, które ci odebrano, więc powinnaś wiedzieć, jak to boli. Inni mogą tylko się domyślać.

– Wiesz co, Thomas, denerwują mnie tacy jak ty. Bardzo mnie denerwują. Owszem, pochodzę z innego pokolenia, mój syn jest w twoim wieku, ale nigdy nie pozwalałam sobie na ta-

kie uzalanie się nad sobą. Zwłaszcza jeśli rozwiązanie jest w zasięgu ręki. Kochasz to dziecko, a sam wykopałeś tę przepaść między wami.

– Nic nie rozumiesz. Jestem na urlopie naukowym.

– Przecież FBI nie będzie cię ścigać, jeśli wrócisz wcześniej, żeby się spotkać z synem.

– Żebyż to było takie proste! – westchnął. Vonni ruszyła w stronę drzwi.

– Twoja sypialnia jest tam. – Thomas wskazał jej pokój gościnny.

– Dziś będę spała z kurami. Dziwnie kojąco na mnie działają; gdaczą i nie komplikują sobie niepotrzebnie życia.

I wyszła.

Fiona rozmawiała z panem Leftidesem, menedżerem hotelu Anna Beach na temat pracy.

– Mogłabym opiekować się dziećmi pańskich gości. Jestem wykwalifikowaną pielęgniarką, ze mną na pewno będą bezpieczne.

– Nie mówi pani po grecku.

– Nie, ale większość pańskich gości jest anglojęzyczna. Mam na myśli Szwedów i Niemców, oni wszyscy mówią po angielsku.

Zauważyła, że po drugiej stronie holu w butiku Vonni układa swoje towary na półkach.

– Vonni panu powie, że można na mnie polegać. Vonni! – krzyknęła. – Możesz zapewnić pana Leftidesa, że nadaję się do pracy?

– W jakim charakterze? – spytała tamta krótko.

– Muszę znaleźć sobie jakieś lokum, kiedy Elsa wyjedzie. Właśnie namawiam pana Leftidesa, żeby zatrudnił mnie w zamian za mieszkanie z utrzymaniem plus jakieś nieduże kieszonkowe... – Fiona patrzyła błagalnie na starszą kobietę.

– Po co ci praca? – spytała kwaśno Vonni. – Nie wracasz do kraju?

– Nie, przecież wiesz, że nie mogę, póki Shane nie przyjedzie.

– Shane nie przyjedzie.

– Nieprawda! Oczywiście, że wróci. Proszę cię, wstaw się za mną!

– Jesteś nieodpowiedzialna, Fiono. Oszukujesz samą siebie, myśląc, że ten chłopak jeszcze się tu pokaże.

Pan Leftides, który odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, jak na meczu tenisowym, uznał, że ma tego dość. Wzruszył ramionami i poszedł sobie.

– Czemu mi to zrobiłaś? – spytała Fiona ze łzami w oczach.

– Śmieszna jesteś, Fiono. Wszyscy ci współczuli i starali się być mili, kiedy byłaś załamana po poronieniu, ale chyba czas już się z tego otrząsnąć. Musisz zrozumieć, że nie ma tu dla ciebie przyszłości. Nie możesz czekać w nieskończoność na faceta,

który wystawił cię do wiatru. Wracaj do Dublina i zacznij żyć na nowo.

– Jesteś taka zimna i okrutna – powiedziała Fiona drżącym głosem. – A ja myślałam, że mam w tobie przyjaciółkę...

– Bo masz... Najlepszą ze wszystkich, jeśli starczy ci rozumu, aby to dostrzec. Dlaczego przyjaźń ma polegać na załatwianiu ci byle jakiej pracy i przedłużaniu pasma udreki? Co byś tu robiła sama jedna?

– Wcale nie byłabym sama. Mam przyjaciół: Elbę, Thomasa, Davida...

– Oni wszyscy wracają do swoich krajów. Zapamiętaj moje słowa: będziesz zdana na samą siebie.

– No i co z tego? Shane po mnie przyjedzie, mów sobie, co chcesz. Teraz muszę szukać jakiejś innej pracy, żeby przeżyć. – Odwróciła twarz, żeby ukryć łzy.

– Vonni, chcesz Chwałę Poranka? – Andreas często zaglądał do sklepiku i przynosił metalowy półmisco z trójkolorowymi lodami z delikatesów Yanniego po przeciwnej stronie drogi.

– Nie, raczej butelkę wódki z mnóstwem lodu.

Andreas wpadł w popłoch. Vonni nigdy nie żartowała na temat swojego nałogu i nie robiła aluzji do alkoholowej przeszłości.

– Masz jakiś problem?

– Tak'. Pokłóciłam się ze wszystkimi tymi zagranicznymi

dzieciakami. Z każdym, co do jednego.

– Myślałem, że ich lubisz. Oni też się do ciebie przywiązali...

– Nie wiem, na czym to polega, Andreasie. Czuję się podle, nic mnie ostatnio nie cieszy, wkurza mnie każde ich słowo.

– To do ciebie niepodobne, przecież zawsze zachowujesz spokój, wszystko łagodzisz...

– Ale nie w ciągu ostatnich dni. Chyba nieźle narozrabiałam. To przez ten statek, rozumiesz, tyle ludzkich istnień poszło na marne, że teraz wszystko wydaje się bez sensu. Przynajmniej ja go już nie widzę – tłumaczyła, spacerując nerwowo po sklepie.

– W twoim życiu jest mnóstwo sensu.

– Naprawdę? Ja go tam dziś nie dostrzegam. Uczępiłam się jak kretynka tego zapomnianego przez Boga miejsca i będę tu tkwiła do śmierci.

– Vonni, my wszyscy będziemy tu tkwili do śmierci. – Andreas był wyraźnie stropiony.

– Nie, nie rozumiesz. Chodzi o poczucie bezużyteczności. Miałam je wtedy, przed laty i nagle znów mam ochotę pójść na górę i pić *raki* do utraty zmysłów. Andreasie, mój przyjacielu, nie pozwól mi znów wejść na tę drogę.

Przykrył jej dłoń swoją.

– Oczywiście, że nie pozwolę. Zbyt mocno walczyłaś, aby wydobyć się z dołka, nikt z nas nie pozwoli ci znów do niego

wpaść.

– Popatrz, jakie głupie było to moje życie! Wszyscy się mną przejmowali, skakali koło mnie, śpieszyli na ratunek... Dzięki temu, że opowiedziałam tym młodym ludziom o swojej przeszłości, zrozumiałam, jaka byłam głupia i samolubna. To dlatego zapragnęłam nagle upić się i o wszystkim zapomnieć.

– Ty zwykle zapominasz o własnych problemach, pomagając innym. To cię trzyma przy życiu i dlatego wszyscy tak cię kochają.

– Jeśli nawet masz rację, to przestało to na mnie działać. Nie chcę już nikomu pomagać, chcę wszystko wymazać z pamięci. I na pewno ludzie już mnie nie kochają, raczej każdy ucieka ode mnie gdzie pieprz rośnie.

Andreas nagle podjął decyzję.

– Ja potrzebuję twojej pomocy. Mam sztywne ręce, mogłabyś przyrządzać u mnie *dolmades*? Nie mogę zginać palców i nadziewać liści winorośli. Proszę cię, zamknij sklepik i przenieś się do mojej tawerny. Potraktuj to jako przysługę, dobrze?

– A ty oczywiście będziesz poił mnie kawą i napychał lodami, żebym tylko nie uległa demonowi alkoholizmu... – Uśmiechnęła się blado.

– Jasne, taki właśnie mam plan – przyznał Andreas, po czym razem wyszli.

Thomas zbiegał właśnie po bielonych zewnętrznych schodach, ale ich nie zauważył, więc nawet nie zawołał „cześć”.

W południe w portowej knajpce dyskutowali o Vonni.

– Rozumiem, czemu na mnie naskoczyła – przyznała Fiona.

– Prawdę rzekłszy, wiele osób ma problem z Shane'em. Ale na was?!

Myśleli nad tym przez chwilę.

– Jeśli chodzi o mnie, łatwo dostrzec jej sposób rozumowania – odezwała się w końcu Elsa. – Jestem dziwką, która znalazła sobie jelenia i dotąd go szantażowała, aż wreszcie jej się oświadczył.

– Naprawdę się oświadczył? – zainteresował się Thomas.

– Tak, ale to bardziej skomplikowana sprawa. A czemu Vonni uczepliła się ciebie?

Thomas potarł z namysłem podbródek.

– Nie mam pojęcia, co ją tak wkurzyło w mojej sytuacji, w każdym razie uważa, że ja miałem wybór w kwestii syna, a ona nie. Kusiło mnie, by jej przyciąć, w końcu ja nie topiłem smutków w alkoholu. Nie chciałem jednak jej obrazić, zależało mi tylko, aby uznała, że staram się postępować właściwie i odpowiedzialnie.

David próbował stanąć po stronie Vonni.

– Chyba to jasne, dlaczego ci zazdrości. Gdyby jej pozwolili być tam, gdzie jej syn, to by się nie wahała. Ale wie, że sama jest sobie winna i to ją tak denerwuje.

– Jesteś bardzo wyrozumiały, Davidzie, a przecież i ciebie



uraziła – zauważyła Fiona.

– Tak, ale dlatego, że nie ma bladego pojęcia, jacy są moi rodzice. Czytałem ten list w kółko i naprawdę nie ma tam nic, co mogłoby sugerować, że ojciec źle się czuje.

– Ale o co właściwie tak się na ciebie wściekła?

– Bo zachwyciałem się Andreasem, mówiłem, że jego syn to straszny egoista, ponieważ nie wraca, aby mu pomóc. Na to ona, że stawiam Andreeasa na piedestale, podczas gdy wiele osób mogłoby powiedzieć o mnie, że jestem taki sam jak Adoni, trzymam się z daleka od ojca. Ale oczywiście to zupełnie odmienna sprawa...

David powiódł wzrokiem po trójce przyjaciół i wydało mu się, że nie są do końca przekonani o odmienności tych dwóch spraw.

– Zaraz mam lekcję z Marią – powiedział nieco sztywno i ruszył w stronę domu Manosa, gdzie czarno odziana wdowa machała do niego od progu.

Teraz już mógł porozumieć się z nią po grecku. Wprawdzie szło mu kulawo i często brakowało słów, ale zdołał zrozumieć, że kobieta wie o jego zamiarze rychłego opuszczenia wyspy. Vonni zawiadomiła ją, że ojciec Davida jest chory.

– Nieprawda! – krzyknął. – Jest zdrow! Zdrow jak ryba!

– Vonni mówiła, że dzwoniłeś do domu.

Trudno było wyjaśnić sytuację komuś, kto nie zna angielskiego, a już na pewno Marii.

– Nie telefonować dom – wydukał po grecku.  
– *Yiati?* – spytała. Znaczyło to „dlaczego”. David nie znalazł odpowiedzi.

Vonni starannie zawijała grudki ryżu z orzeszkami piniovymi w liście winorośli. Była bardzo milcząca.

Andreas popatrywał na nią spod krzaczastych brwi. Miała prawo się martwić. Taki sam niepokój i nerwowość doprowadziły ją przed laty do pijackich ciągów.

Zastanawiał się, czy nie skontaktować się z Christina. Przyjaźniły się obie i jedna drugiej dawała ogromne wsparcie. Ale przecież nie zrobi nic bez zgody Vonni.

Od dawna miała porytą bruzdami twarz, dziś jednak wyglądała na wyjątkowo przygnębioną. Marszczyła brwi i gryzła wargę.

Pracowali na tarasie z widokiem na miasto. Vonni dwa razy wstawała i chodziła do kuchni bez powodu. Andreas obserwował ją ukradkiem; raz sięgnęła do półki, na której stał rząd butelek z brandy i oliwą.

A jednak cofnęła rękę.

Za drugim razem tylko weszła i patrzyła, niczego nie dotykając. Dyszała ciężko, jak po biegu.

– Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić – poprosił.

– Nie zrobiłam w życiu nic pożytecznego, Andreasie, więc czemu ktokolwiek miałby coś robić dla mnie?

– Byłaś dobrą przyjaciółką dla mojej siostry, dla mnie, dla wszystkich ludzi z Agia Anna. To jest coś warte, czyż nie?

– Nieszczególnie. Ja nie szukam litości, nie cierpię jej, tylko po prostu nie widzę ani śladu sensu w moim życiu przeszłym, obecnym i przyszłym – mówiła beznamiętnie.

– Skoro tak, to lepiej otwórz butelkę brandy.

– Brandy?

– Metaxe. Stoi tam na półce, przyglądasz jej się cały ranek. Weź, wypij, wtedy żadne z nas nie będzie musiało się zastanawiać, kiedy to nastąpi, bo już będzie po wszystkim.

– Czemu mi to mówisz?

– Ponieważ jest to jakieś wyjście. Możesz w ciągu godziny wyrzucić na śmietnik całe lata pracy, rygoru i samozaparcia. Bo przyniesie ci to zobojętnienie, którego pragniesz. I to prawdopodobnie bardzo szybko, gdyż zdążyłaś się już odzwyczaić.

– I ty, mój przyjaciel, stałbyś z boku i tylko się przyglądał?

– Jeśli chcesz to zrobić, to lepiej tutaj, a nie na oczach całego miasta – powiedział filozoficznie.

– Wcale nie chcę – wyznała żałośnie.

– Wiem. Ale jeśli nie widzisz niczego pożytecznego w przeszłości, teraźniejszości ani przyszłości, to chyba będziesz musiała.

– A ty widzisz w czymkolwiek sens?

– Bywają dni trudniejsze od innych. Ty masz tu wszędzie przyjaciół, Vonni.

- Tylko w końcu ich odpycham.
  - O kim ty mówisz?
  - O tej małej idiotce Fionie. Powiedziałam jej, że ten chłopak nie wróci, a ona się rozpląkała. Ale przynajmniej wiem, gdzie on jest, a Fiona nie wie.
  - Cicho, cicho, nie musisz się zaraz martwić.
  - Nie miałam prawa tak postąpić, Andreasie. Nie jestem Bogiem.
  - Chciałaś jak najlepiej – pocieszał ją.
  - Muszę jej powiedzieć, gdzie on jest – zdecydowała nagle Vonni.
  - Myślisz, że to mądre?
  - Mogę od ciebie zadzwonić?
  - Proszę...
- Słyszał, jak wybiera numer.
- Dzwonię, aby ci powiedzieć, że nie miałam prawa na ciebie krzyczeć. Bardzo cię za to przepraszam.
- Andreas oddalił się dyskretnie. Wiedział, jak trudno jest Vonni przyznać się do błędu.
- W apartamencie Elsy Fiona patrzyła ze zdumieniem na trzymany w rękę telefon. Wszystkiego mogła się spodziewać, ale tego – nigdy. Po prostu zabrakło jej słów.
- W porządku, Vonni – wykrztusiła z trudem.
  - Nie, tak się składa, że wcale nie jest w porządku. On się do ciebie nie odzywa, bo go w Atenach aresztowali.

- Shane aresztowany?! O mój Boże, za co?
- Coś z narkotykami.
- Nic dziwnego, że nie daje znaku życia. Biedny Shane, nawet mu nie pozwolili do mnie zadzwonić?
- Nie próbował, chciał tylko, żebyś wpłaciła kaucję, więc powiedzieliśmy...
- Ależ to oczywiste, że wpłacę za niego kaucję! Dlaczego nikt mi nie powiedział?
- Bo uznaliśmy, że lepiej ci będzie bez niego. Fiona poczuła się urażona.
- „My”, czyli kto?
- Jorgis i ja... głównie ja – przyznała się Vonni.
- Jak śmiałaś! Jak śmiałaś wtrącać się w nasze życie! Teraz on myśli, że nie chciałam do niego przyjechać! To wszystko przez ciebie!
- Właśnie dlatego dzwonię. Pojadę z tobą do niego. – Co?!
- Jestem ci to winna. Pojedziemy rannym promem do Aten, zaprowadzę cię do aresztu i sprawdzimy, co się dzieje.
- Dlaczego to robisz? – spytała podejrzliwie Fiona.
- Chyba doszłam do wniosku, że to twoje życie. Spotkamy się rano w porcie, prom odchodzi o ósmej. – Vonni rozłączyła się i wróciła do Andreasa.
- Zdziałało? – spytał.
- Nie wiem, jutro się okaże. Ale czuję się teraz silniejsza. Powiedziałaś, że niektóre dni są lepsze od innych. A jak okre-

ślifbyś dzisiejszy?

– Taki sobie, niezbyt dobry. Napisałem do Adoniego i na pewno już otrzymał list, jednak dotąd nie mam od niego ani słowa. Z trudem się na to zdobyłem, a brak odpowiedzi jest dla mnie jeszcze cięższy. Ale uważam, że trzeba dalej walczyć. Manos i ci chłopcy ze statku nie mieli szansy, więc ja zamierzam się trzymać aż do końca.

– Napisałeś do Adoniego? – Vonni aż oczy rozbłysły z ciekawości.

– Tak, ale nikt o tym nie wie oprócz ciebie i Jorgisa.

– Bardzo się cieszę, jesteś fantastyczny! Zobaczysz, że on się z tobą skontaktuje.

– Czemu miałbym ci wierzyć? Poważnie, przecież ty sama już w nic nie wierzysz, więc czy można brać na serio to, co mówisz?

– Zadzwoń, ja to wiem. Masz włączoną sekretarkę? Ciągłe o tym zapominasz. Adoni wróci, zobaczysz. Może już niedługo? Czy jego pokój jest przygotowany?

– Nie ruszałem tam niczego, odkąd wyjechał.

– Musimy go odmalować, odświeżyć...

– A jak on nie wróci? Tylko serce mnie rozboli.

– Nie wolno być pesymistą, to najgorsza zbrodnia. Wiesz co? Weźmy się do tego dzisiaj. Skończyłam już te cholerne *domlades*, zaraz je wstawię do lodówki i polecę po farbę. Masz pędzle?

– Są w szopie za domem. Mogą być sztywne, sprawdzę, czy mamy rozpuszczalnik.

– Dobrze, ale miej na mnie oko. Jeden łyk i znów jestem na śliskiej pochylni.

Popatrzył na Vonni ze zdumieniem. Naprawdę wyszła na prostą! Twarz jej się ożywiła, oczy błyszczały entuzjazmem. Warto pomalować pokój Adoniego, żeby utrzymać ją w takim stanie.

Nawet gdyby chłopak miał nie wrócić.

## Rozdział 14

Mama?

– David! – Radość w jej głosie była trudna do strawienia.

– Mamo, dostałem twój list. Na temat tej nagrody.

– Och, Davidzie, po prostu wiedziałam, że zadzwonisz!

Dobry z ciebie chłopiec, tak szybko się odezwałeś!

– No bo widzisz, jeszcze nie bardzo wiem, co się dzieje... – Nie chciał dać się wepchnąć w sieć dat, rozkładu lotów, planu miejsc i stosownego do okazji stroju.

– Ojciec bardzo się ucieszy, kiedy mu powiem o twoim telefonie. To będzie wiadomość dnia!

Już odczuwał w piersiach i na ramionach znajomy ciężar, który zawsze powodowały naciski rodziców. Matka nadal trajkotała z podnieceniem:

– Spodziewam się go w ciągu godziny, jestem pewna, że go to wprawi w dobry humor.

– Chyba nie siedzi w biurze przy sobocie?

– Nie, nie, tylko... no... po prostu go nie ma. David był zaskoczony.

Ojciec nie uczęszczał co tydzień do synagogi, robił to tylko podczas wakacji. Soboty zwykle spędzał w domu.

– Co on robi?

– Och, no wiesz... to i owo – wykręcała się matka. David



nagle poczuł chłód.

– Ojciec jest chory? – spytał.

– Dlaczego tak myślisz? – Usłyszał w jej głosie strach.

– Nie wiem, mamó, tak mi przyszło do głowy, że może jest chory, tylko nie chcecie mi powiedzieć.

– Tam, w Grecji przyszło ci to do głowy? – spytała ze zdziwieniem.

– Powiedzmy. A to prawda?

Wydało mu się, że czas stanął w miejscu. Upłynęło parę sekund, jednak dla niego to był wiek. Czekał na odpowiedź w budce telefonicznej koło portu i przyglądał się codziennemu ruchowi na nabrzeżu – załadunkowi i rozładunkowi skrzyń, ludziom kręcącym się wokół własnych spraw.

– Twój ojciec ma raka okrężnicy. Nie można go operować. Dają mu pół roku życia.

Zapadła cisza, podczas której David starał się złapać oddech.

– Czy on o tym wie? Powiedzieli mu?

– Tak, teraz tak właśnie postępują. Informują ludzi o wszystkim. Przyjął to bardzo spokojnie.

– Czy cierpi?

– Nie, to dziwne, ale nie. Bierze różne lekarstwa.

David wydał gardłowy dźwięk, jakby wstrzymywał szloch.

– Ach, Davidzie, nie martw się tak bardzo. Ojciec się nie boi, jest gotów na wszystko.

- Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście?
- Znasz ojca... jest taki dumny. Nie chciał, żebyś wracał tylko z litości. Nie pozwolił mi nic mówić.
- Rozumiem – odrzekł smutno David.
- Ale nie przewidział twoich telepatycznych zdolności. Pomyśleć, że wyczułeś to na taką odległość! Wprost nieprawdopodobne, no cóż, zawsze byłeś bardzo wrażliwy.
- David nigdy w życiu tak strasznie się nie wstydził.
- Zadzwoń w poniedziałek – obiecał.
- Żeby zawiadomić nas, co planujesz? – podchwyciła ochoczo matka.
- Tak, właśnie po to – odrzekł, kompletnie załamany.
- Thomas także zadzwonił do matki.
- Nie dzwoń do mnie z tak daleka, synu, niepotrzebnie tracisz pieniądze.
- W porządku, mamó, mówiłem ci, że wypłacają mi pełne pobory. Mogę za to żyć tu jak milioner i jeszcze płacić na Billa.
- I rozpuszczać mnie prezentami. Dobry z ciebie chłopak, uwielbiam te magazyny, które przysyłasz mi co miesiąc. Sama nigdy bym ich nie kupiła.
- Wiem, mamó. Wszystko dla nas, nic dla ciebie, to twoja stała zasada.
- Większość rodziców tak postępuje wobec dzieci, chociaż nie zawsze to działa. Ja miałam szczęście do ciebie i twojego brata.

- Nielatwo jest samotnie wychowywać dzieci, prawda?
- Ja tam uważam, że nie najgorzej, ale mój współmałżonek nie odszedł do innej, tylko po prostu umarł.
- Do zerwania małżeństwa trzeba dwojga, mammo. Nie cała wina leży po stronie Shirley.
- Nie, ale kiedy sobie kogoś znajdziesz?
- Pewnego dnia. I będziesz pierwszą osobą, którą o tym zawiadomię. Mammo, chciałem zapytać cię o Billa. Rozmawiasz z nim czasem?
- Wiesz przecież, że tak. Dzwonię do niego w każdą niedzielę. Dobrze mu idzie w szkole, bierze udział w wielu zajęciach. Ostatnio bardzo polubił sport.
- Jasne, odkąd stary ojciec nie pędzi go do ksiązek, nie z nudza poezją i takimi tam głupstwami.
- On bardzo za tobą tęskni i ty o tym wiesz.
- Czyż nie ma na osłodę tego kochanego Andy’ego i dzi-  
dziusia w drodze na dodatek?
- Mówił mi, że nie najlepiej przyjąłeś wiadomość o dziecku.
- A co, miałem tańczyć z radości? – spytał z goryczą Thomas.
- On się spodziewał, że pokochasz to dziecko, tak jak Andy pokochał jego, chociaż nie jest z nim spokrewniony.
- Naprawdę tak myślał? – zdumiał się Thomas.
- Bill jest jeszcze dzieckiem. Ma raptem dziewięć lat, ojciec go opuścił i wyjechał z kraju. Nic dziwnego, że chwyta się

słówki. Myślał, że może wrócisz, jeśli urodzi się dziecko, dla którego będziesz ojczymem, tak jak dla niego Andy.

– Andy to burak.

– Może i tak, ale to dobry burak.

– Ja też jestem dobry.

– Oczywiście, jestem tego pewna, tylko czy Bill to wie?

– Daj spokój, mam, postąpiłem słusznie. Zapewniłem mu swobodę, nie osaczam go, pozwoliłem mu się przystosować do nowego życia.

– Jasne, i uważasz, że dziewięcioletek jest w stanie to wszystko pojąć?

– Więc co, według ciebie, mam robić?

– Nie wiem... Być w pobliżu, a nie tysiące kilometrów dalej...

– I myślisz, że to rozwiąże problem?

– Czy rozwiąże, nie wiem, ale przynajmniej dzieciak nie będzie myślał, że rodzony ojciec go opuścił.

– Nie krzycz, mam, słyszę, co mówisz.

Elsa przeczytała drugi faks od Dietera:

*Wiem, że przeczytałaś to, co napisałem w zeszłym tygodniu. Powiedziano mi w hotelu, że odebrałaś wiadomość. Proszę Cię, przestań uprawiać gierki, po prostu napisz, że wracasz. Nie tylko Ty grasz na tej scenie, ja też mam swoje życie. Czemu miał-*

*bym komukolwiek o nas mówić, skoro nie wiem kiedy i czy zamierzasz wrócić.*

*Proszę, odpowiedz dzisiaj, Kocham Cię na zawsze – Dieter.*

Przeczytała to kilka razy pod rząd, próbując przywołać w pamięci jego głos. Rozbrzmiewał wyraźnie w jej uszach, jakby go słyszała naprawdę: Dieter mówił szybko, zdecydowanie, nagle. „Proszę, odpowiedz dziś”.

To on grał główną rolę w tej scenie. Czy już zapomniał, że chodzi o jej życie, jej przyszłość? Jak śmiało prosić ją o tak błyskawiczną odpowiedź? Poszła do centrum biznesowego w Anna Beach, skąd mogła wysłać e-mail.

*To ważna decyzja i potrzebuję czasu, żeby ją przemyśleć. Nie popędzaj mnie, napiszę za kilka dni.*

*Też Cię Kocham na zawsze, ale liczą się również inne sprawy – Elsa.*

Fiona obudziła się wcześniej i zobaczyła, że nad Agia Anna wstaje świt. Ledwie mogła uwierzyć, że wczorajsza rozmowa z Vonni naprawdę się odbyła.

Wciąż była wściekła na nią i Jorgisa za te wszystkie kłamstwa. Jak śmieli mówić jej w oczy, że Shane się nie odezwał? Jak śmieli zostawić ją z tym uciskiem w żołądku, spowodowanym myślą, że Shane ją opuścił, bo była dla niego za głupia, za

tępa? A przecież próbował się z nią skontaktować, tylko ci starzy intryganci musieli namieszać...

Powiedzieli, że Shane'owi chodziło tylko o pieniądze na kaucję. No cóż, musi najpierw wydostać się z aresztu, a potem pomyślał, co dalej. A czego tamci się spodziewali?

Co za radość, że go dziś zobaczy!

Nie uśmiechało się jej towarzystwo Vonni na promie. I wołałaby też, żeby wczorajsza rozmowa z Elsą także się nie odbyła. Niemka bynajmniej nie zdradzała chęci do pomocy.

Fiona marzyła, żeby móc cofnąć zegar. Czemu poprosiła Elbę o pieniądze? Chodziło o pożyczkę w wysokości tysiąca euro – tylko na kilka dni, póki Barbara nie przyśle jej tej sumy z Dublina.

– Pożyczyć ci pieniądze, żeby Shane mógł do reszty prze-fasonować ci twarz? – burknęła Elsa.

– To była inna sytuacja – zaczęła tłumaczyć Fiona. – Przeżył szok, bo w nieodpowiedni sposób przekazałam mu nowinę.

Elsa odgarnęła jej włosy.

– Nadal masz siniaki i szramy – zauważyła. – Nikt na świecie nie pożyczy ci pieniędzy na wyciągnięcie tego drania z miejsca, w którym powinno się go stale trzymać.

Fiona musiała mieć beznadziejnie smutną minę, bo Elsa natchmiast uderzyła w skruchę.

– Słuchaj, jestem tak samo podła jak Vonni, bo próbuję cię pouczać, to trudne, wiem... Ale wypróbuj mój sposób: otóż

próbuję jakby stanąć z boku i przyjrzeć się swojej sytuacji zupełnie obiektywnie – bardziej z zewnątrz niż od wewnątrz. Tobie też to się przyda.

Fiona uparcie kręciła głową.

– Nie sędzę, aby przyniosło to jakiś pożytek. Najwyżej zobaczę z zewnątrz biednego Shane’a, który mnie kocha i próbuje się ze mną skontaktować, gnijąc w greckim więzieniu. Tylko jego mam wciąż przed oczami. To mój chłopak i myśli, że go opuściłam. A to wcale mi nie pomaga.

Elsa obrzuciła ją spojrzeniem, jakim patrzy się na obrazek zagłodzonej sierotki na reklamie wzywającej do zbiórki na biednych. Było to spojrzenie, w którym litość i współczucie mieszały się z niedowierzaniem, że takie przypadki w ogóle zdarzają się na świecie.

Kiedy spotkały się w porcie, Vonni kupiła bilety – dwa powrotne na ten sam dzień. Fiona już otworzyła usta, by powiedzieć, że raczej dziś nie wróci, ale zamknęła je znowu.

– Wzięłaś dużą torbę? – zdziwiła się Vonni.

– Cóż... Nigdy nic nie wiadomo – odrzekła wymijająco dziewczyna. Prom odbił od brzegu i Fiona obejrzała się na Agia Anna. Tyle się wydarzyło, odkąd tu przyjechała tak niedawno temu...

Zobaczyła, że Vonni schodzi na dół, gdzie podawano kawę i drinki. A jeśli nagle znów zaczniesz pić? Tutaj, na promie. Mo-

głoby się tak zdarzyć. Andreas powiedział wcześniej Davidowi, że Vonni jest w wyjątkowo podłym nastroju i po raz pierwszy od lat wspomniała o możliwości wypicia czegoś mocniejszego. O Boże, proszę, tylko nie teraz, na morzu!

Kamień spadł jej z serca, kiedy Vonni wróciła z kawą i dwoma lepkimi ciastkami.

– *Loukoumades* – wyjaśniła. – Coś w rodzaju pączków z miodem i cynamonem. Dają mnóstwo energii na cały dzień.

Ta kobieta wychodzi ze skóry, aby zasłużyć na wybaczenie. Fiona wiedziała, że ma za co być jej wdzięczna.

– Jesteś samą dobrocią – przyznała, poklepując jej dłoń.

Ze zdumieniem zauważyła w oczach Vonni łzy. Usiadły razem i w pełnej zgodzie zabrały się do ciastek.

– Jorgis?

– Andreas! Właśnie o tobie myślałem, wchodź, wchodź! – Szef policji podsunął bratu krzesło.

– Wiesz, coś się wydarzyło.

– Dobrego czy złego?

– Sam nie wiem...

– Daj spokój, na pewno wiesz.

– Nie, nie wiem. Na sekretarce nagrała się wiadomość po angielsku. Ze sklepu, w którym pracuje Adoni. Ten ktoś prosił, żeby Adoni jak najprędzej się z nimi skontaktował w sprawie kluczy od magazynu, bo nie mogą ich znaleźć. Mówił długo i



zawile, ale oni tam chyba myślą, że... Tak jakby on mógł...

Jorgis złapał brata za rękę.

– Myślisz, że jest w drodze do domu? – spytał, niemal bojąc się własnych słów.

– Może tak być, bracie Jorgisie, może tak być – przyznał Andreas, wyraźnie ożywiony nadzieją.

W redakcji wiadomości przyjaciółka Elsy, Hannah, zobaczyła samotnie siedzącego Dietera i postanowiła do niego podejść. Zwykle nikt nie ośmielał się niepokoić Dietera Wielkiego bez koniecznej potrzeby, ale Hannah uznała, że sprawa jest pilna. Dopiero co odebrała e-mail. List był krótki i rzeczowy.

*Czuję się bardzo bezpieczna i spokojna w tym miasteczku. To dobre miejsce do podejmowania decyzji, ale tu wszystko działa w zwolnionym tempie, z moim mózgiem włącznie. Gdyby Dieter o mnie pytał, to powiedz mu, proszę, że nie uprawiam żadnych gierek. Muszę wiele przemyśleć i skontaktuję się z nim. Prawdopodobnie nie zapyta, ale chciałam, żebyś była przygotowana. Ściskam – Elsa.*

Hannah położyła wydruk na biurku Dietera.

– Właściwie nie pytałeś, ale...

– Bardzo się cieszę, że mi to dałaś. Dziękuję, Hannah. Pamiętał jej imię! Niezwykłe, jak na Dietera.

Vonni pokazywała miejsca, koło których przepływał prom. Na jednej wyspie istniała kiedyś kolonia trędowatych, inna ucierpiała podczas trzęsienia ziemi, jeszcze na innej odbył się wiosenny festiwal. Z tamtego zaś przylądka pewnej nocy cała wioska wyjechała do Kanady – nikt nie wie, dlaczego.

– Miałaś szczęście, że trafiłaś na ten skrawek ziemi, prawda, Vonni? Tak bardzo go kochasz...

– Szczęście? Czasem zastanawiam się nad szczęściem...

– W jakim sensie?

– Nie sądzę, by coś takiego istniało. Spójrz na tych wszystkich ludzi, którzy o nim marzą. Tysiące kupują bilety na loterie i walą do Las Vegas, miliony czytają horoskopy, inni wyszukują czterolistne koniczynki albo nie przechodzą pod drabiną. Przecież to bez sensu!

– Ludziom potrzeba odrobiny nadziei.

– Pewnie, że tak, ale nasze szczęście tworzymy sami, podejmując słuszne albo niesłuszne decyzje. Nic na to nie pomoże czarny kot, przecinający nam drogę, ani fakt urodzenia pod znakiem Skorpiona.

– Ani modlitwa do świętego Judy? – dodała Fiona z uśmiechem.

– Za młoda jesteś, by wiedzieć o świętym Judzie.

– Moja babcia polega na nim pod każdym względem – od znajdowania okularów i podpowiadania numerów bingo do

uspokajania jej piekielnego małego terierka, kiedy wpadnie w szal. Do wszystkiego jest zaraz wzywany święty Juda. I zawsze się wywiązuje.

– Zawsze? – W głosie Vonni dał się słyszeć sceptycyzm.

– No, może z wyjątkiem sprawy jej najstarszej wnuczki. Babcia zaprzęła świętego Judę do roboty, żeby wyszukał mi sympatycznego bogatego lekarza na męża. I tym razem mu nie wyszło.

Fiona uśmiechnęła się z dumą, jakby sama jedna dała radę świętemu Judzie, słynnemu patronowi od spraw beznadziejnych, i pokrzyżowała mu plany, trwając dzielnie przy Shanie.

– Cieszysz się, że go zobaczysz? – spytała Vonni.

– Nie mogę się wprost doczekać. Mam nadzieję, że nie będzie się gniewał, tyle czasu mi to zajęło... – Wciąż jeszcze nie mogła się wyzbyć nutki żalu i pretensji.

– Mówiłam ci już. Wszystko mu wytłumaczę, powiem, że to nie twoja wina.

– Wiem, Vonni, wiem, ja tylko... no wiesz... – Fiona wyłamywała sobie nerwowo palce, próbując coś wyjaśnić.

– Powiedz – zachęcała ją Vonni.

– No bo... poznałaś już Shane'a, on może być odrobinę trudny. Czasem mówi coś, co brzmi znacznie bardziej agresywnie, niż jest w rzeczywistości. On po prostu tak reaguje... Nie chcę, żebyś myślała...

– Nie martw się, Fiono, nic sobie nie pomyślę – obiecała

Vonni przez zaciśnięte zęby.

– Elsa! Tak się cieszę, że cię widzę! – wykrzyknął Thomas.

– To chyba jesteś jedyną taką osobą na tej wyspie.

– Nie możesz tak myśleć. Właśnie zamierzałem wynająć łódź i wypłynąć na kilka godzin. Zaufałabyś mi na tyle, by się ze mną wybrać?

– Z rozkoszą. To co, idziemy?

– Jasne. David nie przyjdzie do kafejki, jego ojciec jest chory. Vonni miała rację... przynajmniej w tej sprawie. David rezerwuje sobie właśnie bilet na samolot.

– Biedak! – odrzekła ze współczuciem Elsa. – A Fiona popłynęła z Vonni do Aten. Tym rannym promem. Była na mnie zła, bo nie chciałam jej pożyczyć pieniędzy na kaucję za Shane'a.

– Czyli jesteśmy zdani na siebie – podsumował sytuację Thomas.

– Z przyjemnością popłynę w pożegnalny rejs. Mogę ci pomóc wiosłować, jeśli chcesz.

– Nie, leż sobie z tyłu i rozkoszuj się morzem. Pożegnalny? Więc jednak wracasz do Niemiec?

– O tak. Nie wiem jeszcze dokładnie kiedy, ale wracam.

– Czy Dieter bardzo się cieszy?

– Jeszcze nic nie wie. Thomasa to zaskoczyło.

– Dlaczego mu nie powiedziałaś?

– Nie wiem, nie wszystko jeszcze przemyślałam...

- Rozumiem – odrzekł takim tonem, jakby nie rozumiał.
- A ty kiedy wyjeżdżasz?
- To zależy...
- Od czego?
- Od tego, czy uwierzę, że Bill naprawdę mnie tam chce – odparł szczerze Thomas.
- Na pewno chce, przecież to oczywiste!
- Czemu to dla ciebie takie oczywiste? – zdziwił się.
- Bo ojciec mnie opuścił, jak byłam bardzo mała. Oddałabym wszystko za jeden telefon, w którym powiedziałby, że wraca, aby zamieszkać na sąsiedniej ulicy, i będę mogła go codziennie widywać. Nic lepszego nie mogłoby mnie spotkać, ale to nigdy się nie stało.

Thomas patrzył na nią w osłupieniu. Zabrzmiało to tak prosto, tak łatwo! Otoczył ją ramieniem i poprowadził na przystań, gdzie wynajęli jaskrawo pomalowaną łódź.

Fiona szła za Vonni przez zatłoczony port w Pireusie, dźwigając ciężką torbę. Vonni zaprowadziła ją do *Ilektrikos* i kupiła bilety.

– To piękne miejsce samo w sobie, niezależnie od tego, że leży blisko Aten – mówiła dziewczynie. – Pełno tu cudownych rybnych knajpek, jest też duży posąg Apolla. Niestety na nic z tego nie mamy teraz czasu.

– Wiesz, trochę się boję tego spotkania – wyznała Fiona,

kiedy wsiadły do pociągu.

– On przecież cię kocha, więc chyba się ucieszy? – zauważyła bez przekonania Vonni.

– Tak, tak, oczywiście. Tylko nie mam pojęcia, ile wyniesie ta kaucja i skąd zdobyć kasę. W tej akurat sprawie nie mam co liczyć na Dublin. Chyba będę musiała im powiedzieć, że potrzebne mi są pieniądze na coś innego.

Vonni milczała.

– Ale z pewnością ucieszy się, kiedy zobaczy przyjazną twarz.

– Tak naprawdę nie boisz się tego spotkania prawda? – spytała Vonni.

– Wiesz, człowiek zawsze robi się trochę nerwowo przed spotkaniem z ukochaną osobą... To także kwestia miejsca, prawda?

Jorgis uprzedził kolegów z posterunku w Atenach, że Vonni i Fiona są w drodze. Opowiedział też z grubsza, kim są. Tamtejszy policjant wysłuchał go do końca, po czym rzekł ponuro:

– Cóż, jeśli ta głupia dziewczyna zdoła zebrać pieniądze na kaucję i sprawi, że facet zniknie nam z oczu, to będziemy się tylko cieszyć. Mało brakowało, a sami byśmy zapłacili, żeby tylko się go pozbyć.

Kiedy weszły na posterunek, Fiona przystanąła na chwilę, wyjęła puderniczkę i grzebień, po czym starannie zamalowała

podkładem żółknący siniec na czole i zasłoniła go włosami. Następnie pociągnęła szminką wargi i spryskała wodą toaletową nadgarstki oraz miejsca za uszami. Vonni obserwowała te zabiegi w osłupieniu.

– Jestem gotowa – oznajmiła w końcu dziewczyna drżącym głosem, uśmiechając się do siebie w lusterku dla kurażu.

Dopiero na dziesięć minut przed widzeniem poinformowano Shane'a, że Fiona do niego jedzie.

– Z kasą?

– Jaką kasą? – spytał Dimitri, młody funkcjonariusz.

– Tą, której zażądaliście, krwio pijcy, za moje prawa człowieka! – wrzasnął Shane, kopiąc ścianę celi.

– Chcesz czystą koszulę na widzenie? – spytał obojętnie Dimitri.

– Bo wam na tym zależy, tak? Mam wyglądać jak jakiś picuś-glancuś? A wała, niech zobaczy wszystko, jak jest, nie potrzebuję żadnej pieprzonej koszuli!

– Będą tu bardzo krótko.

– Jak to „będą”?

– Jest z nią jakaś kobieta z Agia Anna.

– Jeszcze jedno kulawe kaczę, jakie to typowe dla Fiony! Najpierw wcale się nie śpieszy, a teraz wlecze kogoś ze sobą...

Zamykając drzwi celi na klucz, Dimitri rozmyślał nad naturą miłości. On sam był zaręczony. Uważał się za solidnego, od-

powiedzialnego mężczyznę, tylko czasem się martwił, czy nie wydaje się zbyt nudny swojej efektownej narzeczonej. Często się słyszy, że dziewczyny lubią posmakować odrobiny niebezpieczeństwa. Stary policjant z Agia Anna mówił, że ta, która wybiera się do Shane'a, jest pielęgniarką, do tego sympatyczną i ładną... Trudno, nie wolno pozwalać sobie na uogólnienia.

– Ile masz lat, Andreasie?

– Sześćdziesiąt osiem.

– A mój ojciec sześćdziesiąt sześć i umiera.

– Och, Davidzie, tak smutno mi to słyszeć! Naprawdę smutno...

– Dziękuję, Andreasie, mój przyjacielu. Wiem, że mówisz szczerze.

– Wracasz do domu, żeby być przy nim?

– Tak, tak, oczywiście.

– Na pewno bardzo się z tego ucieszy, zobaczysz. Mogę ci coś doradzić? Bądź dla niego dobry. Wiem, jak się zdenerwowałaś, kiedy Vonni próbowała ci doradzać... – W głosie Andreasa dało się wyczuć wahanie.

– Tak, naprawdę się wkurzyłem, ale okazało się, że miała rację. Potem próbowałem ją odnaleźć i powiedzieć o tym, ale jej nie zastałem.

– Wyjechała do Aten na jeden dzień, wieczorem wraca.

– Przypuśćmy, Andreasie, że to ty byłbyś chory. Co byś chciał usłyszeć od syna?



- Chyba to, że byłem dla niego dobrym, rozsądnym ojcem.
- Powiem to mojemu, jak wrócę do domu.
- Na pewno go tym uszczęśliwisz.

Policjanci zaprowadzili kobiety do celi Shane'a.

– Przyszły twoje przyjaciółki – oznajmił cierpko Dimitri, otwierając drzwi.

- Shane! – krzyknęła Fiona.
- Nie śpieszyło ci się do mnie.

– Nie wiedziałam, gdzie jesteś. Aż do wczoraj – wyjaśniła, podchodząc do niego.

– Hm... – mruknął Shane, nie reagując na jej wyciągnięte ramiona.

– To ja jestem za to odpowiedzialna – odezwała się Vonni.  
– Nie przekazałam jej, że telefonowałeś.

– A kim ty, u diabła, jesteś?

– Mam na imię Vonni, jestem Irlandką z pochodzenia i od trzydziestu lat mieszkam w Agia Anna, więc uważają mnie już jakby za . tutejszą.

– Co tu robisz?

– Przyjechałam z Fioną, żeby jej pomóc dostać się tutaj.

– No dobra, dzięki. Możesz się teraz odwalić, bo chcę zostać z moją dziewczyną? – spytał gburowato.

– To zależy od Fiony.

– Nie od Fiony, tylko ode mnie.

– Może zaczekaj na mnie, dobrze? – poprosiła Fiona. – Tylko chwileczkę...

– Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała – odparła Vonni i wyszła.

Za drzwiami czekał Dimitri.

– *Dhen pirazi* – powiedziała do niego.

– Co?! – spytał w popłochu.

– Mieszkam tutaj od lat – wyjaśniła w jego własnym języku – jestem żoną Greka i mam syna starszego od ciebie. Mówiłam „*Dhen pirazi*”, ale mniejsza o to, mniejsza o wszystko, bo ta idiotka zamierza wybaczyć temu draniowi.

– Może kobiety lubią mężczyzn tego rodzaju... – Dimitri miał klęskę wypisaną na twarzy.

– Nie wierz w takie bzdury. Ani nie kochają, ani nawet nie lubią takich typów. Przez pewien czas mogą uważać to za miłość, jednak potem im przechodzi. Mogą być głupie, ale nie aż do tego stopnia. Fiona zrozumie, jakim potworem jest ten facet z celi, tylko pytanie, kiedy.

Dimitriemu wyraźnie spodobało się jej przekonanie w tej kwestii.

– Co za starą raszplę tu przyprowadziłaś? – spytał Shane.

– Jest bardzo dobra.

– Jasne – burknął.

Fiona przysunęła się bliżej, chcąc go przytulić i pocałować,

jednak Shane nie wydawał się tym zainteresowany.

– Shane, jak wspaniale cię widzieć!

– Przywiozłaś szmal?

– Słucham?

– Kasę. Żeby mnie stąd wyciągnąć.

– Ależ Shane, ja nie mam żadnych pieniędzy, przecież wiesz! – Oczy Fiony rozszerzyły się ze zdumienia. Czemu on nie wyciąga do niej rąk?

– I co, przyjechałaś tu tak sobie? Nie masz mi nic do powiedzenia?

– Mam nawet bardzo wiele...

– To gadaj.

Fiona nie mogła zrozumieć, czemu on jej jeszcze nie objął, ale czuła, że musi coś powiedzieć. Nie mogła się tylko zdecydować, czy najpierw przekazać dobre czy złe wieści.

– No więc dobra wiadomość jest taka, że odezwała się Barbara. Podobno koło szpitala są śliczne mieszkania i moglibyśmy z powodzeniem wziąć jedno z nich po powrocie.

Patrzył na nią, wyraźnie nic nie rozumiejąc.

– Niestety jest i smutna – mówiła dalej Fiona. – Straciliśmy nasze dziecko, to straszne, ale tak się stało. Doktor Leros zapewnia, że nie ma żadnych problemów, gdybyśmy chcieli zacząć od nowa...

– Co?

– Wiem, że jest ci przykro, Shane, ja też byłam w rozpacz,

ale doktor Leros...

– Fiona, przestań mi tu zasuwać jakieś pierdoły o doktorze takim czy smakim! Pytam cię wyraźnie: masz kasę czy nie?

– Przepraszam, Shane... co ty mówisz?

– Masz pieniądze czy nie?

– Oczywiście, że nie mam, przecież już ci mówiłam. Przyjechałam cię odwiedzić, porozmawiać, powiedzieć, że cię kocham, że wszystko się ułoży...

– Jak ma się ułożyć?

– Shane... Postaram się pożyczyć... I dostaniemy to mieszkanie w Dublinie, potem spłacimy dług...

– Och, na miłość boską, przestań głądzić! Skąd weźmiemy na kaucję?

Wciąż nawet jej nie dotknął. I nie powiedział ani słowa o ich utraconym dziecku...

– Shane, czy nie jest ci smutno z powodu dziecka?

– Zamknij się wreszcie! Kasa, rozumiesz?! Skąd ją weźmiemy?

– Leżałam na łóżku, a ono po prostu ze mnie wypłynęło...

– To nie żadne dziecko, po prostu dostałaś okres! Wiesz o tym dobrze, Fiono, a teraz mów, co z tą kasą?

– Zapytamy ich, Vonni i ja, ile trzeba wpłacić, a potem ja-koś spróbuję zdobyć, ale... nie to jest najważniejsze...

– A co jest najważniejsze?

– No... że cię odnalazłam i że cię kocham... – Patrzyła mu w

twarz, oczekując jakiejś reakcji.

Nie było żadnej.

– Uwielbiam cię, Shane...

– Jasne.

– Więc... czemu mnie nie pocałujesz?

– Kurde, Fiono, przestań mi tu pieprzyć o miłości, tylko myśl, jak skombinować kasę!

– Jeśli uda nam się pożyczyć, to trzeba będzie znaleźć pracę, żeby spłacić dług – powiedziała z niepokojem.

– Chcesz, to se szukaj. Jak tylko stąd wyjdę, mam poumawianych ludzi, kontakty i tak dalej. Będę miał forsy jak lodu.

– Nie wracasz do Agia Anna?

– Na to zadupie? W życiu.

– To dokąd pójdziesz?

– Pokręcę się trochę po Atenach, a potem może ruszę do Istambułu. To zależy...

– Od czego?

– Od tego, z kim się spotkam, czego się dowiem... Spojrzała mu prosto w oczy.

– A ja? Mam jechać razem z tobą do tych ludzi, do Istambułu i w ogóle... ?

Wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcesz, tylko żebyś nie brzęczała mi za uszami o urządzaniu się, stałej robocie i tej pipidówce. Wyjechaliśmy z Irlandii, żeby raz na zawsze uwolnić się od tego gówna.

– Nieprawda, wyjechaliśmy z Irlandii, bo kochaliśmy się i nikt nas nie rozumiał, a wszyscy rzucali nam kłody pod nogi.

– Powiedzmy.

Znała ten „wyłączający” ton. Shane go używał wobec ludzi, którzy śmiertelnie go nudzili. Kiedy od nich uciekli, odetchnął z ulgą i powiedział, że skoro na świecie jest tyle różnych praw i przepisów, to czemu nie ma prawa przeciw nudziarzom?

A teraz to ona go nudziła. Zaczynała rozumieć, że nigdy jej nie kochał. Nigdy.

Docierało to do niej z wielkim trudem, wydawało się wręcz niemożliwe, wiedziała jednak, że ma rację. Czyli wszystko to było bez sensu – jej nadzieje i marzenia, a także udręka ostatnich dni, kiedy nie mogła spać ze strachu, że Shane się z nią nie kontaktuje. Pewnie nigdy by się nie odezwał, gdyby nie chodziło o pieniądze na kaucję.

Uświadomiła sobie, że ma otwarte usta i wytrzeszczone oczy – poznała to po jego minie.

– Czego rozdziawiasz gębę? – spytał.

– Ty mnie nie kochasz...

– No kurde, ile można puszczać tę samą płytę? Powiedziałem: chcesz, możesz ze mną jechać, tylko masz nie zrędzić. To taka zbrodnia?

W rogu stało drewniane krzesło. Fiona opadła na nie, kryjąc twarz w dłoniach.

– Nie, Fiono, nie teraz! Teraz trzeba myśleć, co robić, a nie

mazać się i pleść o uczuciach. Daj se luz, dobra?

Odgarnęła włosy z twarzy. Mimo makijażu siniak był wciąż widoczny. Shane przyjrzał się jej ze zdumieniem.

– Skąd masz to na twarzy? – spytał, jakby trochę przejęty.

– Ty mi to zrobiłeś. W tej knajpce na cyplu, nie pamiętasz? Nigdy dotąd nie wypominała mu, że ją bił.

Wezbrała w nim złość.

– Nieprawda!

– Pewnie zapomniałeś – odparła chłodno Fiona. – Zresztą to już nieważne. – Podniosła się, żeby wyjść.

– Dokąd idziesz? Dopiero co przyszedłeś, musimy coś wymyślić...

– Nie, Shane, to ty musisz coś wymyślić.

– Przestań mi grozić.

– Ani ci nie grożę, ani cię nie naciskam. Odwiedziłam cię, a teraz wychodzę.

– A szmal? A moja kaucja? Słuchaj, jeśli ci zależy, mogę pleść te bzdury o miłości, tylko nie idź! Fiona!!

Zapukała do drzwi i Dimitri jej otworzył. Chyba natychmiast zorientował się w sytuacji, bo na jego twarzy pojawił się domyślny uśmiech.

To właśnie doprowadziło Shane'a do szału. Jednym skokiem znalazł się przy Fionie i chwycił ją za włosy.

– Takie sztuczki to nie ze mną! – ryknął.

Dimitri jednak okazał się szybszy, niżby się zdawało. Przy-

stawił Shane'owi ramię do gardła, naciskając podbródek. Chłopak musiał puścić Fionę, żeby zająć się policjantem.

O walce nie mogło być mowy.

Dimitri był wysokim, silnym mężczyzną, Shane przy nim nie miał szans.

Fiona stała przez chwilę w drzwiach, potem się odwróciła i ruszyła korytarzem w stronę biura.

Vonni siedziała tam ze starszym policjantem.

– Mówią o dwóch tysiącach euro... – zaczęła.

– Niech sobie mówią, ode mnie ich nie dostanie – odparła Fiona. Miała wysoko podniesioną głowę, oczy jej błyszczały.

Vonni popatrzyła na nią, ledwie ośmielając się dopuścić do siebie nadzieję. Czy to naprawdę już koniec? Czy Fiona wreszcie jest wolna? Cóż, mimo wszystko na to wygląda...



## Rozdział 15

Thomas wiosłował z powrotem do przystani. Miał wrażenie, że wraca do domu.

Patrzyli w stronę wzgórz, pokazując sobie miejsca, które znali: tu szpital przy drodze do Kalatriady, tam znów trakt do tawerny Andreasa...

I wreszcie kafejka z kratkowanymi obrusami. Takie to wszystko inne od Kalifornii czy Niemiec! Wpłynęli do portu i westchnęli ciężko. Wyglądało na to, że przyływ eskapizmu mieli już za sobą. Oddali łódkę właścicielowi.

– Udała się wyprawa? – zapytał staruszek.

– Bardzo – odrzekła Elsa z uśmiechem.

– *Avrio?* Przyjdziecie jutro?

Interes kiepsko szedł i staruszek usiłował zdobyć jak najwięcej klientów.

– Może, ale nie obiecujemy. – Thomas wołał nie zaciągać zobowiązań, jeśli nie miał pewności. Wiedział, że Elsa następnego dnia spędzi na przygotowaniach do podróży. Nie rozmawiali jeszcze o tym, ale oboje zdawali sobie sprawę, że wycieczka łodzią wzdłuż brzegu to forma pożegnania.

Ruszyli portową ulicą w stronę miasta.

– Zastanawiam się, czy szybko zapomnimy o tym miejscu – powiedział Thomas.

I dosłownie w tej samej chwili odezwała się Elsa:

– Pomyśleć, że cały ten ruchliwy świat będzie się kręcił bez nas! Ubawiło ich, że obojgu przyszła do głowy ta sama myśl. Kiedy mijali kafejkę, Thomas zaproponował, żeby usiedli.

– Czemu nie? – Elsa wyraźnie się ucieszyła. – Trzeba wykorzystać ten dzień, jak tylko się da, bo w następnym tygodniu raczej nie będzie szans na przesiadywanie w kafejkach.

– Och, mów za siebie! Ja nigdzie nie jadę. Nadal będę wpadał do kafejek, wiosłował, czytał książki na słońcu...

– Nic podobnego, będziesz w drodze do Kalifornii – powiedziała, przekonana o słuszności swych słów.

– Elso! Jesteś taka sama jak Vonni. Minęły raptem trzy miesiące mojego urlopu, nie zamierzam wracać przed upływem roku. A nawet gdybym mógł, tylko pogorszyłbym sytuację.

– Wyślę ci tam kartkę i zobaczysz, że ją odbierzesz.

– Bardzo się mylisz. Dlaczego miałbym jechać?

– Ponieważ wielka bogini tej wyspy orzekła, że powinienes, a kiedy ona coś postanowi, to wszystko się spełnia. Popatrz tylko, David jutro wyjeżdża...

– Tylko on i to dlatego, że jego ojciec umiera. Tu Vonni miała rację, on musi jechać. Natomiast nikt z pozostałych nie przejął się jej gadaniem. Fiona pojechała do Aten odnaleźć tego furiata, ty wyjeżdżasz, ja zostaję. Jeden trafiony na czworo to dość marny wynik.

– Gra jeszcze się nie skończyła. Zobaczysz, że Vonni go

znacznie poprawi.

Do stolika podszedł Andreas.

– Mogę się przysiąc? Mam dobrą nowinę. Elsa aż krzyknęła z podniecenia. – Adoni?!

Andreas jednak pokręcił głową.

– Nie, tak dobrze jeszcze nie jest, ale już trochę lepiej. Ta mała Fiona wypięła się w końcu na swojego Shane’a i zostawiła go w areszcie. Wraca tu razem z Vonni ostatnim promem, powinny być na miejscu przed zachodem słońca.

– Skąd wiesz?

– Jeden z tamtejszych policjantów zatelefonował do Jorgisa. Nawet nie próbowała zdobyć pieniędzy na kaucję, po prostu zabrała się i wyszła. – Andreas rozłożył ręce, wyraźnie zaintrygowany.

– Ale dlaczego? Po co zadawała sobie tyle trudu, żeby go potem puścić kantem? – zastanawiała się Elsa.

– Widocznie znów ją uderzył czy skrzywdził w jakiś sposób – odrzekł Andreas z wahaniem.

– Ale na pewno dręczył Fionę już przedtem i jej to nie przeszkadzało – zauważył ponuro Thomas.

– Tym razem musiało być inaczej. Coś sprawiło, że przejrziała na oczy i przekonała się, jaki naprawdę jest ten cały Shane – snuła domysły Elsa.

– Cóż, w końcu wszystko obróciło się na dobre – rzekł Andreas.

– A David przychodzi dziś do mojej tawerny na pożegnalny obiad. Jutro po południu wyjeżdża. Was także chciałbym zaprosić. Jorgis odbierze Fionę z promu i sam ją przywiezie. Powiedźcie, że przyjdziecie.

– A Vonni będzie? – spytał Thomas.

– Mam nadzieję, że tak. – Andreas uśmiechnął się ciepło na myśl o gotowaniu dla tylu przyjaciół.

– Bardzo to uprzejmie z twojej strony, Andrease – powiedział Thomas – ale niestety Elsa i ja jesteśmy już z kimś umówieni na wieczór. Co za szkoda, wolelibyśmy przyjść do ciebie.

Elsa błyskawicznie zorientowała się w sytuacji.

– No właśnie, co za fatalny zbieg okoliczności! Przekaż, proszę, Davidowi, że w południe będziemy w porcie, dobrze?

Andreas zrozumiał.

Zrozumiał więcej, niż przypuszczali. Oczywiście, zaprosił ich w ostatniej chwili, ale przecież umiał odczytać pewne znaki. Tych dwoje chciało spędzić ten wieczór tylko ze sobą.

Nic jednak nie powiedział, tylko pożegnał się grzecznie, oni zaś patrzyli, jak pozdrawia kelnerów i innych znajomych gości.

– To niezwykle być tak mocno osadzonym, zakorzenionym w tego rodzaju miejscowości – zauważył Thomas z podziwem, odprowadzając go wzrokiem.

– Czemu powiedziałaś, że jesteśmy umówieni? – spytała Elsa. Thomas milczał przez chwilę.

– Tak naprawdę, to sam nie wiem, Elso. Byłem pewien, że

nie życzysz sobie kolejnej utarczki z Vonni i tak się składa, że podzielał twoje zdanie, również nie mam ochoty jej widzieć. Ani wysłuchiwać jeszcze raz historii o Shanie. I... i...

– I co?

– I będzie mi ciebie brakowało, jak wyjedziesz. Chciałem spędzić z tobą trochę więcej czasu tylko we dwoje.

Obdarzyła go jednym ze swych zniewalających uśmiechów.

– To są bardzo ważne powody i – używając twojego wyrażenia – „tak się składa”, że je uznaję, wszystkie, co do jednego!

Fiona i Vonni szły przez Pireus. Taka ruchliwa dzielnica, właściwie oddzielne miasto. Wciąż je ktoś potraçał, do tego Fiona dźwigała ciężką torbę.

Mimo wszystko była w świetnym nastroju.

– Miałaś rację, Vonni, z tymi rybnymi knajpkami. Pozwolisz, że postawię ci coś do zjedzenia? Nie wiem tylko, jak to nazwać: późny lunch czy podwieczorek?

– Och, najchętniej zjadłabym *barbouni*! – Vonni klasnęła w rękę jak dziecko, któremu zaproponowano lody.

– Czyli barwenę, tyle to wiem. Może tutaj? Odpowiada ci?

– Wygląda wspaniale. Mam zamówić *barbouni* i frytki na dwie osoby?

– Super! I może butelkę retsiny.

– Aha... – zgodziła się Vonni cierpko.

Fiona zagryzła wargę. Co za idiotyczny pomysł! Jak można mówić coś takiego osobie, której nie wolno tknąć alkoholu...

– Albo wody sodowej... – dodała potulnie.

– Och, na miłość boską, Fiono! Napij się retsiny, masz do tego pełne prawo, a jeśli się wyłamie, to tylko dlatego, że nie gustuję w tym rozpuszczalniku do farby. Nawet w moich najgorszych dniach to paskudztwo nie przechodziło mi przez gardło, więc nie myśl, że to dla mnie pokusa.

Gawędziły swobodnie o życiu wielkiego portu, gdzie wciąż kręcą się coraz to nowi marynarze, rybacy opróżniają sieci, ze statków schodzą objuczeni plecakami studenci, a bogacze płyną eleganckimi jachtami do swoich prywatnych nabrzeży.

Tętniące życiem miejsce.

Vonni nie wspomniała nawet o tym, co się wydarzyło na posterunku. Ani o przyszłości Fiony bez Shane'a. Niech dziewczyna sama poruszy ten temat, wtedy obie podejmą go bez skrzępowania.

Kiedy nadszedł czas, by udać się na prom do Agia Anna, Fiona poprosiła o rachunek.

– *O logariasmos* – powiedział kelner, podając jej kartkę.

– Wiesz, to słowo kojarzy mi się z logarytmami przerabianymi w szkole – uśmiechnęła się.

– Wciąż jeszcze męczy się tym dzieci? – zdziwiła się Vonni.

– Nie, nie, pozwól, że zapłacę połowę.

– Może teraz już nie, w końcu minęło parę lat... Nie, Vonni, zabierz pieniądze, przecież zapłaciłaś za bilety.

– Ale mam pracę, czego o tobie nie można powiedzieć.

– Popatrz na to w ten sposób: po dzisiejszych wydarzeniach jestem o dwa tysiące euro do przodu. Zupełnie jakbym wygrała na loterii.

Uśmiechnęły się do siebie. To, co się stało, było pod wieloma względami jeszcze lepsze od wygranego losu.

Już na promie Vonni zauważyła, że Fiona kurczowo trzyma się relingu i patrzy w dal, poruszając bezgłośnie ustami. Może się modli? A może tylko o czymś intensywnie myśli. Tak czy inaczej, wyraźnie nie potrzebowała towarzystwa.

David pomagał Andreasowi w kuchni.

– Będzie mi bardzo brakowało tego wszystkiego.

– Możesz przecież gotować przez jakiś czas dla ojca.

– To nie to samo.

– Ale to nie potrwa długo, a może mu się spodobać. Bierz notes i pisz, podam ci przepis na musakę. Macie w Anglii *melitzanes*?

– Bakłazany? Tak.

– To zaraz ci pokażę, na pewno się ucieszy, jak zobaczy, że sam dla niego gotujesz.

– Tak sądzisz? – spytał z powątpiewaniem David.

– Nie sądzę, tylko wiem.

Jorgis zatelefonował z portu. Odebrał już Fionę i Vonni; powinni być w tawernie za piętnaście minut.

– Jorgis powiada, że Fiona jest w świetnej formie – oznajmił

Andreas.

– To znaczy, że wyciągnęła tego głupka z aresztu – zmar-  
twił się David.

– Wręcz przeciwnie, właśnie ci miałem powiedzieć. Wy-  
pięła się na niego! Zostawiła go w celi!

– Pewnie tylko chwilowo. Wkrótce po niego wróci.

– Raczej nie, ale pozwólmy jej samej o tym opowiedzieć,  
zgoda?

– O tak, to także moja polityka. A z Vonni jeszcze rozma-  
wia?

– Są teraz najlepszymi przyjaciółkami, według Jorgisa.  
David parsknął śmiechem.

– Ale z was fantastyczni starzy plotkarze!

– Gdybym nie mógł plotkować z własnym bratem, to z kim?  
No z kim, pytam? A teraz: gdzie masz notes? Dobrze, pisz: ki-  
logram najlepszej mielonej jagnięciny...

– Może dziś się wybierzemy do Anna Beach? – zapropono-  
wał Thomas.

– Nie, tam jest za bardzo... sama nie wiem... – wahała się  
Elsa.

– Pełno tam błyszczącego chromu, wszystko ocieka luksu-  
sem. Poza tym nie mam stamtąd dobrych wspomnień. A co po-  
wiesz na tę małą knajpkę na cyplu, gdzie się załamują fale?

Thomas nie chciał tam iść.



– Przypomina mi dzień, kiedy ten troglodyta zaatakował Fionę. Rzucił się na nią z pięściami, mógł jej połamać wszystkie kości w twarzy...

– Ale nie połamał, a teraz ona go rzuciła – pocieszyła go Elsa.

– Więc dokąd pójdziemy? Lepiej nie wystawiamy się zbytnio na widok publiczny, przecież powiedzieliśmy, że mamy się z kimś spotkać.

– To może kupimy parę kebabów i wino, a potem pójdziemy do mnie?

– Świetny pomysł. A jak Vonni nas zobaczy, to coś wymyślimy...

– Ona ma teraz dyżur w kurniku, na pewno nie przyjdzie do domu. A gdyby jednak przyszła, to jej powiemy, że nasz przyjaciel Niemiec nawalił.

– Nie! Nigdy w to nie uwierzy. Niemiec i nawalanka? Może za milion lat – zaśmiała się Elsa. – Niech to będzie raczej Amerykanin.

– Co za niesprawiedliwe, rasistowskie poglądy! Nie ma mowy, nie będę rzucał kalumni na własny naród. A może Irlandczyk?

– Nie, Vonni sama jest Irlandką, jeszcze zechce go poznać. To już lepszy Anglik.

– Jak możesz! Biedny David na pewno w życiu nikogo nie wystawił do wiatru! Ale w tych pożałowania godnych czasach

musimy sięgać po pożałowania godne środki, więc niech tak zostanie: ten cham, co sprawił nam zawód, to Anglik.

– Zostawię tylko Fionie karteczkę, że wrócę późno, i możemy iść na zakupy.

Fionę jakby coś odmieniło, wszyscy natychmiast to wyczuli. Wyprostowała plecy, chętniej się uśmiechała, straciła swój dotychczasowy lekko defensywny ton – nagle stała się taką dziewczyną, jaką zapewne była dawniej.

Krzętała się po gospodzie, pomagając przy szykowaniu wieczornego posiłku.

Przy trzech stolikach siedzieli obcy goście – wszyscy anglojęzyczni. Fiona przetłumaczyła im menu i poradziła, by zaczęli od *dolmades*, niewielkich kulek z ryżu zawiniętych w liście winorośli. Przyrządza sieje na miejscu, wyjaśniła, i są naprawdę wyśmienite.

Zaproponowała też domowe wino – dobre i niedrogie. Tak dobrze wszystko załatwiła, że Rina, dziewczyna, która pomagała Andreasowi, poszła do swoich zajęć w kuchni.

Oznaczało to, że staruszek mógł usiąść ze swoim towarzystwem i patrzeć z góry na światła Agia Anna.

– Szkoda, że nie ma Thomasa i Elsy – westchnął David.

– Och, przecież wiesz – obruszył się Andreas.

Inni nie wiedzieli, ale nie zamierzali o tym dyskutować.

– Nigdy, przynigdy nie zapomnę tego miejsca – rzekł David

przez ściśnięte gardło.

Andreas wolał nie dopuścić do nadmiernej wylewności.

– Będziesz tu często wracał, zobaczysz.

– Och tak, na pewno, ale to już nie będzie to samo.

– Słuchaj, Fiono – powiedział nagle Andreas – masz takie dobre podejście do ludzi, tak dobrze się nimi zajmujesz... Nie chciałabyś tu pracować?

– Pracować? Tutaj? – Nie wierzyła własnym uszom.

– Obserwowałem cię przy tamtych gościach. Akurat kogoś takiego potrzebuję. Mogłabyś zamieszkać w pokoju Adoniego... przecież musisz gdzieś się zatrzymać po wyjeździe Elsy.

Fiona położyła dłoń na jego rękę.

– Gdybyś zapytał mnie o to rano, skakałabym z radości. Teraz jednak podziękuję ci z całego serca, ale odpowiem: niestety, nie mogę się tego podjąć.

– Bo za daleko do miasta?

– Nie, Andreasie, wcale nie za daleko. Po prostu wyjeżdżam, wracam do Dublina.

Powiodła wzrokiem po ich zdumionych twarzach.

– Tak, myślałam o tym przez całą drogę z Aten. Przyszłam tu, żeby się z wami pożegnać.

Hannah napisała e-mail:

*Droga Elso!*

*Nie bardzo wiem, co chciałabyś usłyszeć. W każdym razie pokazałam Dieterowi Twój ostatni list. Przeczytał go uważnie i podziękował mi – bardzo uprzejmie. To dość niezwykle, jak na niego. Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć, jak również o tym, że Birgit zrobiła wszystko (no, z wyjątkiem striptizu przed jego biurkiem), aby zwrócić na siebie uwagę Dietera, ale jego to strasznie irytuje.*

*Piszę Ci to wszystko, Elso, bo uważam, że powinnaś o tym wiedzieć, zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję.*

*Oczywiście z radością Cię tu powitam, ale gdziekolwiek będziesz, zawsze pozostaniemy przyjaciółkami.*

*Uściski – Hannah.*

Thomas i Elsa skończyli posiłek i usiedli na balkonie z widokiem na dachy Agia Anna.

- Od ciebie jest ładniejszy widok – zauważył Thomas.
- Gwiazdy stąd także widać, a tylko to się liczy.
- „Czymże są gwiazdy, Joxer?” – zadeklamował z ciężkim irlandzkim akcentem.
- Czy uznasz, że się popisuję, jeśli ci powiem, skąd ten cytat?
- No, mów, zawstydzaj mnie, dołuj! – zaśmiał się Thomas.
- Z Seana O’Caseya\*.
- Brawo, Elso! Kolejna nauczycielka z powołania?
- Nie, wybraliśmy się kiedyś z Dieterem w tajną podróż do

Londynu i widzieliśmy to... Genialne!

– Pewnie nie możesz się doczekać, kiedy znów będziecie razem?

– Jest pewien problem...

– Zawsze jest jakiś, prawda?

– Tak, ale ten jest dość niezwykły: Dieter mi obiecał, że nie będzie więcej oszustw ani ukrywania się przed ludźmi. Wszystko zostanie ujawnione. – W głosie Elsy wyczuwało się wątpliwości.

– To chyba dobrze, nie? – zdziwił się Thomas.

– W zasadzie tak, ale może niezupełnie...

– Chcesz powiedzieć, że bardziej cię kręciły te wszystkie tajemnice?

– Nie, wcale nie. Ale on nigdy nie przyznał się do niczego, na przykład do tego, że ma dziecko z inną kobietą.

– Urodziła je w czasie, jak już byliście ze sobą?

– Nie, wiele lat wcześniej, ale chodzi o to, że on tej córki nigdy nie uznał.

– I z tego powodu uciekłaś?

– Nie uciekłam. Złożyłam wymówienie i pojechałam zwiedzać świat. Ale nie myślę już o Dieterze tak dobrze. Każdy, kto ma dziecko, planowane czy nie, powinien przy nim być.

\* Sean O’Casey (1880-1964) – irlandzki dramaturg o poglądach nacjonalistyczno-socjalistycznych.

– A on się z tym nie zgadza?

– Nie, i to mnie oburzyło. Nie potrafiłabym mu teraz zaufać, wstyd mi, że kocham takiego człowieka. Powiedziałam mu to wszystko.

– I co się zmieniło od tej pory? Czemu postanowiłaś do niego wrócić?

– Spotkałam się z nim tutaj, uwierzyłam, że mnie kocha i wszystko dla mnie zrobi... – Popatrzyła na niego z nadzieją, spodziewając się, że zrozumiał.

Thomas skinął głową.

– Tak, ja też bym mu uwierzył. Jeśli człowiek kogoś kocha, będzie wierzyć dosłownie we wszystko, byle tylko zatrzymać tę osobę przy sobie. Ja tak właśnie zrobiłem, więc wiem.

– W co wierzyłeś?

– Wmówiłem sobie, że Bill jest moim synem. Tak bardzo kochałem Shirley, że nie odważyłem się jej wytknąć niewierności.

– Bill nie jest twoim synem? – zdumiała się Elsa.

Zwięźle i bez emocji opowiedział jej całą historię: o badaniach stwierdzających bezpłodność, o tym, jak Shirley zaskoczyła go radosną nowiną o swojej ciąży, wreszcie o prezencie od losu w postaci uczucia, jakim obdarzył nowo narodzone dziecko, nie przywiązując wagi do biologicznego rodzicielstwa.

Nie zadał sobie trudu dociekania, kto jest prawdziwym oj-

cem chłopca. Patrząc wstecz, uważał, że postąpił słusznie, unikając dramatu. Gdyby poruszył wówczas kwestię ojcostwa Billa, prawdopodobnie straciłby do niego wszelkie prawa po rozwodzie.

– Nadal ją kochasz? Tę Shirley?

– Nie, już mi przeszło, tak jak przechodzi grypa albo letnia burza. I wcale jej nie nienawidzę. Wkurza mnie tylko, szczególnie teraz, kiedy będzie miała dziecko z Andym. Okropnie mnie irytuje sam fakt, że mogą je mieć, a poza tym, że Bill tak się ekscytuje tym nowym bratem czy siostrą...

– Podejrzewałeś kiedyś Shirley o romans?

– Nigdy, ani trochę! Ale powiedzmy sobie jasno: samo istnienie Billa świadczy o tym, iż jego matka nie należy do tych najwierniejszych kobiet. Moim zdaniem, to był taki jednorazowy skok w bok.

– Pewnie masz rację.

– Tak, ale bez względu na powody, stwierdziliśmy, że coraz mniej mamy sobie do powiedzenia. Aż w końcu wzięliśmy rozwód. – Thomas się zachmurzył.

– Znalazłeś sobie kogoś?

– Nie, i prawdę rzekłszy, nie szukałem zbyt intensywnie. Rozumiesz, bardzo mi zależy na Billu. I naprawdę mocno się zdziwiłem, kiedy przyprowadziła Andy’ego i poinformowała mnie o ich planach. Mówiła, że chce, aby wszystko odbyło się w „cywilizowany” sposób, bo nie cierpi sekretów i udawania. My-

ślałby kto – uosobienie cnoty!

– A co w tym złego? – spytała Elsa, wyczuwając ironię w głosie Thomasa.

– Och przecież były całe miesiące sekretów i udawania! Zakochani zwykle są tacy zadowoleni z siebie... myślą, że cały świat sprzyja ich planom.

Elsa milczała. Myślała o czymś i to bardzo intensywnie.

– Przepraszam, że tak gładzę – zreflektował się Thomas.

– Nie, nie, po prostu dzięki tobie coś mi się wyklarowało.

– Dzięki mnie?

– Tak. Jeśli Dieter jest cokolwiek wart jako człowiek, musi przyjąć do wiadomości, że ma córkę i oficjalnie ją uznać.

– Nawet gdyby miało to oznaczać utratę ciebie?

– Gdyby naprawdę rozumiał, że ta mała potrzebuje ojca, to by mnie nie stracił. Problem polega na tym, że on może podjąć coś w rodzaju gry. Myśli, że ja chcę tylko pierścionka z brylantem, szacunku, pozycji i tak dalej...

– W takim razie chyba za dobrze cię nie zna, co?

– Jak to?

– No bo przecież byłaś z nim przez ponad dwa lata, a on wciąż nie wie, jakie wartości są dla ciebie ważne.

– To święta prawda. On mnie w ogóle nie rozumie, ale to nigdy nie grało roli. Erotyczna strona naszego związku sprawiała, że takie sprawy zmiatało się pod dywan. A to, o czym przed chwilą wspomniałeś na temat samozadowolenia zakochanych,



którzy nie zważają na innych – też jest prawdą. Nigdy dotąd o tym nie myślałam.

– No cóż, od czego ma się przyjaciół, jak nie po to, żeby czasem błysnęli jakimś pomysłem? – roześmiał się Thomas.

– Myślisz, że powinnam dać sobie z nim spokój, tak?

– To, co ja myślę, nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma.

– No dobrze, uważam, że powinnaś być z kimś, kto by cię rozumiał, niezależnie od tych innych spraw.

– Jakich?

– Wiesz, o czym mówię: seks, miłość, wzajemny pociąg. To wszystko jest bardzo ważne, ale gdybyś miała także jego zrozumienie, mogłabyś znaleźć prawdziwe szczęście.

– A gdzie ja znajdę taki ideał?

– Cóż, gdybym znał odpowiedź, zyskałbym władzę nad światem – westchnął Thomas, podnosząc kieliszek w toaście.

Siedzieli przy stoliku w tawernie Andreasa, wciąż zaskoczeni decyzją Fiony. Rina sprzątnęła już półmiski i mieli przed sobą tylko małe filiżaneczki z kawą.

– Twoi rodzice już wiedzą? – spytał David.

– Nie, nikt jeszcze nie wie poza mną... no i wami, moimi przyjaciółmi.

Rozległ się szmer aprobaty. Wszyscy się zgadzali, że powinna wrócić do dotychczasowego życia i zawodu. O Shanie

nikt nawet nie wspomniał. Andreas wyraził przekonanie, że jej mama i ojciec oszaleją z radości. Jorgis zapytał, czy ma szansę odzyskać posadę w szpitalu, a David – czy zamierza mieszkać z rodzicami.

W dalszym ciągu ani słowa o Shanie.

Jedyną osobą, która nie brała udziału w rozmowie, była Vonni. Siedziała w milczeniu – co rzadko jej się zdarzało – i patrzyła w przestrzeń.

W końcu Fiona zwróciła się do niej wprost:

– Muszę przyznać, Vonni, że miałaś rację pod każdym względem. Chyba cię to cieszy?

– To nie jest gra o punkty, które się zyskuje albo traci. Tu chodzi o całe twoje życie, całą przyszłość.

– Tym bardziej powinnaś być zadowolona. Masz prawo powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

– Nie chcę, dość już nakłapałam dziobem, pouczając was wszystkich. I udało mi się was zezłościć. To mój wieczny problem, najlepiej zawsze wiem, co jest dla kogo dobre, z wyjątkiem siebie samej, Andreas i Jorgis to potwierdzą. Głupia Vonni, która dyryguje całym światem, a nie umie pokierować własnym życiem.

Na chwilę zapadła cisza, po czym odezwał się Jorgis:

– Na pewno dobrze pokierowałaś życiem naszej Christiny. Nigdy by się nie pozbierała, gdyby nie ty.

– I codziennie, przez okrągły rok, ulepszasz czyjeś życie:

zmusiłaś Marię do nauki jazdy, opiekujesz się dziećmi, odwiedzasz chorych. Dla mnie to nie jest ani głupota, ani tyrania – zauważył Andreas.

– Nigdy bym się nie dowiedział, że mój ojciec umiera, gdyby nie ty – dodał David. – Pomyśl o wyrzutach sumienia, jakie dręczyłyby mnie do końca życia.

– A dziś pojechałaś ze mną do Aten i ani razu nie próbowałaś podsuwać mi właściwej decyzji. Wcale nie uważam, że się mieszałaś w nie swoje sprawy. Po prostu tak się złożyło, że miałaś rację – poparła go Fiona. – I na premie zostawiłaś mnie z moimi myślami. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Vonni wodziła wzrokiem po ich twarzach. Miała serce tak przepełnione wzruszeniem, że bała się odezwać. W końcu udało się jej wykrztusić dwa irlandzkie słowa:

– *Slan abhaile.*

– Co to znaczy? – spytał David.

– Bezpieczny dom – przetłumaczyła Fiona.

Thomas i Elsa gawędzili na balkonie jak starzy przyjaciele. Nie do uwierzenia, że znali się zaledwie od kilkunastu dni, a nie lat. Wyznali sobie swoje najgłębsze sekrety.

– Więc wrócisz na długo przed upływem roku, zanim Shirley urodzi dziecko? – spytała Elsa.

– A sądzisz, że powinienem? – Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Zaraz, zaraz. Ja nikomu nie mówię, co ma robić. Pamiętasz, jacy wszyscy byliśmy wściekli na Vonni, kiedy próbowała nami dyrygować? Poza tym ty mi niczego nie doradzałeś.

– To co innego. Ja sam cię poprosiłem i naprawdę zależy mi na twoim zdaniu.

– No dobrze. Myślę, że kochasz Billa, a Bill kocha ciebie. W życiu bardzo trudno o szczerą, bezinteresowną miłość, dlatego byłoby wielkim marnotrawstwem, gdybyś pozostał tak daleko od syna. Ty wcale się nie starasz wyrzucić go z pamięci i żyć po swojemu, przeciwnie, wciąż się o niego troszczysz. Więc dlaczego nie miałbyś zamieszkać w pobliżu, tak aby chłopiec mógł cię odwiedzać i widzieć, że ojciec go kocha? Będzie zażdrosny o to nowe dziecko, a u ciebie czułby się najważniejszy.

Thomas słuchał bacznie.

– Kiedyś rzeczywiście była to szczerą, bezinteresowną miłość, ale później, kiedy dostałem obsesji na punkcie Andy’ego, sam ją zepsułem... – Wyglądał na mocno przygnębionego.

– Więc może spróbuj wszystko z powrotem posklejać, póki całkiem się nie rozsypie – zasugerowała Elsa.

– Głowa się z tobą zgadza, ale w głębi serca boję się, że wszystko jeszcze bardziej pogmatwam. Może naprawdę lepiej będzie, jeśli zejść mu na jakiś czas z drogi? I jemu, i mnie może to wyjść na dobre.

– No cóż, znam cię już na tyle, by wiedzieć, że na pewno dojdiesz do właściwego wniosku. Jednak zanim wyjedziesz,

podpowiedz mi, proszę, co mam zrobić z tym bałaganem w swoim życiu?

– Powiem ci tak: można uwolnić się od miłości do kogoś i mam nadzieję, że rozważasz taką możliwość.

– Ale dlaczego? Czemu chcesz, aby to się skończyło? Jesteś moim przyjacielem, zależy ci na moim szczęściu tak samo, jak mnie na twoim! Wiesz, że Dieter jest miłością mojego życia, więc...

– Spytałaś mnie, co myślę, a ja ci odpowiedziałem – odparł prosto Thomas.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbyś tego chcieć?

– Bo wtedy mógłbym cię pocieszać. Gapiła się na niego z otwartymi ustami.

– Thomas, to nieprawda! Jesteśmy kumplami, przyjaciółmi! Nic więcej do mnie nie czujesz, to tylko wino i gwiazdy!

– Nigdy nie myślałaś o mnie w ten sposób? – spytał, przechylając głowę na bok.

– Owszem, myślałam, o ile łatwiej byłoby kochać takiego łagodnego, troskliwego mężczyznę jak ty, zamiast nieobliczalnego, apodyktycznego Dietera. Tylko że często zdarza mi się fantazjować leniwie o czymś, co nigdy się nie zdarzyło... co nie mogłoby się zdarzyć.

– W porządku, w takim razie powinnaś do niego wrócić. Jutro, bo po co zwlekać?

– Łatwo dajesz za wygraną...

– Daj spokój, Elso, popełniłem błąd. Z czystej kurtuazji wziąłem pod rozwagę to, o co prosiłaś. Ale ty nie zamierzasz słuchać moich rad.

– Tylko się z tobą drocę...

– Więc przestań.

Elsa uderzyła w skrucę.

– Wiem, jestem jak te feministki, które wściekają się, kiedy mężczyzna ustępuje im miejsca, a jeszcze bardziej, jeśli tego nie zrobi. Próbuję różnych gierek, bo nie mam pojęcia, co z sobą począć. Wiem, co ty powinienesz zrobić – to zupełnie oczywiste. A także wszyscy pozostali: Dieter, David, Fiona, Andreas, Vonni... Tylko nie widzę drogi dla siebie.

– A Vonni? Co ona powinna? – zainteresował się Thomas.

– Powinna zmusić Andreasa i Jorgisa, żeby odnaleźli jej syna i wytłumaczyli mu, jak bardzo się zmieniła. Na pewno wróciłby wtedy do domu.

Thomas uśmiechnął się ciepło.

– Elsa bojowniczką – mruknął z czułością, gładząc jej dłoń.

W tawernie rozmawiano na temat powrotnej podróży Fiony i o tym, kiedy powinna wyjechać.

– Może wybierzesz się ze mną jutro ostatnim promem? – zaproponował David. – Razem będzie nam różniej i nawet możemy polecieć jednym samolotem do Londynu.

– Niezły pomysł, przynajmniej nie będzie tak ciężko się ze-

gnąć.

– To tylko na jakiś czas – pocieszała ich Vonni. – Na pewno jeszcze do nas przyjedziecie, oboje macie tu przyjaciół.

– Jutro zajrzę do Eleni pożegnać się i podziękować za wszystko. Muszę także wpaść do doktora Lerosa – oznajmiła Fiona.

– A ja zabieram Marię na ostatnią lekcję. Powiem jej, że teraz przejmiesz ją ty, dobrze, Vonni?

– Jak tam ostatnio z jej koordynacją ruchów?

– Znacznie się poprawiła – uspokoił ją David. – I w ogóle Maria jest super, tylko postaraj się na nią nie krzyczeć, niech nabierze pewności siebie.

– W takich warunkach to każdy jest super – burknęła Vonni.

– Zawiadomiłaś już swoich w Irlandii, że wracasz? – spytał Andreas.

– Jeszcze nie, zadzwonię jutro z Anna Beach.

– Skorzystaj z mojego telefonu – zaproponował, tak samo jak w dniu katastrofy.

– To będzie bardzo krótka rozmowa – zapewniła go Fiona. – Z moją przyjaciółką Barbarą. Wielkie dzięki, Andreasie! – I pobiegła do kuchni.

– Jak to się stało, że wy, młodzi, nie macie telefonów komórkowych? – zdziwił się Jorgis.

– Rzeczywiście to coś niespotykanego. Nikt z nas czworga nie ma działającej tutaj komórki.

– Nie widzę w tym nic niezwykłego – powiedziała Vonni. –  
Wszyscy od czegoś uciekliście, więc po co wam telefon? Żeby  
tym łatwiej was namierzyli?

– Barbara?

– Boże Wszechmogący! Fiona?!

– Barbaro, wracam do kraju!

– No, to naprawdę wspianiała wiadomość! Kiedy tu będzie-  
cie?

– Nie my, tylko ja sama.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Shane jeszcze tam zostaje?

– W pewnym sensie tak.

– Cóż, szkoda...

– Ale z ciebie hipokrytka, Barbaro! Przecież jesteś zachwy-  
cona!

– To niesprawiedliwe z twojej strony! Jak mogę się cieszyć,  
skoro moja przyjaciółka się martwi?

– Wcale się nie martwię... Mogłybyśmy razem zamieszkać?

– Oczywiście, zaraz zacznę czegoś szukać.

– Super, a mogłabyś szepnąć słówko moim rodzicom?

– Jasne, a konkretnie, co mam im powiedzieć?

– Ze wracam. – Fiona nie rozumiała, że w ogóle jest o co  
pytać.

– No tak, ale wiesz, jacy są ci starsi. Zaraz zaczną się pyta-



nia...

– Wymyśl byle co! – rzuciła lekko Fiona.

Thomas odprowadził Elbę do pawiloniku i pocałował ją w policzek.

– *Schlafgut.*

– Uczysz się niemieckiego, żeby zrobić na mnie wrażenie?

– Och, obawiam się, że powiedzieć: „Spij dobrze”, to o wiele za mało, żeby cię oczarować. Musiałbym jeszcze...

– No, no? Słucham!

– Stać się nieobliczalny i apodyktyczny. Zresztą mogę spróbować, ale zabrałoby mi to dużo czasu.

– Wolę cię takiego, jaki jesteś, naprawdę. Do zobaczenia w południe w porcie.

– Więc nie wrócisz do tej pory do Niemiec?

– Ani ty do Kalifornii?

– Dobranoc, piękna Elso – pożegnał ją i odszedł.

W mieszkaniu była już Fiona i pakowała walizkę.

– Zanim cokolwiek powiesz, chcę cię przeprosić – powiedziała do Elsy. – Zachowałam się niewłaściwie, prosząc cię o pożyczkę i w ogóle...

– Nic nie szkodzi, zresztą ja też potraktowałam cię za ostro i to ja ciebie powinnam przeprosić.

– Teraz to już bez znaczenia. Skończyłam z Shane'em i

wracam do Dublina. Popatrzyłam na niego i nagle zrozumiałam, jaka przyszłość mnie z nim czeka i że nie warto tego ciągnąć. Pewnie powiesz albo pomyślisz, że to nie mogła być prawdziwa miłość, skoro tak szybko minęła.

– Nic podobnego, na pewno była prawdziwa – pocieszała ją Elsa. – Ale jak powiedziałaś, skończyła się, i teraz będzie ci łatwiej żyć.

– Nie rzuciłam go, żeby mieć łatwiejsze życie – tłumaczyła Fiona. – Po prostu zobaczyłam go w innym świetle, prawdopodobnie takim jak wy wszyscy, a potem już poszło gładko. Oczywiście przykro mi, że okazał się inny, niż myślałam. To nie jest tak jak z tobą.

– Czemu tak mówisz?

– Cóż... Shane tylko tolerował moje przywiązanie. A Dieter błaga cię, żebyś wróciła, obiecuje się zmienić ze względu na ciebie. To jest prawdziwa miłość.

Elsa nie podjęła tematu.

– Co ostatecznie sprawiło, że odeszłaś od Shane'a?

– Chyba jego obojętność. Wyraźnie nic go nie obchodziłam.

– Wiem, co masz na myśli. – Elsa pokiwała wolno głową.

– Nie możesz wiedzieć! Twój facet gotów błagać na kolana, żebyś do niego wróciła! To całkiem co innego!

– To, co powiedziałaś na temat obojętności, wydaje się bardzo adekwatne do mojej sytuacji. Idę na balkon, pogapić się na morze, przyłączysz się do mnie?

– Nie, Elso, jestem wykończona. Odbyłam dziś podróż do Aten i z powrotem, całkowicie odmieniłam bieg mojego życia... Muszę postarać się zasnąć.

Elsa długo jeszcze siedziała, patrząc na morze zalane księżycowym blaskiem, po czym wróciła do pokoju, wyjęła papier i zaczęła pisać list, który zamierzała wysłać faksem następnego dnia.

*Moja droga Hannah!*

*Byłaś taką dobrą, bezinteresowną przyjaciółką. O nic nie prosiłaś, zawsze chętnie mnie wysłuchiwałaś. Okazało się, że przyjeżdżając tutaj, podjęłam dobrą decyzję. Jeszcze lepiej się stało, że spotkałam znów Dietera, i teraz jestem w stanie podjąć decyzję opartą na rozsądku, a nie na jakichś fantazjach. Wciąż nie jestem pewna, co zrobię, ale posiedzę jeszcze kilka dni na tej spokojnej wyspie, a wszystko się wyjaśni. Usłyszałam dziś wieczorem dwie ważne rzeczy. Pewien Amerykanin powiedział mi, że możemy zostawić niektórych ludzi za sobą, tak jak potrafimy pozbyć się męczącego kaszlu. Potem dziewczyna z Irlandii tłumaczyła mi, że mam szczęście, bo Dieter obiecał się zmienić dla mnie. A ja się zastanawiam, dlaczego mielibyśmy kogoś zmieniać. Albo kochamy ludzi takimi, jacy są, albo idziemy dalej.*

*Jest późna noc, piszę ten list przy świetle księżycy. Długo myślałam o moim życiu z Dieterem, nigdy dotąd mi się coś takiego nie zdarzyło. Weszłam w ten związek, traktując go jako*

*ucieczkę. Naprawdę miałam od czego uciekać. Mój ojciec wyprowadził się z domu, kiedy byłam dzieckiem. Ciągle miałam nadzieję, że kiedy zobaczy mnie w telewizji, zechce nawiązać kontakt, ale tak się nie stało. Z matką nigdy nie byłam blisko, może dlatego, że okazałyśmy się za bardzo do siebie podobne – zawsze dążymy do doskonałości.*

*Ale podczas tygodni spędzonych w podróży uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie ma perfekcyjnego życia, więc trzeba przestać go szukać. Poznałam też wielu ludzi z problemami znacznie większymi od moich. Dziwne, ale mnie to uspokoiło.*

*Myślałam także o Tobie, Hannah, i o Twoim szczęśliwym małżeństwie z Johannem. Pięć lat temu, w dniu Waszego ślubu, powiedziałaś, że nie chciałabyś niczego w nim zmieniać.*

*Zazdroszczę Ci tego, moja bardzo kochana przyjaciółko.  
Serdeczności – od Elsy.*

## Rozdział 16

Miriam Fine przygotowała pokój Davida, kupiła nową, pikowaną narzutę w kolorze bzu i takie same zasłony, położyła fioletowe ręczniki.

– Ładne, w sam raz dla mężczyzny – orzekła. – Mam nadzieję, że mu się spodobają.

– Nie rób tyle zamieszania, on tego nie cierpi – zwrócił jej uwagę mąż.

– Ty mi mówisz o zamieszaniu?! A co ty sam zrobisz, może mi powiesz? Co zrobisz, kiedy zobaczysz go w drzwiach?

– W każdym razie nic, co by go zdenerwowało.

– Zaczнешz gadać o odpowiedzialności. A jeśli jest coś, co z całą pewnością go zdenerwuje, to właśnie to!

– Nie, nie wspomnę o tym ani słowem. Przecież wreszcie przejrzał na oczy i porzucił te swoje mrzonki.

– On wraca z powodu twojej choroby, Haroldzie. Sam się tego domyślił, widziałeś mój list do niego – nic mu nie napisałam.

– Nie potrzebuję jego współczucia. Nie zniosę litości! – Oczy Harolda napełniły się łzami.

– Ale może przyda ci się jego miłość. Przecież on właśnie dlatego wraca: bo cię kocha.

Ojciec Fiony przekręcił klucz w zamku. Miał za sobą długi, męczący dzień w biurze. Zaledwie tydzień minął od jego pięćdziesiątych urodzin, a czuł się jak osiemdziesięcioletni starzec. Plecy go bolały i zupełnie zeszywniały. W biurze młodzi deptali mu po piętach, obawiał się, że przy następnych awansach zostanie pominięty.

Kusiło go, by pójść do pobliskiego pubu i wypić ze trzy kufle piwa, ale uświadomił sobie, że Maureen czeka z kolacją. Nie warto zawracać sobie głowy.

Ledwie otworzył drzwi, wybiegła mu na spotkanie.

– Sean, nigdy nie uwierzysz! Fiona wraca! Już w tym tygodniu! – Maureen nie posiadała się z radości.

– Skąd wiesz?

– Barbara do mnie dzwoniła.

– Czy temu typowi nie udało się wyłudzić tam zasiłku? Dlatego właśnie wracają? – burknął zrzędlawie Sean.

– Nie, daj mi skończyć! Ona go rzuciła! Wraca do domu sama! Sean odłożył teczkę i wieczorną gazetę, po czym usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

– Dzisiaj przy lunchu ktoś mnie zapytał, czy moim zdaniem istnieje jakiś Bóg. Kazałem chłopakowi wydorośleć: jasne, że nie ma. Jaki Bóg pozwoliłby na ten cały chaos i zamęt? Ale teraz chyba muszę przemyśleć moje poglądy. Może ktoś tam jednak jest na górze? Ona naprawdę wraca?

– Jutro albo pojutrze. Prosiła Barbarę, żeby nas zawiadomi-

ła. Chce wrócić do dawnej pracy.

– No, to rzeczywiście fantastyczna nowina. Dziewczynki już wiedzą?

– Nie, chciałam tobie pierwszemu powiedzieć.

– I pewnie już przygotowałaś jej pokój? – Uśmiechnął się blado.

– Nie, a wiesz, dlaczego? Bo Fiona chce zamieszkać z Barbarą.

– Cóż, chyba to w porządku?

– Myślę, że dla niej jak najlepiej... – Matka Fiony miała łzy w oczach.

– Bill, niespodzianka! – zawołał Andy. – Zabieram was na wyprawę!

– No fajnie, a dokąd?

– Pamiętasz, co mówiła twoja babcia? Ze jedzie na zbiorową wycieczkę do Wielkiego Kanionu?

– Taaak? – Billowi rozbłysły oczy. Tata często opowiadał mu o Wielkim Kanionie, pokazywał zdjęcia i obiecywał, że kiedyś się tam wybiorą. – To znaczy, że my także jedziemy? – Chłopiec był w siódmym niebie.

– Powiedziałem Shirley, że skoro zawsze chcieliśmy się tam wybrać, to możemy tak zrobić, abyś przy okazji spotkał się z babcią.

– I co mama na to?

– Ze jestem bardzo dobry, co mnie ucieszyło. Ale nie robię tego z dobrego serca, tylko wydaje mi się, że wszystkim nam będzie fajnie.

– Naprawdę jesteś dobry, Andy.

– Wiesz, że bardzo cię lubię, Bill. A kiedy urodzi się dziecko, będę tak samo szczęśliwy jak ty. Bo będę miał już dwoje dzieci do kochania.

– Dlaczego masz być taki szczęśliwy jak ja?

– Masz dwóch ojców, nie? I skoro o tym mowa, to powinieneś zadzwonić do Grecji i zawiadomić tatę, że jedziesz na wycieczkę.

Bill wybrał numer w Grecji, ale zgłosiła się tylko automatyczna sekretarka.

Zostawił wiadomość:

– Tato, Andy zabiera nas do Arizony do Wielkiego Kanionu. Będziemy przejeżdżać przez Sierra Nevada i spotkamy się tam z babcią, ona jedzie ze swoim klubem książki. Andy mówi, że będę mógł stamtąd do ciebie zadzwonić i razem z babcią powiemy ci „halo”.

Andy wyjął mu telefon z ręki.

– Thomas, na wypadek gdybyś nie odebrał tej wiadomości przed naszym wyjazdem, a chciał się skontaktować z Billem, podaję ci numer mojej komórki. Postaram się wszystko mu pokazać we właściwy sposób, mamy atlas, ale pewnie sporo jeszcze zostanie do opowiadania. Może mógłby pojechać tam po raz



drugi z tobą, kiedy już wrócisz.

– Jeśli w ogóle wróci – wtrącił Bill, zanim Andy odłożył telefon. Ponieważ połączenie nie zostało przerwane, uwaga Billa zdażyła się nagrać i Thomas usłyszał ją wraz z całą wiadomością, kiedy, odprowadziwszy Elbę, wrócił do siebie i uruchomił sekretarkę.

Długo potem siedział, zastanawiając się nad światem. W pewnej chwili zobaczył, że wokół kurnika przesuwają się promienie latarki. Miał więc rację, przypuszczając, że Vonni nie przyjdzie na tę noc do gościnnej sypialni. Myślał o dziwnym, pełnym udreki życiu tej kobiety wśród mieszkańców Agia Anna...

Myślał o pięknej, inteligentnej Elsie, która wróci do tego samolubnego Niemca, traktującego ją jak trofeum.

Myślał o prostym, uczciwym Andym, człowieku, o którym zawsze mówił źle.

A tymczasem on starał się, jak mógł najlepiej.

Myślał o swoim Billu, który się bał, że ojciec może nie wrócić.

Siedział tak i myślał, póki gwiazdy nie pobladły i nad wzgórzami nie zaczęło szarzyć niebo.

Spotkali się na ostatnim lunchu w knajpce z obrusami w niebieską kratkę.

– Tak często tu przychodzimy i nawet nie znamy nazwy tej kafejki – zauważyła Fiona w zamyśleniu.

– Nazywa się Północ – pośpieszył z odpowiedzią David. –

Popatrzcie na litery. – I przeczytał wolno: – *Mesanihta*.

– Jakżeś to wykombinował? – spytała Elsa.

Pokazał jej znów po kolei każdą grecką literę: ta, która przypomina V, to naprawdę jest N.

– Byłby z ciebie świetny nauczyciel, Davidzie – pochwaliła go z przekonaniem.

– Nie wiem... Mam zbyt wiele wątpliwości...

– Dla nauczyciela to tym lepiej – rzekł Thomas.

– Tak bardzo będzie mi was brakowało – zmienił temat David. – W kraju nie mam wielu przyjaciół.

– Ja też nie, ale naprawdę bym się zdziwił, gdybyś ty szybko ich sobie nie znalazł. I nie zapominaj, ilu kolejnych zyskasz dzięki lekcjom jazdy.

– Tutaj to łatwe, gorzej na angielskich autostradach. Raczej nie założę własnej szkoły.

– A ty, Elso, dużo masz przyjaciół w Niemczech? – spytała Fiona.

– Nie, mam mnóstwo znajomych, ale tylko jedną prawdziwą przyjaciółkę: Hannah. Kiedy człowiek znajdzie się na ścieżce sukcesu, a przynajmniej tak mu się wydaje, i musi być bez przerwy dyspozycyjny, to nie ma czasu dla przyjaciół – wyjaśniła z żalem Niemka.

Wszyscy pokiwali głowami; łatwo to zrozumieć...

Fiona oznajmiła, że zamierza pojechać z Davidem do jego rodziców. Pomoże mu przebrnąć przez pierwsze chwile po po-

wrocie, spróbuje wyjaśnić, dlaczego tak go zafascynowało życie na czarodziejskiej wyspie.

– Jak u Lotofagów – zauważyła Elsa.

– Elsa się popisuje znajomością angielskiej literatury. – Thomas obrzucił ją czułym spojrzeniem.

– To z Tennysona – uśmiechnęła się, ignorując jego uwagę.  
– Kiedy żeglarze przybyli na wyspę Lotofagów, gdzie wydawało się, że zawsze jest po południu, i spróbowali nektaru z kwiatów lotosu, jeden z nich powiedział: „Ach, odpocznijcie, bracia marynarze, już nie będziemy więcej wędrowali”\*. To miejsce wywarło na nas podobny wpływ.

\* Alfred Tennyson, fr. poematu „Lotofagowie”.

– Ale Fiona i ja mimo to wyjeżdżamy.

– Wróćcie tu pewnego dnia. Teraz nie jest tak jak w czasach Tennysona, kiedy nie było tanich biletów lotniczych, zresztą nie tylko tanich – pocieszał ich Thomas.

– Marzę, aby zabrać tu moją Barbarę, ale bez was nie będzie już tak samo – wyznała Fiona.

– Vonni zawsze tu będzie. A także Andreas, Jorgis, Eleni i mnóstwo znajomych. – Thomas zawsze dostrzegał jasną stronę wszystkiego.

– Długo tu jeszcze zostaniesz, Thomas?

– Nie, raczej nie. Myślę, że już wkrótce wrócę do Kalifornii – odrzekł, patrząc w dal.

Nie wypytywali go dłużej; było oczywiste, że nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji.

– A ty, Elso, kiedy wyjeżdżasz do Niemiec? – David delikatnie odwrócił ich uwagę od Amerykanina.

– Nie wyjeżdżam – odpowiedziała krótko.

– Zostajesz tutaj? – zdumiała się Fiona.

– Jeszcze nie wiem na pewno, ale nie wrócę do Dietera.

– Kiedy to postanowiłaś? – Thomas pochylił się do przodu, patrząc na nią w napięciu.

– Dziś w nocy, kiedy siedziałam na balkonie i spoglądałam na morze.

– A zawiadomiłaś o tym kogoś? Na przykład samego Dietera?

– Napisałam do niego. Wrzuciłam list do skrzynki rano, po drodze na nasze spotkanie. Powinien go dostać w ciągu kilku dni. Teraz mogę skupić się całkowicie na tym, dokąd się udać. – Uśmiechnęła się do Thomasa tym swoim ciepłym, leniwym uśmiechem, za który uwielbiali ją widzowie w całych Niemczech.

– Nie idziesz do *Mesanihta* pożegnać się z nimi? – spytał Andreas, zajrzawszy do sklepu Vonni.

– Nie, dość już napsułam im krwi podczas pobytu na wyspie. Pozwolę im wyjechać w spokoju – odrzekła, nie podnosząc głowy.

– Trudna z ciebie kobieta Vonni, kolczasta jak ciernisty

krzew. I David, i Fiona mówili wczoraj, jak bardzo są ci wdzięczni... – Andreas pokręcił głową, nic z tego nie rozumiejąc.

– Owszem, byli bardzo grzeczni, podobnie jak ty i Jorgis, za co bardzo wam dziękuję. Nawiasem mówiąc, ochota na alkohol minęła jak letnia chmura. Ale jest jeszcze druga para – Thomas i Elsa. Naprawdę działałam im na nerwy, dlatego nie chcę siedzieć tam i skrzeczeć jak jakaś stara wiedźma. Ty i ja nasłuchaliśmy się przed laty mnóstwa rad, lecz czy kiedykolwiek się do nich zastosowaliśmy? Odpowiedź brzmi: „nie”.

– A co byś zmieniła, gdyby pozwolono ci przeżyć życie jeszcze raz?

Andreas wkroczył tym pytaniem na obce sobie terytorium. Zwykle zostawiał rzeczy takimi, jakie były, bez zbędnych pytań i analizowania.

– Podjęłabym walkę o Stavrosa z Magdą. Wtedy bym może nie wygrała, ale później mogłabym. Wróciłby do mnie, gdyby się nią znudził. I oczywiście postawiłabym się Stavrosowi w sprawie stacji benzynowej. Tutejsi ludzie są sprawiedliwi, dowiedzieliby się, że kupiłam mu ją z własnych pieniędzy. Mogłabym wychować syna... Ale nie, musiałam wymyślić, że rozwiązanie leży na dnie butelki *raki*. No i nic z tego nie wyszło.

– A czy ktoś w tym czasie dał ci taką właśnie radę? – spytał łagodnie Andreas.

– Tak, ojciec doktora Lerosa i twoja siostra Christina, ale ja

widziałam już tylko alkohol i nie chciałam ich słuchać.

– Nie zapytałaś, co ja bym zmienił, gdybym dostał taką szansę...

– Pewnie nie dopuściłbyś do wyjazdu Adoniego. Mam rację?

– Tak, oczywiście powinienem tak postąpić. Ale czy posłuchałbym czyjejs rady? Raczej nie... – Miał w oczach głęboki smutek. – A poza tym dwadzieścia pięć lat temu powinienem był cię poprosić o rękę.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Andreasie! Nie mówisz tego na serio! Nigdy nie czuliśmy do siebie niczego, co choćby z daleka przypominałoby miłość!

– I co z tego? Mojej żony też nie kochałem, przynajmniej nie w jakimś realnym sensie. Nie tak jak się to opisuje w książkach czy śpiewa w piosenkach. Owszem, dobrze nam się układało i lubiliśmy swoje towarzystwo. Ty i ja także bylibyśmy znakomitymi przyjaciółmi.

– I jesteśmy nimi, Andreasie – odrzekła słabym głosem.

– No tak... ale wiesz...

– Nie, z tej mąki nie byłoby chleba, ani przez pięć minut, możesz mi wierzyć. W tym wypadku postąpiłeś słusznie. Bo widzisz, ja kochałam Stavrosa właśnie w taki sposób, o jakim czyta się w książkach, śpiewa i marzy. Nigdy w życiu nie zdecydowałabym się na inny rodzaj miłości.

Mówiła bardzo rzeczowo, kierując rozmowę z powrotem na

normalne tory.

– A więc dobrze się stało – stwierdził Andreas.

– Zdecydowanie. I wiesz co? Naprawdę mówiłam serio, że Adoni przyjedzie do ciebie. Ja to po prostu wiem.

Pokręcił bezradnie siwą głową.

– Nie, nie. To tylko życzenie, taka bajka dla dzieci.

– On ma trzydzieści cztery lata. Napisałeś do niego i zobaczysz, że wróci.

– To dlaczego nie zadzwonił ani nie odpisał?

Wolał nie mówić Vonni o tajemniczym telefonie, z którego wynikało, że Adoni powinien już tu być. Może to pomyłka czy nieporozumienie, Andreas nie chciał rozbudzać nadziei ani w sobie samym, ani w Jorgisie. Ale chociaż Vonni nic o tym nie wiedziała, jej wiara była niewzruszona.

– Potrzeba mu trochę czasu, Andreasie. To daleka podróż, musi wszystko zorganizować. Ale przyjedzie.

– Dziękuję, Vonni, naprawdę dobry z ciebie kompan. I Andreas głośno wydmuchał nos.

– Hej, Dimitri?

– Tak? – Głos policjanta brzmiał chłodno. Dimitri nigdy dotąd nie widział tak brutalnego ataku na spokojną dziewczynę, która przyjechała odwiedzić tego Shane’a w jak najlepszej wierze, ofiarowując mu miłość.

– Mogę napisać list?

– Zaraz dam ci papier.

Zaglądał od czasu do czasu do celi. Shane pisał, myślał, pisał na nowo, wreszcie skończył i poprosił o kopertę.

– Sami włożymy list do koperty – oznajmił Dimitri. – Powiedz tylko, dokąd mamy go wysłać.

– Jeszcze czego! Prędzej szlag mnie trafi, niż dam wam przeczytać mój list!

Dimitri wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz. – I wyszedł.

Parę godzin później Shane zawołał go znowu. Dimitri zapisał adres: tawerna Andreasa, Agia Anna.

– A to ciekawe! – wykrzyknął.

– Chciałeś pieprzonego adresu, to teraz się nie czepiaj.

– Nie czepiam się... tylko po prostu znam syna tego faceta. Kumplowałem się z tym Adonim.

– Co ty powiesz? Cóż, jego ojciec nie najlepiej o nim mówi.

– Poróżnili się o coś, tak bywa między ojcami a synami – odrzekł z wielką godnością Dimitri.

Uzgodnili, że spotkają się przy promie na pół godziny przed wyjściem w morze. Z kafejki o znajomej teraz nazwie Północ rozeszli się każdy w swoją stronę.

Fiona i David udali się na pożegnalne wizyty, podczas których obsypano ich podarunkami.

Maria upiekła Davidowi ciasto i poprosiła, aby zabrał je dla rodziców.



Jorgis podarował im „paciorki na nerwy” z bursztynowego szkła.

Andreas miał dla Davida ich wspólne zdjęcie oprawione w rzeźbioną drewnianą ramkę.

Doktor Leros dał Fionie kilka kolorowych kafelków z greckimi widoczkami do zawieszenia na ścianie.

I tylko Vonni nie mogli nigdzie znaleźć. W domu jej nie było.

– Przyjdzie nam pomachać – domyślił się David.

– Ostatnio bardzo posmutniała – zauważyła Fiona. – Straciła tę swoją iskrę w oczach.

– Może ci zazdrości, że wracasz do Irlandii? – przypuszczał David. – Ona nigdy się na to nie zdobędzie.

– Przecież sama mówiła, że wszystko obróciło się na dobre. Przeżyła długi romans, urodziła syna... Zawsze to jakieś osiągnięcie.

– A gdzie jest teraz ten syn?

– Podobno Vonni nie wie, ale założę się, że to nieprawda.

– Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby wrócił? Gdyby na przykład spotkał się w Chicago z Adonim i obaj postanowili znów połuścić się na starym drzewie przy tawernie...

– No proszę, a mówi się, że to Irlandczycy są sentymentalni i opowiadają bajki!

Fiona parsknęła śmiechem i poklepała Davida po ramieniu na znak, że śmieje się z nim, a nie z niego.

– Ale z ciebie czarny koń, Elso! – Thomas cmokał z dezaprobatą, kiedy szli razem przez miasto. – Nawet się nie zająknęłaś o tych wszystkich planach!

– Przecież ci powiedziałam.

– Tak, przy wszystkich!

– Bo akurat byliśmy wszyscy razem, kiedy ten temat wypłynął. – Elsa nie wykazywała ani śladu skruchy.

– A ja myślałam... Zdawało mi się, że dyskutowaliśmy o tych sprawach tylko między sobą...

– Owszem i sprawiło mi to wiele przyjemności.

– Dokąd tak się śpieszysz? Ja osobiście miałbym chęć na sjęstę. Elsa się roześmiała.

– Dokąd idę? Muszę poszukać Vonni.

Vonni nie było ani w kurniku, ani w sklepie, ani na posterunku.

Elsa postanowiła pójść w stronę domku staruszka, który nie wierzył w medycynę. Może tam ją znajdzie.

Słońce stało wysoko, więc włożyła biały płócienny kapelusz, aby ochronić się przed żarem. Na piaszczystą drogę wybiegły z domków dzieci i pozdrowiały ją, to wysuwając, to chowając paluszki.

– *Yassa!* – wołały, kiedy je mijała.

Elsa żałowała, że nie ma żadnych cukierków – *karameles*,

jak je nazywały. Ale przecież nie spodziewała się takiego komitetu powitalnego.

Zapamiętała domek staruszka. Odgrzebała w pamięci kilka greckich zdań, chcąc zapytać właściciela o swą przyjaciółkę, jednak okazało się, że nie trzeba. Vonni we własnej osobie siedziała przy łóżku, trzymając go za rękę.

Widok Elsy nie zaskoczył jej ani trochę.

– Umiera – oświadczyła rzeczowo.

– Czy mam sprowadzić lekarza?

– Nie, nie wpuściłby go za próg. Ale mu powiedziałam, że jesteś zielarką, więc przyjmie, co mu dasz.

– Vonni! Nie wolno ci tego robić – przestraszyła się Elsa.

– Więc ma umrzeć w bólach?

– Nie, ale nie możemy igrać z czyimś życiem.

– Zostało mu najwyżej sześć, siedem godzin. Jeśli chcesz pomóc, to przejdź się do doktora Lerosa, pamiętasz chyba, gdzie mieszka. Opisz mu sytuację i poproś o morfinę.

– A czy nie muszę mieć...

– Nie, niczego nie potrzebujesz. Zajdź także do mojego sklepu i weź glinianą miskę. Tylko się pośpiesz.

Kiedy szła z powrotem piaszczystą drogą, z tyłu nadjechał stary van. Elsa go zatrzymała i wyjaśniła, że musi dostać się do lekarza. Dwaj mężczyźni obrzucili ją pełnym podziwem spojrzeniem i podwieźli skwapliwie pod same drzwi. Zgodnie z przewidywaniami Vonni, bez problemu otrzymała narkotyki. Męż-

czyżni z vana cierpliwie czekali, aż znajdzie miskę, po czym odwieźli Elbę z powrotem.

– To się nazywa tempo – pochwaliła ją Vonni.

Elsa ujęła wychudłą dłoń staruszka i powtarzała raz po raz:

– *Dhen ine sovaro, dhen ine sovaro*. To nic poważnego, to nic poważnego.

Vonni rozkruszyła w misce tabletki morfiny, zmieszała je z miodem i podała choremu łyżeczką.

– Lepszy byłby zastrzyk, bo szybciej działa, tylko że on nie chciałby o tym słyszeć – mówiła z ponurą miną.

– Jak szybko poczuje ulgę?

– Za kilka minut. To naprawdę magiczny środek. Staruszek coś wymamrotał.

– Co powiedział?

– Ze zielarka jest bardzo piękna – odparła Vonni z krzywym uśmiechem.

Elsa posmutniała.

– Wolałabym, żeby tego nie mówił.

– Daj spokój, on już nic więcej nie zobaczy poza naszymi twarzami. Czy nie lepiej, żeby zachwycił się twoją?

– Vonni, proszę... – Elsa miała łzy w oczach.

– Jeśli chcesz mu pomóc, to się uśmiechaj. Lada chwila przestanie odczuwać ból.

I rzeczywiście twarz chorego straciła wyraz napięcia, a uścisk jego ręki zelżał.

– Myśl o nim jak o własnym ojcu. Niech zobaczy w twoich oczach ciepło i miłość – instruowała ją Vonni.

Elsa uznała, że nie jest to odpowiedni czas, by tłumaczyć, że własny ojciec ją opuścił. Patrząc na umierającego starego Greka, myślała, jak dziwnie zakończy życie ten biedak, mając przy łożu śmierci Niemkę i Irlandkę, podającą mu dużą dawkę morfiny...

– Jorgis? Mówi Dimitri z Aten, pamiętasz, rozmawialiśmy kilka razy...

– Oczywiście, że pamiętam! Jak się masz, chłopcze, miło znów cię słyszeć! Szykujesz się do wesela?

– Tak! Czyż kobiety nie robią za dużo zamieszania z powodu jednego dnia? Rozumiesz, dla mnie liczy się to, co nadejdzie potem...

– Dla nas, chłopów, tak, ale dla nich sam dzień jest bardzo ważny.

– Znasz tego irlandzkiego dilera?

– Shane'a? Owszem, ale najważniejsze, że dziewczyna wreszcie go rzuciła. Zostawiła go na waszych oczach, czyż nie?

– To prawda, skąd się dowiedziałeś?

– Od Vonni, tej kobiety, która z nią pojechała. Powiedziała, że prawdziwy z ciebie bohater.

– Ach, więc ją znasz? Jaki tam bohater, nic podobnego. Chciałem cię tylko uprzedzić, że ten Shane napisał list do twojego brata, wysłał go do tawerny. Niestety, słabo znam angielski, a ciekaw jestem, o co mu chodzi.

– Pewnie uważa Andreasa za słabe ogniwo, ale nic z tego. Mała Fiona wraca do Irlandii, dziś wieczorem obaj z bratem zegnamy ją w porcie. Cokolwiek do niego napisał, okaże się spóźnione.

– Świetnie. A skoro już rozmawiamy, czy Adoni przyjeżdża czasami do Agia Anna? Pamiętasz, znaleźliśmy się w Atenach i dziś o nim myślałem...

– Nie, nigdy.

– Chyba zbija dużą kasę za oceanem?

– Nic o tym nie słyszałem. A możesz być pewien, że wiedzielibyśmy, gdyby ktoś z naszych zrobił tam fortunę. Popatrz, to zabawne, ja też parę dni temu myślałem, że on wraca, niestety to był fałszywy alarm.

– To znaczy?

– Ach, ktoś z Chicago nagrał na sekretarkę jakąś dziwną wiadomość. Chciał się dowiedzieć, gdzie Adoni schował jakieś klucze. Więc myślałem, że pewnie jest w drodze, ale chyba się myliłem.

– Przypuszczam, że w końcu wszyscy i tak robimy, co chcemy – westchnął Dimitri.

– Filozof z ciebie, mój chłopcze. A staruszkowie wciąż żywią się nadzieją, że życie wreszcie stanie się łatwiejsze i że ludzie przypomną sobie, jakie jest krótkie. Żadnej kłótni nie warto przeciągać.

W porcie formowała się już kolejka do ostatniego tego dnia promu wypływającego z Agia Anna.

Fiona i David stali w otoczeniu życzliwego tłumku odprawiających. Przyszły Maria i Eleni z dziećmi, Vonni i Elsa – zmęczone i podenerwowane, jednak najwyraźniej znów w przyjaźni, był Thomas w swoich śmiesznych spodniach. Kupił każdemu z nich po małej książeczce o wyspie, do której dodał zdjęcie całej czwórki w ich ulubionej kafejce. Na odbitkach umieścił napis „Południe w Północy”. Andreas z Jorgisem obiecywali, że po powrocie znów ugoszczą ich pieczonym jagnięciem.

Vonni zauważyła, że dwójkę wyjeżdżających ogarniało coraz silniejsze wzruszenie.

– Słuchajcie – przemówiła zdecydowanym tonem – nie wolno wam zostawiać nas w niepewności w samym środku Morza Śródziemnego. Macie dać nam znać, jak się wam ułożyło po powrocie. Możecie napisać do mnie, a ja przyjdę do *Mesanihta* i przeczytam innym.

Solennie obiecali spełnić jej polecenie.

– Pamiętajcie, nie później niż dwadzieścia cztery godziny po przyjeździe – przykazała surowo.

– Nie ma sprawy, przecież nie musimy ci kłamać – zapewnił ją David.

– Ani niczego udawać – zgodziła się Fiona.

W tym momencie zahuczała ostro syrena i oboje ruszyli w stronę schodni razem z innymi podróżnymi, taszczącymi kosze i

tobołki podobne do worków z brudną bielizną. Kilka osób wiozło kury i gęsi w pudłach z dziurkami.

Machali rękami, póki prom nie wypłynął z portu, biorąc kurs wzdłuż wybrzeża, gdzie znaleźli się już poza zasięgiem wzroku przyjaciół.

– Czuję się rozpaczliwie samotna – westchnęła Fiona.

– Ja też. Mógłbym tu sobie żyć szczęśliwie do końca moich dni.

– Naprawdę byśmy mogli? Czy raczej oszukujemy samych siebie?

– Z tobą jest inaczej, Fiono. Ty naprawdę kochasz swój zawód, masz w kraju przyjaciół, rodzina cię nie terroryzuje, nie trzyma za kark...

– Wcale nie jestem pewna, jak zareagują. Jestem najstarsza i raczej nie dałam dobrego przykładu młodszym siostram, skoro zdecydowałam się na ucieczkę z takim świrem.

– Przynajmniej masz siostry, a ja jestem jedynakiem, więc to na mnie idzie cały impet. I mój ojciec umiera, będę musiał powtarzać mu codziennie, jaki jestem dumny, że pracuję w jego firmie.

– Może nie będzie tak źle, jak myślisz – pocieszała go Fiona.

– Będzie źle, a nawet jeszcze gorzej, ponieważ, jak on powiada, puściłem wodze. Jesteś bardzo dobra, że zgodziłaś się pomóc mi przełamać lody.



– A nie pomyślą, że jestem twoją dziewczyną? Wstrętną katoliczką, która zniszczy waszą tradycję?

– Już tak myślą – odrzekł ponuro.

– No to chyba ogromnie się ucieszą, kiedy następnego dnia czmychnę do Irlandii – zauważyła z humorem Fiona. – Z wielką ulgą przytulą cię znów do swego łona.

– Ale nam spieszno do tego łona...

I z jakiegoś powodu uznali to za niesamowicie śmieszne.

Elsa i Thomas obserwowali prom, póki całkiem nie zniknął im z oczu. Potem udali się spacerkiem w stronę miasta.

– Gdzie byłaś po południu? – spytał Thomas. – Szukałem cię, myślałem, że znów popłyniemy łódką.

– Z przyjemnością wybiorę się z tobą jutro. To znaczy, jeśli jesteś wolny.

– Jestem wolny.

– Zaintrygowało mnie, że naprawdę wracasz do Kalifornii – napomknęła ostrożnie Elsa.

– A mnie, że ty naprawdę nie wracasz do Niemiec.

– Więc zrobmy najlepszy użytek z czasu, jaki nam pozostał.

– Co ci chodzi po głowie? – spytał podejrzliwie Thomas.

– Na przykład jutro wyprawa łódką i piknik, a następnego dnia wycieczka autobusem do Kalatriady. Z rozkoszą odwiedziłabym to miejsce teraz, na spokojnie, bez żadnego stresu.

– No to postanowione. – I oboje uśmiechnęli się do siebie

jak spiskowcy.

Żeby zmienić temat, Thomas zagadnął:

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, co robiłaś po południu.

– Znalazłam Vonni w takiej nędznej chatynce. Czuwałyśmy przy umierającym. To staruszek, bez rodziny, nikogo poza nami nie miał. Nigdy dotąd nie byłam przy niczyjej śmierci.

– Och, biedactwo! – Poglądził ją po włosach.

– Nie żadne biedactwo, jestem młoda, mam życie przed sobą, a on był chory, samotny i wystraszony. Biedny stary Nikolas...

– Okazałaś mu serce, zrobiłaś, co mogłaś. Elsa odsunęła się nieco.

– Ach, Thomas, żebyś ty widział Vonni! Była po prostu cudowna... Cofam wszystko, co na nią wygadywałam. Karmiła go miodem po łyżeczce, kazała mi go trzymać za rękę. Zupełnie jak anioł.

Szli powoli do jej domu.

– Jutro bierzemy niebieską łódkę i hajda na morze! – przypomniał. Na pożegnanie Elsa mocno go uściskała.

– Andy, czy to właściwa pora na telefon?

– Jasne, chłopie, dla mnie może być, ale Billa i jego matki nie ma w wozie, wyruszyli na wyprawę odkrywczą.

– Wyprawę?

– Czyli do sklepów. Oni to nazywają odkrywaniem. Możesz zadzwonić za pół godziny... no, powiedzmy za trzy kwadranse.

Wiesz, jak to z zakupami bywa, po co marnować kasę na gadanie ze mną?

– Cieszę się, że mogę z tobą pogadać, Andy, bo chcę cię o coś zapytać.

– Jasne, chłopie, wal śmiało. – W głosie Andy’ego zabrzmiała jednak nuta podejrzliwości.

– Tak się zastanawiam... Gdybym wrócił odrobinę wcześniej, niż się mnie spodziewają, to byłoby dobrze?

– Wrócić... Przepraszam, chłopie, jestem trochę rozkojarzony. Masz na myśli powrót tutaj, do miasta?

– Tak, właśnie to miałem na myśli. – Thomasowi zrobiło się zimno. Facet chce mu wybić ten pomysł z głowy, jasne jak słońce.

– Przecież wynająłeś swoje mieszkanie na cały rok?

– Rzeczywiście, ale pomyślałem, że mógłbym znaleźć coś większego... z podwórkiem, żeby Bill miał się gdzie bawić.

– Chcesz się starać o odzyskanie Billa? – Andy wyraźnie wpadł w popłoch.

– Nie, oczywiście nie na stałe, chodzi mi tylko o częste wizyty. – Thomas próbował trzymać nerwy na wodzy.

– Aha, rozumiem.

Boże, jak ten Andy wolno myśli. Potrzebuje całej epoki, by cokolwiek pojąć, a drugiej, żeby odpowiedzieć.

– Więc co o tym sądzisz? Czy twoim zdaniem, Bill uciekłby się, że ojciec zamieszka na tej samej ulicy? A może po-

czuje się skrępowany? Ty jesteś z nim na co dzień, powiedz szczerze, ja naprawdę chcę jak najlepiej.

Nawet z odległości tysięcy mil Thomas wyczuł, jak na przystojną, choć pustą twarz Andy'ego powoli wypływa uśmiech.

– Thomas, chłopak będzie w siódmym niebie! Pomyśli, że to mikołajki i urodziny w jednym!

Nie można było wątpić w szczerłość tego faceta.

– Na razie nic mu nie powiem, dobrze? – Thomasowi z trudem przechodziły słowa przez ściśnięte gardło. – Dopiero jak wszystko przyklepię i będę mógł podać konkretną datę... wtedy sam go zawiadomię. To... według ciebie, ma sens?

– Jasne, jasne, nic mu nie wspomnę, póki nie dasz nam cynku.

– Dzięki za zrozumienie – wyjąkał Thomas.

– Zrozumienie? Że człowiek chce mieć blisko swoją własną krew? Co tu jest do zrozumienia?

Thomas rozłączył się i siedział długi czas w ciemności. Wszyscy wierzyli, że Bill to jego krew. Wszyscy, pewnie z wyjątkiem Shirley. A z tego, co było mu wiadomo, ona też mogła tak myśleć. Przecież nigdy nie wspominał jej o orzeczeniu lekarskim. Teraz już na to za późno.

Shirley wcale nie musi wiedzieć.

Vonni siedziała w szopie, zwanej przez Thomasa kurnikiem.

Widziała, jak jej lokator rozmawiał przez telefon, a przedtem trzymał za rękę Elbę. Tak wiele mieli przed sobą ci dwoje...

Westchnęła z zazdrością.

Jak to byłoby cudownie, znowu mieć przed sobą całe lata! Mieć czas na podejmowanie decyzji, oglądanie nowych miejsc, na naukę nowych rzeczy. Móc znów się zakochać... Ciekawe, co planuje ta para.

Myślała o Fionie i Davidzie, siedzących teraz w samolocie z Aten do Londynu. Czy powitanie okaże się burzliwe i pełne skrępowania czy serdeczne? Miała nadzieję, że dadzą jej znać, przecież wymogła na nich obietnicę.

Cofnęła się myślą do wcześniejszych godzin, kiedy zamykała powieki Nikolasowi i ocierała mu podbródek z miodu, a potem przesłała doktorowi Lerosowi wiadomość, jakiej się spodziewał. Wspomniała Jorgisa, który tkwił na swoim posterunku; nigdy nie mówiło się o jego żonie.

Próbowała sobie wyobrazić, jak dziś wygląda Magda i czy wypłakuje te wielkie, czarne oczy z powodu Stavrosa, który interesuje się kolejną kobietą. Zastanawiała się nad Andreasem i jego wyznaniem, że powinni byli się pobrać wiele lat temu. Oczywiście kompletnie się mylił, ale gdyby do tego doszło, może udałoby jej się ściągnąć z powrotem Adoniego. To przecież takie łatwe, ten chłopak o niczym innym nie marzył – chciał tylko, by go poproszono. W przeciwieństwie do jej własnego syna, który nigdy nie wróci...

Raz tylko przesłał wiadomość, pełną pretensji o zmarnowane dzieciństwo. Oznajmił, że już nigdy nie chce jej widzieć. Pomimo tylu wyznań i opowieści o swoim życiu, o tym jednym nie zająknęła się ani słowem. Po prostu okazało się to zbyt bolesne, nie tylko aby o tym mówić, ale nawet myśleć. I tak jak codziennie od ponad trzydziestu lat, Vonni pomodliła się za swego syna Stavrosa. Na wypadek gdyby jednak Bóg istniał i modlitwa mogła działać coś dobrego.

## Rozdział 17

*Kiedy* rano przed drzwiami zjawił się Thomas, Elsa miała już wszystko przygotowane na piknik. Jedzenie i naczynia spoczywały w koszu, przykryte serwetką.

– Tak mi chodziło po głowie... – zaczął Thomas.

– Co ci chodziło po głowie, mój drogi?

– Nie kpij sobie ze mnie, jestem kruchą, nieszczęsną istotą!

– Wcale sobie nie kpię. Przysięgam!

– Otóż zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy popłynąć wzdłuż brzegu do Kalatriady i tam przenocować. Właśnie to mi chodziło po głowie.

– Więc niech już przestanie. To znakomity pomysł. – Zawróciła do pokoju.

– A ty dokąd? – zaniepokoił się Thomas.

– Po szczotkę do zębów, majtki na zmianę i czystą bluzkę.

Mogę?

– Jak najbardziej. – Spodziewał się czegoś w rodzaju oporu, ale po trzydziestu sekundach Elsa była z powrotem.

– Czy ten gość zgodzi się wypożyczyć na tak długo łódkę? – spytała.

– Już to sprawdziłem... na wypadek, gdybyś się zgodziła. I powiedział... powiedział: „Proszę bardzo” – wyznał Thomas, lekko zażenowany.

– No, gadaj. Gadaj, co naprawdę powiedział – drążyła Elsa z czułą nutką w głosie.

– Eee... Nawijał wciąż o tobie, że jesteś... moja *sizighos* czy jakoś tak.

– A cóż to ma znaczyć?

– Sprawdziłem już, to jest... „partner”, „małżonek”, no coś w tym sensie.

– Dobra, *sizighos*, wypływajmy na szerokie wody – zawołała wesoło.

Wsiedli do łódki i powiosłowali za port. Płynąc wzdłuż brzegów wyspy, rozpoznawali znajome miejsca: szpital, w którym Vonni spędziła tyle czasu, plażę nad zatoczką, gdzie Elsa kąpała się z dziećmi. Może i oni mogliby tu popływać, uwiązawszy łódkę do słupka? Idealne miejsce na piknik... Elsa dostała się z łodzi i rozpostarła serwetkę.

Posmarowała pittę pastą z ikry i humusem, rozłożyła na talerzu kawałki arbuza i figi, potem nałala do szklanki wina i podała ją Thomasowi.

– Wiesz? Ty naprawdę jesteś porażająco piękna!

– Dziękuję, to bardzo miłe, ale nieistotne – odpowiedziała rzeczowo. Nie, żeby go chciała zniechęcić, po prostu stwierdziła fakt.

– Może i nieistotne, jednak prawdziwe. – I więcej na ten temat nie mówił.



W Kalatriadzie nie było prawdziwego portu, więc uwiązali łódkę do mola i stromą drogą poszli w stronę wioski.

Irini pamiętała ich z ostatniej wizyty. Ujęła ich dłonie w swoje i powitała serdecznie. Nie widziała nic niezwykłego w tym, że para młodych, przystojnych ludzi prosi o dwa pokoje.

– Mamy wolny tylko jeden, ale z dwoma łózkami – powiedziała.

– Jakoś to przeżyjemy, prawda, Elso?

– Na pewno.

Może Irini nie wysunęła dotąd nosa poza rodzinną wioskę, była jednak na tyle mądra, by znać się na sprawach tego świata. Wiedziała, że nie należy niczemu się dziwić.

– Czy on w ogóle coś wspomniał na temat tej dziewczyny, która z nim przyjeżdża? – pytał już po raz trzeci Harold Fine.

– Tylko to, co już ci mówiłam: zaprzyjaźnił się na wypie z nią i jeszcze jedną parą, a teraz podróżują razem.

– Hmm...

– Nie sędzę, żeby chodziło o romans.

– Miriam, on nigdy dotąd nie przyprowadził do domu żadnej dziewczyny.

– Wiem, ale mimo to... Po pierwsze, jest Irlandką.

\* Sos z grochu, ziaren sezamu, czosnku i soku z cytryny.

– I myślisz, że to dla niego przeszkoda? Czyż nie spędził całego lata w najdalszym zakątku Grecji?

- Zostanie tu tylko na jedną noc, Haroldzie.
- Tak się teraz mówi – odburknął ojciec Davida.
  
- I po cóż, na miłość boską, ona zatrzymuje się w Manchesterze?
- spytał Sean Ryan Barbarę.
- Nie było czasu na wyjaśnienia, ale zdaje się, że chodzi o chłopaka, którego poznała na wyspie. Podobno jego ojciec jest umierający i Fiona ma spędzić u nich jedną noc, żeby rozluźnić atmosferę.
- Jeszcze jedno kulawe kaczę – zrzędził ojciec Fiony.
- Po prostu uprzejmość.
- Popatrz, dokąd ją poprzednio zaprowadziła ta uprzejmość!
- Przecież to już skończone, panie Ryan... – Barbara czasem miała wrażenie, że jej życie polega na bezustannym tryskaniu optymizmem zarówno w szpitalu, jak poza nim. – Będzie w domu jutro o szóstej. Bez Shane’a! Czy nie tego pragnęliśmy wszyscy?
- I naprawdę nie chce, żeby po nią przyjechać na lotnisko?
- dziwiła się Maureen Ryan.
- Tak, powiada, że nie znosi uczuciowych scen na oczach obcych ludzi. Samolot ląduje o czwartej, więc powinna tu być przed szóstą.
- Zastanawiam się, Barbaro... jeśli byłabyś wolna, to może...

– ... może być także przyjechała – dokończył ojciec Fiony.  
– Żeby rozluźnić atmosferę? – domyśliła się Barbara.  
– Raczej powstrzymać mnie od chłapanięcia czegoś niepotrzebnego.

– Dobrze, spróbuję zamienić się na dyżur.  
– Rozumiesz, chodzi o słowa, które padły przed jej wyjazdem – wyjaśniła Maureen.

– Och, zawsze się coś wypnie, proszę mi wierzyć. – Barbara zastanawiała się, czy nie powinna złożyć wypowiedzenia i nie zacząć ubiegać się oficjalnie o ster rządów nad światem. Przecież tym właśnie zajmuje się w wolnym czasie.

– Jak myślisz, czy Fiona ma zostać z nami, czy spędzić noc u ciebie?

– Wie pani co? Najlepiej będzie urządzić tu wielką powitalną kolację, a potem możemy pojechać do mnie. W ten sposób Rosemary nie będzie musiała się wynosić z dawnego pokoju Fiony, a także nie będzie niebezpieczeństwa, że padną jakieś niepotrzebne słowa.

Biegając do autobusu, namyślała się, czy przejąć władzę nad Stanami Zjednoczonymi jeszcze w tym miesiącu, czy jeszcze trochę się z tym wstrzymać.

– Dimitri? – Tak?

– Wysiałeś ten list? – spytał Shane.

– Owszem, został wysłany.

– To czemu stary zgred nie odpisuje? Dimitri wzruszył ra-

mionami.

– Nie mam pojęcia.

– Może nie umie czytać? Stary pomyleniec! W środku lata chodzi w sznurowanych butach...

Dimitri odwrócił się, żeby wyjść, ale Shane szybko położył mu dłoń na rękawie.

– Nie odchodź... Ja... No dobra, mam lekkiego pietra i jestem całkiem sam...

Dimitri przyjrzał mu się badawczo. Przypomniawszy sobie wykrzywioną złością twarz chłopaka, kiedy ten chwycił dziewczynę za włosy i o mało nie rąbnął jej głowę o ścianę celi.

– Wszyscy czasem czujemy się wystraszeni i samotni, Shane. Dostaniesz adwokata, żeby cię bronił przed sądem – powiedział obojętnym tonem, strząsając dłoń więźnia, po czym zamknął drzwi celi na klucz.

Zadzwoił jego telefon. Andreas zdobył numer od Jorgisa na posterunku policji.

– Ja w sprawie tego młodego Irlandczyka.

– Ach, tak? – Dimitri westchnął.

– Napisał do mnie, prosił o wiadomość o Fionie. Ponoć bardzo mu przykro, chciał jej wyjaśnić, że nieumyślnie ją skrzywdził.

– Owszem, jak najbardziej umyślnie.

– No tak, ty to wiesz i ja to wiem, ale prosił, żebym powtórzył. Przekaż mu, że nie mogę tego zrobić, bo Fiona wyjechała.

Wróciła do swojego kraju.

– To dobrze.

– Więc mu przekażesz?

– Nie mógłby pan przesłać listu albo faksu czy e-maila? Bo on mi nie uwierzy.

– Kiepsko radzę sobie z angielskim.

– A nie ma nikogo, kto by panu pomógł?

– Tak, tak, jest ktoś taki. Już wiem, kogo poproszę.

– Chwileczkę, proszę się jeszcze nie rozłączać. Skoro już rozmawiamy, to chciałbym zapytać o Adoniego. Byliśmy razem w wojsku i...

– Chyba dobrze się ma. Mieszka teraz w Chicago.

– A przyjeżdża?

– Raczej nie, a czemu pytasz?

– Bo chętnie bym go zobaczył. Poza tym żenię się, chciałem zaprosić go na wesele.

– No cóż, jeśli się do mnie odezwie, powiem mu, żeby się z tobą skontaktował – obiecał z ciężkim sercem Andreas.

Dimitri długo jeszcze wpatrywał się w telefon. Ludzie naprawdę dziwnie się czasem zachowują. Adoni był wspaniałym kumplem na obozie wojskowym, opowiadał z miłością o ojcu i jego tawernie na wzgórzu. Dimitri westchnął. Coraz trudniej coś z tego pojąć...

Spędzali już drugą noc w Kalatriadzie i w przeciwieństwie

do poprzedniego razu, kiedy przyjechali tu z Davidem i Fioną, niebo było czyste i świeciły gwiazdy.

Irini nakryła dla nich stół na tarasie, z widokiem na plac i spacerujących po nim ludzi. Postawiła też dwie gałązki bugenwilli w białym, porcelanowym wazoniku.

Thomas ujął dłoń Elsy i pogładził ją.

– Czuję się tu taki szczęśliwy, spokojny... Zupełnie jak po ucichnięciu burz.

– Ja także.

– Co oczywiście, jest śmieszne, bo one wcale nie ucichły. Ukryły się za rogiem i prędzej czy później trzeba będzie stawić im czoło.

– Może dlatego czujemy się tak spokojnie, bo wiemy, że teraz damy im radę – zasugerowała Elsa.

– Co masz na myśli?

– No... ty wprawdzie wracasz do Billa, pytanie tylko, kiedy. A ja nie wracam do Niemiec, więc jedyne pytanie brzmi: dokąd?

– Masz bystry umysł, Elso, i szybko myślisz. Potrafisz błyskawicznie podsumować sytuację.

– Wcale nie tak szybko. Powinnaś zrozumieć to dawno temu.

– Ale nie będziemy tracić czasu na żale, prawda?

– I tu się z tobą zgadzam. Żale nic nie dają, powodują tylko destrukcję.

– Napijesz się kawy?

– Może... Jestem trochę podenerwowana – przyznała.

– Ja też, ale nie sędzę, aby kawa kogokolwiek uspokoiła. W takim razie chodźmy stąd, co?

Kiedy szli po schodach, Elsa wzięła go za rękę.

Irini uśmiechnęła się do nich, jakby rozumiała, że to dla nich ważny wieczór.

W sypialni nagle ogarnęło ich skrepowanie. Elsa pokazywała górskie szczyty, wymieniając ich nazwy.

– To piękne miejsce na pobyt – zauważyła cicho.

Thomas przyciągnął ją do siebie i pocałował w szyję. Zadrżała lekko.

Natychmiast się odsunął.

– Czy to cię napawa wstrętem? – spytał bez sensu.

– Skądże, to urocze i ekscytujące. Chodź tu.

Najpierw pogłaskała go po twarzy, a potem przytuliła się doń mocno. Jej ręce przesuwaly się tam i z powrotem po jego plecach, kiedy delikatnie rozpiął jej bluzkę.

– Elso... Sam nie wiem... Mam nadzieję, że...

– Ja też nic nie wiem i też mam nadzieję. – Pocałowała go.

– Jesteś piękna.

– Przytul mnie mocno... Kochaj mnie, Thomas. Kochaj mnie na tej pięknej wyspie i nie myślmy już o niczym poza dzisiejszą nocą.

Vonni usiadła z Andreasem, żeby napisać list do Shane'a.

*Odpowiadam na Twój list w sprawie Fiony Ryan. Fiona dwa dni temu opuściła wyspę i wyjechała do Irlandii, gdzie zamierza wrócić do zawodu pielęgniarki. Dlatego nie mogę przekazać jej Twoich przeprosin, ale przypuszczam, że wiesz, jak skontaktować się z nią w Dublinie.*

*Mam nadzieję, że podejmiesz współpracę z władzami w Atenach w sprawie dotyczącej Twojego aresztowania. Wszelkie naruszenia przepisów związanych z narkotykami traktowane są u nas bardzo poważnie.*

*Z wyrazami szacunku Andreas.*

Przetłumaczyła, to co napisała.

– Trochę chłodno, nie sądzisz? – zastanawiał się Andreas.

– Nawet bardzo chłodno – zgodziła się Vonni. – A może wolisz zapłacić za niego kaucję i zaprosić go do siebie na pół roku?

– Nie, nie, rozumiem. Ale... w końcu siedzi w areszcie i wyraził skruchę...

– Andreasie, ty masz miękkie serce dla każdego... z wyjątkiem własnego syna.

– Dla niego także, Vonni, niestety już jest za późno. Nie, tylko mi nie mów o swoich przecuciach, bo w to nie wierzę.

– Dobrze, już ani słowa na ten temat, przysięgam. Wyślemy list pocztą czy poprosimy Jorgisa, żeby go przefaksował?



– Chcesz go wysłać bez poprawek, chociaż sama przyznajesz, że jest chłodny?

– Moja opinia jest taka (choć oczywiście mogę się mylić): przychodzi w życiu czas na chłód. No i właśnie teraz przyszedł.

– Ty miałabyś się mylić? Nigdy! – Andreas się uśmiechnął.  
– Przepuścimy więc list przez faks i nie dręczmy dłużej tego biednego głupka.

– Podrzucę to na posterunek po drodze do domu.

– A gdzie dziś jest twój dom? W apartamencie czy w kurniku?

– No wiesz?! Jesteś gorszy niż Thomas, wyśmiewasz się z moich zwyczajów! Ale skoro jesteś taki ciekawy, to ci powiem, że dzisiejszą noc spędzę w gościnnym pokoju mojego mieszkania. Thomas z Elsą pojechali do Kalatriady i cały apartament będę miała dla siebie.

– Razem pojechali... – Andreas potarł policzek. – Rozumiem.

– Wiem, wiem.

– A kiedy wracają?

– Thomas zostawił karteczkę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to może nawet za kilka dni.

– No to ufajmy, że im się uda.

– Jesteś kochany.

– Nigdy dotąd tego nie mówiłaś.

– Nie, za to przez całe lata plotłam mnóstwo bzdur, a ty byłeś na tyle mądry, by odsiewać ziarno od plew. Teraz mówię zupełnie serio: jesteś kochanym człowiekiem o złotym sercu. Chyba sam o tym wiesz.

– Wiem, Vonni. I cieszę, że tak o mnie myślisz.

David siedział przy ojcu, prowadząc rozmowę tak, jak przeciwiczyli to wcześniej z Fioną. Ani słowa na temat choroby, natomiast dużo o firmie i przyznanej ojcu nagrodzie.

– Nie sądziłem, że przywiązujesz wagę do takich rzeczy – powiedział Harold Fine.

– Ależ to dla ciebie zaszczyt, tato, czemu miałbym nie czuć się dumny?

Ojciec pokiwał głową z uśmiechem.

– No cóż... Szczerze mówiąc, mój synu, nie cieszyłbym się tak, gdybyś nie wziął w tym udziału. Jaki sens mają jakieś zaszczyty, jeśli nie dzieli się ich z kimś z własnej krwi i kości?

W pokoju obok Fiona rozmawiała z matką Davida.

– Pani Fine, jestem ogromnie wdzięczna, że przyjęła mnie pani na noc. To bardzo miło z pani strony.

– Cóż, wszyscy przyjaciele Davida są u nas mile widziani.

– Opowiadał mi, jaki śliczny macie państwo dom, ale nie oddał mu sprawiedliwości. Jest wprost obłądny!

Miriam Fine poczuła się tyleż pochlebiona, co zażenowana.

– Pani podobno mieszka w Dublinie? Tak mi mówił David.

– Owszem, ale nie było mnie w kraju wiele tygodni, więc nie mogę się już doczekać, kiedy ich wszystkich zobaczę. – Uśmiech Fiony zawsze był zniewalający.

– A ta wasza wyspa... ładnie tam?

– Och, jest po prostu urocza. A ludzie tacy życzliwi i dobrzy. Marzę, aby tam jeszcze wrócić, i wrócę, na pewno.

– Co właściwie pani tam robiła?

– Marnowałam karierę zawodową – odparła bez ogródek Fiona. Uzgodnili z Davidem, że nie ma potrzeby wspominać Shane'a, poronienia, aresztowania za narkotyki, słowem, niczego, co naruszyłyby spokój statecznej rodziny Fine'ów.

– A w Dublinie jest pani pielęgniarką? – Miriam zaczynała wreszcie odzyskiwać spokój. To nie jest dziewczyna, która chciałaby się wiązać z jej jedynakiem.

– Przed wyjazdem pracowałam pół roku na onkologii i powiadam pani, że w dzisiejszych czasach naprawdę warto żyć.

– Słucham?

– Zdziwiłaby się pani, wiedząc, ile można teraz zrobić dla chorych. Pozwoli pani opowiedzieć sobie...

I ku swemu zdumieniu Miriam Fine usiadła, potem zaś zaczęła rozmawiać z dziewczyną o irlandzkim akcencie, która okazała się tak niezwykle pomocna pod wieloma różnymi względami. Nie mogłaby sobie wymarzyć miłszego gościa w domu.

W recepcji hotelu Anna Beach czekało na Elbę kilka faksów, jeden bardziej naglący od drugiego. We wszystkich prosiło ją o odebranie poczty elektronicznej. Ale Elsa zapadła się pod ziemię.

Recepcjonista wypatrył Vonni w foyer przy sklepie z rękodziełem.

– Przepraszam, czy mogłabyś mi doradzić w sprawie tych wiadomości? Ta Niemka w ogóle tu nie przychodzi...

Vonni spojrzała z ciekawością na wydruki.

– Nie znam niemieckiego. Co tu jest napisane?

– Jakiś facet prosi, żeby przestała uprawiać z nim gierki, że nie może go zostawić... Takie tam...

– Aha.

– Może powinienem wysłać mu faks, że nigdzie w pobliżu jej nie ma? – Recepcjonista wyraźnie obawiał się, aby hotelu nie posądzono o brak profesjonalizmu.

– Nie, dałabym sobie spokój. Lepiej się w to nie mieszać. Oczywiście, gdyby facet zadzwonił, powiedz, że słyszałeś, jakoby ta pani wyjechała.

– A wyjechała?

– Na kilka dni. I nie chce, aby jej przeszkadzano.

Dublin.

*Moja droga Vonni!*

*Przyrzekłam Ci, że napiszę w ciągu dwudziestu czterech godzin po przyjeździe, no więc się zgłaszam.*

*Podróż miałam dobrą, w samolocie był komplet – głównie turystów. David i ja czuliśmy znaczną przewagę nad nimi wszystkimi, ponieważ poznaliśmy prawdziwą Grecję, nie tylko plaże i dyskoteki. Do domu Davida pojechaliśmy pociągiem. Nawiasem mówiąc, oni są naprawdę szalenie bogaci, mają ogromny dom z antykami i mnóstwem cennych rzeczy. Matka Davida jest bardzo nerwowa, nieświadoma wielu spraw i w oczywisty sposób przez całe życie bardzo oddana mężowi. Pan Fine wygląda bardzo źle, ma przed sobą zaledwie kilka miesięcy życia. Był mocno wystraszony, ale teraz przynajmniej dojrzał do rozmowy o opiece paliatywnej. Dotąd nie rozumiał, na czym ona polega i nie chciał o nic prosić. Na lotnisku w Manchesterze oboje z Davidem płakaliśmy i ludzie myśleli, że to pożegnanie kochanków.*

*Kiedy przyjechałam, zastałam w domu Barbarę, dzięki czemu napięcie trochę zelżało. Tata obchodził się ze mną jak z jajkiem, uważał, żeby nie chlapanąć czegoś obraźliwego, Mama szczyrzyła się jak na reklamach sosów, można by pomyśleć, że wracam z jakiegoś gulagu, a nie z wyspy cudownych smaków i aromatów. Wciąż tęsknię do zapachu węgla drzewnego w kafejce Północ czy pieczonego jagnięcia i piniowych orzeszków w tawernie Andreasa.*

*Koniecznienie pozdrów go ode mnie! Napiszę, jak już zacznę pracować i przeniosę się z Barbarą do nowego mieszkania. Na razie śpię u niej na sofie, a rodziców odwiedzam co drugi dzień.*

*U nich wszystko w porządku i nawet nie wspominają o tym cholernym srebrnym weselu. Moje dwie młodsze siostry zmieniły się w potwory. Myślę, że najlepiej nie rozводи ć się na takie tematy jak moje poronienie czy aresztowanie Shane'a. Prawdę rzekłszy, nie tylko się nad tym nie rozwodzę, ale nawet o niczym nie wspomniałam.*

*Nie mam wprost słów, by Ci wyrazić moją wdzięczność, Vonni, szczególnie za ten dzień w Atenach. Mam nadzieję, marzę o tym, że odzyskasz swojego męża i syna. Zasłużyłaś sobie na to.*

*Serdeczności – Fiona.*

*Manchester. Droga Vonni!*

*Och, jak bardzo brakuje mi Ciebie i Agia Anna każdej godziny, każdego dnia! Jak by to było dobrze obudzić się pod wyblyszczonym niebem i spędzić beztrosko dzień, dopóki nie ukażą się gwiazdy! Pewnie i tu są jakieś gwiazdy, ale ukryte za chmurami, więc nie mam szans ich zobaczyć.*

*Mój ojciec wygląda fatalnie. Nawiasem mówiąc, Fiona cudownie sobie poradziła. Rozmawiała z nim tak, jakby znała go przez całe życie, i w końcu przekonała do środków uśmierzających ból. Nawet moja matka ją pokochała i chociaż poprzednio jeżyła się na myśl, że sprowadzam do domu dziewczynę innej wiary, teraz wręcz żałuje, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. Wymogli na niej obietnicę, że przyjedzie, kiedy koniec będzie już bliiski, i wiem, że dotrzyma słowa. Popłakaliśmy się na lotnisku – to*

*symbol końca wszystkiego: lata, Grecji, przyjaźni, nadziei.*

*Czy jestem zadowolony, że wróciłem ? Cóż, po prostu musiałem. Słabo mi się robi, kiedy pomyślę, że gdyby nie Ty, mógłbym się na to nie zdecydować. Byłaś taka przewidująca i taka uparta w uświadamianiu mi tego, co się dzieje. Niestety wciąż zbieram pochwały od ciotek, wujów i znajomych, że niby wykazałem się taką intuicją. Ładna mi intuicja – która ma na imię Vonni! Ale tak jak uzgodniliśmy, nic im nie powiedziałem.*

*Przeżywam koszmarne dni, a w dodatku niebawem zacznę pracę w firmie. Muszę się skoncentrować, ponieważ ojciec życzy sobie omawiać wszystko co wieczór. Facet, który dowodzi tym cyrkiem, oczywiście mnie nie cierpi i jest bardzo oporny. Wciąż chce wiedzieć, kiedy startuję. Tak bym chciał mu powiedzieć, co o tym wszystkim myślę, ale oczywiście nie mogę. Uroczystość wręczenia nagrody jest w przyszłym tygodniu – więcej z tym szumu i przygotowań niż z lądowaniem na Księżycu. Opowiem Ci potem, jak się wszystko odbyło. Możesz do mnie napisać? Marzę, aby się dowiedzieć, jak Maria radzi sobie z vanem, co słychać w naszej Północy, czy Thomas i Elsa jeszcze są czy wyjechali, może nawet razem ? Pomyślałem, że to całkiem możliwe.*

*Śniło mi się kiedyś, że Twój syn wrócił. Wpłynął po prostu do portu łodzią z silnikiem. Cóż, może i tak się zdarzyć, prawda?  
Serdeczności – David.*

– Kiedy wracamy do rzeczywistości? – spytała Elsa po dniach spędzonych na włóczędze po wzgórzach i zatoczkach Kalatriady.

– Masz na myśli powrót do Agia Anna czy jakieś punkty dalej na zachód? – Thomas nazbierał dla niej polnych kwiatów i właśnie związywał je w bukiet kawałkiem sznurka.

– Agia Anna to chyba dobra baza wypadowa.

Prowadzili tu dziwne życie, zupełnie oderwane od realnego świata. Chodzili na targ, kupowali na lunch ser i jedli go gdzieś na wzgórzu. W lokalnej księgarni znaleźli kilka angielskich książek, a Thomas zamówił u garncarza talerz z imieniem swojej matki.

Ponieważ nie byli spakowani na tak długi pobyt, kupili sobie na targu kilka sztuk garderoby. Thomas zadawał szyku w kolorowej greckiej koszuli; Elsa, podejmując desperacką kampanię przeciwko jego ukochanym bermudom z mnóstwem kieszeni, kupiła mu eleganckie kremowe spodnie.

– *Orea!* – wykrzyknęła Irini, kiedy je włożył.

– Tak, jest w nich naprawdę piękny – zgodziła się Elsa.

– Lubię te stare spodnie – narzekał Thomas.

– To jesteś wyjątkiem, bo są okropne!

– Łaski, Elso, pozwól mi je nosić, są jak przytulny koczyk!

Proszę...

– Koc byłby elegantszy. No popatrz, gadam jak żona! – roześmiała się. – Nic z tego nie będzie, noś sobie, co chcesz.



- Popłyniemy jutro do Agia Anna?
- Dobrze, w końcu to wcale nie oznacza pożegnania. Tam też możemy być razem – pocieszała się Elsa.
- Oczywiście, nie musimy się nigdzie śpieszyć.

Maria i Vonni od razu wiedziały, że wrócili z Kalatriady, bo wypatrzyły, jak oddawali łódkę w porcie.

– Amerykanin świetnie wygląda! – powiedziała Maria z aprobatą. – Nareszcie przestał nosić te idiotyczne spodnie.

– Chwała Panu na niebie – ucieszyła się Vonni. – Pan nasz, zresztą, postarał się o fachową pomoc w postaci nadzwyczaj bystrej niemieckiej dziewczyny – zauważyła, patrząc, jak tamci całują się na pożegnanie. Potem Elsa udała się do Anna Beach, a Thomas do miasta. Oboje zachowywali się z wielką swobodą i wyglądali na rozluźnionych. Najwyraźniej wyprawa okazała się sukcesem.

– Hej-ho, Mario, *parne*, jedziemy! Dziś ćwiczymy zawracanie na trzy tempa, a gdzie znajdziemy lepsze miejsce jak nie na placu? Dostałam też wiadomość, że mam się spotkać z prawnikiem, Takisem, chyba chce mi coś przekazać.

– Na jaki temat?

– Nie mam pojęcia. To tylko lakoniczne wezwanie, a już dwie dekady zachowuję się bez zarzutu. Ale zobaczymy. – Vonni nie zamierzała niczego więcej zdradzać. Maria nie wiedziała, że starsza kobieta nie spała pół nocy, dumając, czy wia-

domość ma coś wspólnego ze Stavrosem – mężem albo synem.

Elsa siedziała w Anna Beach nad wielkim organizerem i po raz pierwszy od miesiący przeglądała swoje kontakty wśród ludzi mediów w Niemczech.

Recepcjonista przyniósł jej plik faksów wraz z czterema wiadomościami przekazanymi przez telefon. Ostatnia brzmiała, że Dieter w ciągu dwóch tygodni przyjedzie, by ją odnaleźć.

Elsa z zimną krwią przedarła wszystkie fakсы na pół bez czytania, po czym wrzuciła je do kosza razem z zapisem wiadomości telefonicznych. Potem udała się do centrum biznesowego, gdzie zalogowała się do poczty elektronicznej i zabrała do roboty.

Pierwszy e-mail wysłała do Dietera.

*Napisałam do Ciebie długi list, w którym wyjaśniam, dlaczego nie wracam. Jak chcesz, to przyjedź do Grecji, ale mnie tu nie będzie, zmarnujesz tylko czas.*

*Elsa*

– Andy, to znów ja, Thomas. Pewnie ci przeszkadzam...

– Nic podobnego. Jesteśmy w Sedonie, zwiedzamy kolejny kanion. Bardzo tu ładnie.

Thomas usłyszał podekscytowany głos Billa:

– To tata? Mogę z nim porozmawiać?

– Jasne, Bill, przecież on dzwoni do ciebie. Weź telefon i

idź w jakieś spokojne miejsce, żebyście się porządnie nagadali.

– Tato? To naprawdę ty?

– We własnej osobie, Bill.

– Tato, żebyś ty to widział! Tu jest fantastycznie, cały czas zmieniają się kolory... I babcia ma te wszystkie swoje przyjaciółki, starsze panie, ona mówi na nie „dziewczęta”. A ja powiedziałem, że to są pomarszczone dziewczęta, i one się śmiały...

– No chyba.

– A co ty robiłeś?

– Wybrałem się do malutkiej wioski, takiej prawdziwej, w starym stylu. Kiedyś cię tam zabiorę.

– Naprawdę?

– Ja nigdy nie rzucam słów na wiatr. Kiedyś przyjedziemy na te wyspę na wakacje.

– A nie było ci tam smutno? Zupełnie sam w takiej małej wiosce...

– Hmm... No, niezupełnie sam...

– Więc wcale za nami nie tęskniłeś? – W głosie chłopca zabrzmiało rozczarowanie.

– Ależ tak, Bill, tęskniłem. Nie było dnia, żebym nie tęsknił, i wiesz, co ci powiem?

– Nie.

– Za dziesięć dni wracam! I zobaczysz, jak będzie fajnie.

– Taak? To fantastycznie! Na jak długo przyjeżdżasz?

– Na dobre.

Słuchając, jak chłopiec, który zawsze pozostanie jego synem, wrzeszczy co sił w płucach: „Mamo, Andy, tata wraca! Za dziesięć dni! I już zostaje na zawsze!”, Thomas poczuł cieknące po twarzy łzy.

– Takis! Jak się masz?

– Świetnie, a ty, Vonni?

– Też, tylko muszę mieć oko na Marię, bo inaczej gotowa nas rozjechać i rozwalić twoje biuro.

– To wejdźmy do środka, przynajmniej zejdziemy z linii ognia – zaproponował Takis, wprowadzając ją do środka. – Wiesz, o czym chcę z tobą pogadać?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Zgadnij.

– Coś ze Stavrosem? – spytała niepewnie.

– Nie, skąd – stropił się prawnik.

– No więc chyba będziesz musiał po prostu mi powiedzieć.

– Blask zniknął z jej twarzy.

– Chodzi o Nikolasa Yannilakisa. Jak wiesz, zmarł w ubiegłym tygodniu.

– Biedny Nikolas. – Vonni zmartwiła się nieco. Raczej nie należy spodziewać się żadnych kłopotów czy śledztwa w sprawie morfiny, doktor Leros świetnie wiedział o wszystkim i szedł jej na rękę.

- Zostawił ci wszystko.
- Przecież on nic nie miał! – Vonni otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.
- Miał dostatecznie dużo. Przyszedł tu sześć miesięcy temu i sporządził prawidłowy testament. Wszystko zostawił tobie: domek, meble, oszczędności...
- No kto by pomyślał? Domek to chyba powinniśmy przekazać jego sąsiadom, tam jest kupa dzieciaków, przyda się im trochę więcej miejsca. Mogłabym go dla nich uprzętać...
- Nie zapytasz o oszczędności? – spytał z powagą Takis.
- Co on tam mógł mieć! Na pewno nie ma o czym gadać.
- Zostawił ci ponad sto tysięcy euro. Popatrzyła na niego, wyraźnie ubawiona.
- To niemożliwe, Takis, ten człowiek nic nie miał, mieszkał w ruderze...
- Wszystko trzymał w banku, część w akcjach, część w gotówce, musiałem poczekać, aż przeliczą, dlatego dopiero teraz ci mówię.
- A skąd on, u licha, wziął aż taką sumę?
- Pewnie od rodziny.
- To czemu, na miłość boską, nie zapewnił sobie odrobiny komfortu? – wściekała się Vonni na nieboszczyka, który odmawiał sobie tego, na co było go stać.
- Ach, Vonni, nie mów mi o rodzinie, najbardziej niezwykłej instytucji, jaką kiedykolwiek wynaleziono. Ktoś tam kogoś

obraził... Nie pytaj, bo nic nie wiem. Ale to znaczy, że Nikolas nie tknął tych pieniędzy, więc teraz są twoje.

Milczała.

– I bardzo słusznie, Vonni! Nikt na nie nie zasłużył bardziej od ciebie, opiekowałaś się nim, jak nikt inny by nie potrafił.

Siedziała bardzo cicho, patrząc przed siebie.

– Co zrobisz? Zaczynasz podróżować, pojedziesz w odwiedziny do Irlandii?

Nadal się nie odzywała, nie mogąc wyjść z szoku. Prawnik nie widział jeszcze takiej Vonni.

– Oczywiście nie musisz zaraz podejmować decyzji. Zorganizuję wszystkie transfery, kiedy już się namyślisz i będziesz w stanie dać mi jakieś instrukcje.

– Nie mam zamiaru ruszać tych pieniędzy. Niech zostaną tam, gdzie są. Jak już mówiłam, domek oddam sąsiadom, tylko chcę, żeby to Nikolasa uważali za ofiarodawcę. I sporządzą testament...

– Bardzo rozsądnie, Vonni – powiedział głucho Takis. Wcale nie uważał tego za sensowne rozwiązanie, ale w końcu to nie jego sprawa.

– Wszystko, co posiadam: sklep, mieszkanie i ten spadek, chciałabym zapisać mojemu synowi Stavrosowi.

– Czy ja dobrze słyszę?

– Dobrze.

– Przecież nie widziałas go od lat. Ani razu cię nie odwie-

dził pomimo tylu próśb...

– Przygotujesz mi ten testament, Takisie, czy mam się zwrócić do innego prawnika?

– Będzie gotowy jutro o tej porze. Sprowadzę też dwie osoby, żeby poświadczyły twój podpis.

– Dziękuję. Rozumiem, że to wszystko zostanie między nami?

– Oczywiście, Vonni, nikomu ani słowa.

– Dobrze. W takim razie idę ratować Agia Anna przed Marią. Vonni wyszła na chwiejnych nogach. Takis obserwował od progu, jak podbiega do niej Maria.

– Teraz rozumiem, trzeba kręcić kierownicą w przeciwną stronę, nie tak, jak się myśli!

– Jak uważasz, Mario.

– I czego chciał Takis?

– Pomaga mi przygotować testament.

– Tęskniłem za tobą – wyznał Thomas, kiedy Elsa wbiegła po bielonych schodach do jego mieszkania.

– A ja za tobą. Koniec leniuchowania w Kalatriadzie... – Pocałowała go lekko i przeszli do saloniku.

– Jakie śliczne! – wykrzyknęła na widok wazonika z pełnymi kwiatami.

– Najchętniej powiedziałbym, że wybrałem się na wzgórze specjalnie po to, aby nazbierać ich dla ciebie, ale naprawdę zo-

stawiała je tu Vonni z liścikiem, że cieszy się z naszego powrotu.

– Podał jej karteczkę.

– Czyli już wie?

– Pewnie wiedziała jeszcze przed nami.

– Ciekawe, co sobie myśli?

– Cóż, wystarczy spojrzeć na kwiaty. Są jak pieczęć z napisem „zatwierdzam”, czyż nie?

– Owszem i oznaczają też powitanie w klubie życiowych bałaganiarzy.

– Jak to?

– Sam zobacz. Te kwiaty mówią, że sekret wszechświata polega na wybraniu właściwego momentu. A pod tym względem ponieśliśmy spektakularną klęskę: ty jedziesz w jedną stronę, ja w zupełnie przeciwną...

Thomas sięgnął po jej rękę.

– Damy sobie z tym radę – obiecał.

– Wiem – odrzekła bez przekonania.

– Mówię serio. Razem pokonamy wszystkie trudności.

– Pokonamy – zgodziła się już z większym entuzjazmem.

Dublin. *Droga Vonni!*

*Dziękuję Ci bardzo za list. Czytając go, tak strasznie zatęskniłam do Agia Anna! Oczywiście słusznie postąpiłam, wracając, ale to nie znaczy, że mi nie żal słońca, drzewek cytrynowych i tych wszystkich cudownych ludzi, jakich tam poznałam.*



*Oddziałowa Carmel jest koszmarne; kiedyś była naszą kumpelą, tylko że władza po prostu uderzyła jej do głowy. Uważa, że zasłużyłam na karę za opuszczenie pracy i wyobraża sobie Bóg wie co. Barbara i ja mamy fantastyczne mieszkanie, w sobotę urządzamy parapetówkę, więc życz nam szczęścia.*

*Mama i tata są super, w ogóle nie wymieniają imienia Shane'a, zupełnie jakby stał się rodzinnym wstydlwym sekretem i chyba tak jest najlepiej. Postanowili urządzać znacznie skromniejsze srebrne wesele, żadnych karteczek z nazwiskami i tego typu bzdur. Dzwoniłam do Davida – był w dość ponurym nastroju, gdyż akurat tego dnia jego ojciec odbierał nagrodę. Jest bardzo nieszczęśliwy, że musiał wrócić, jednak oczywiście zostanie, póki ojciec nie umrze.*

*Elsa i Thomas są parą – ale numer, nigdy bym nie pomyślała. To po prostu super!*

*Serdeczności dla wszystkich – Fiona.*

*Manchester Droga Vonni!*

*Cudownie, że napisałaś mi o tym wszystkim, co chciałbym wiedzieć. Bardzo cieszę się z postępów Marii, już ją widzę, jak zasuwa sama drogą do Kalatriady.*

*To wspaniała wiadomość, że Thomas wraca do kraju, ale co będzie z nim i z Elszą? Jak rozwiążą ten problem?*

*Nie potrafię Ci opowiedzieć w jakiś wyważony sposób o nagrodzie ojca – ta sprawa jest jeszcze zbyt świeża i zbyt mocno*

*mnie dotyka. Mam za sobą naprawdę okropny dzień – gorszy niż się spodziewałem. Ojciec wyglądał tak krucho, jakby miał się za chwilę rozsypać, matka pękała z dumy, a biznesmeni wszelkiej maści po prostu wielbili go jako idola kasy i zysku.*

*Więcej napiszę, jak rana nieco przyschnie, ale to był koszmar. Ojciec wygłosił mowę, w której zapowiedział, że od stycznia ja mam zostać prezesem firmy. Wszyscy bili brawo, a ja musiałem robić dobrą minę do złej gry. Rozumiesz, Vonni, ta sprawa budzi we mnie obrzydzenie i chociaż wiem, że to tylko użalanie się nad sobą, naprawdę czuję się, jakbym kończył życie w wieku dwudziestu ośmiu lat. Wiem, że zaraz napiszesz mi coś pozytywnego, żebym nie upadał na duchu. Często o Tobie myślę i wyobrażam sobie, że Ty i Andreas jesteście moimi rodzicami. Nigdy w życiu nie zawiódłbym żadnego z Was. Wszystko przez to, że tak mi ciężko we własnej rodzinie.*

*Serdeczności od obrzydliwie posępnego Davida.*

Mijały dni. Elsa spędzała mnóstwo czasu przy komputerze w Anna Beach, prowadząc ożywioną korespondencję.

– Do kogo tak ciągle piszesz? – spytał Thomas.

– Badam sytuację na rynku pracy – odparła cierpko.

– Myślałem, że nie wracasz do Niemiec? Roześmiała się beztrąsko.

– To nie do pojęcia, ale istnieją jeszcze inne kraje.

Thomas siedział obok niej przy drugim komputerze. Na-

wiązał kontakt ze swoim uniwersytetem. Gdyby zdecydował się na wcześniejszy powrót, czy udostępniono by mu dawne pokoje w kampusie? Wszystko to wymagało uzgodnienia.

Za dwa dni Thomas miał wyjechać do Aten.

– Może wybierzemy się dziś na obiad do Andreasa? – zaproponowała Elsa. – Mamy sporo spraw do obgadania.

– Czy to odpowiednie miejsce na takie rozmowy? – zastanowił się Thomas. – Tam zawsze jest się częścią tłumu.

– Dopilnuję, żebyśmy dostali stolik w spokojnym miejscu – obiecała.

Włożyła prostą białą sukienkę z bawełny i wpięła we włosy kwiat.

– Ślicznie wyglądasz i tak się wystroiłaś! Dobrze, że mam na sobie te wytworne portki z Kalatriady – wykrzyknął na jej widok.

– Specjalnie wybrałam tę sukienkę, żeby zrobić na tobie wrażenie. I zamówiłam taksówkę, jak szaleć to szaleć, co ty na to?

Krętą drogą pojechali do tawerny, pokazując sobie różne miejsca i obserwując gwiazdziste niebo nad morzem.

Rzeczywiście dostali mały, dwuosobowy stolik na skraju tarasu, gdzie nic nie zasłaniało im widoku.

Obsługiwała ich Rina, Andreas był zajęty wewnątrz. Siedzieli tam już Jorgis, Vonni i doktor Leros. Wszyscy im poma-

chali; porozmawiają po posiłku, kiedy nadejdzie pora na drugą kawę.

– Muszę z tobą pogadać o moim poszukiwaniu pracy – zaczęła Elsa.

– No tak, nie wypytywałem cię za bardzo.

– Właściwie dlaczego?

– Bo chociaż napomknęłaś o innych krajach, wciąż się bałem, że zaproponują ci świetne stanowisko w Niemczech. I szczerze mówiąc, bałem się także, że mogłabyś znów spotkać się z Dieterem i... i... – Odzyskał kontenans, jeszcze zanim zdążyła coś odpowiedzieć: – Zastanawiałem się po prostu, jak szybko będziesz mogła do mnie przyjechać, a potem ja do ciebie. Nie zniósłbym rozstania teraz, kiedy cię odnalazłem. Może zwariowałem, że tak ryzykuję i wracam do Billa.

– Thomas, ja już mam pracę.

– Gdzie? – spytał przez ściśnięte gardło.

– Aż się boję przyznać.

– Czyli jednak w Niemczech. – Na twarzy miał wypisaną klęskę. – Nie.

– Więc gdzie? Błagam cię, Elso, tylko bez gierki.

– Zasadniczo w Los Angeles, ale z wędrownkami po całym zachodnim wybrzeżu. Cotygodniowa kolumna w dużym magazynie, wywiady, polityka, artykuły, co tylko mi przyjdzie do głowy. – Patrzyła na niego w napięciu, czekając, co powie.

– Gdzie? – spytał w osłupieniu.

– W Kalifornii. Czy to nie za szybko? Może za dużo sobie wyobrażam? To znaczy... Po prostu nie mogłam znieść myśli, że miałabym cię utracić... ale jeśli myślisz...

Jego twarz powoli rozjaśniła się w uśmiechu.

– Och, Elso, kochanie, przecież to cudowne...

– Nie muszę z tobą mieszkać ani w ogóle... Nie chcę ci się narzucać, ale pomyślałam, że moglibyśmy dużo czasu spędzać razem...

Wiem, że niezbyt długo jesteśmy ze sobą... tylko widzisz, ja już nie mogę istnieć bez ciebie...

Thomas wstał, obszedł stół i poderwawszy Else z krzesła, mocno ją pocałował. Nic go nie obchodziło, że inni goście patrzą. Ktoś im pstryknął zdjęcie, ale nie dbali o to; po prostu stali wtuleni w siebie, jakby już nigdy nie mieli się rozdzielić. Oczywiście natychmiast z kuchni wyszła cała grupa przyjaciół i wypito wiele toastów – za pomyślność nowej pary.

– Elso, ten facet, który wam zrobił zdjęcie, jest Niemcem. Mógł cię rozpoznać z telewizji.

Nie przejęła się ani trochę.

– Pytał, kim jest Thomas – ciągnęła Vonni. – Powiedziałam, że wielkim amerykańskim uczonym. I narzeczonym Elsy.

– Co?! – wykrzyknęli jednocześnie.

– No wiesz, nie pisnęłabym ani słowa, gdybyś nadal chodził w tych koszmarnych portkach z kieszeniami. Odkąd zobaczyłam cię w porządnym spodniach, pomyślałam, że Elsie nie zasko-

dzi, jeśli jakiś fan pošle fotkę do niemieckiej gazety.

Gawędzili swobodnie, jak zawsze, zerkając na port w dole. Ostatni prom przyłynął godzinę temu, ale w tawernie Andreasa nie oczekiwano żadnych gości z tego rejsu. Było za późno na tak daleki spacer. Dlatego widok samotnego piechura, zmierzającego ku nim krętą drogą, mocno ich zadziwił.

Był to mężczyzna około trzydziestki. Musiał być dość krzepki, gdyż miał plecak i w każdej ręce po walizce.

– Patrzcie, co za wytrwały klient – zauważyła Elsa z podziwem.

– Pewnie usłyszał o faszzerowanych liściach winorośli Vonni – dodał Thomas, który pokochał Vonni za to, że nazwała go narzeczoną Elsy, chociaż nie mógł pojąć, czemu wszyscy tak strasznie się uwzięli na jego śliczne bermudy z kieszeniami.

– Dość późno na takie wycieczki – wtrącił zaintrygowany doktor Leros.

– Chyba że ktoś się wybrał specjalnie tutaj – powiedział dziwnym tonem Jorgis, wpatrując się w furtkę.

Vonni wstała, żeby przyjrzeć się gościowi, który przystanął niepewnie u wejścia.

– Andreas! – krzyknęła zdławionym głosem. – Andreas, przyjacielu, jest! Naprawdę jest!

Elsa i Thomas spoglądali na siebie, nie mając pojęcia, o co chodzi. Andreas wstał i chwiejnym krokiem szedł do furtki z wyciągniętymi ramionami. Wszyscy wpatrywali się w jego

snurowane buty, posuwające się z wysiłkiem przez taras.

– Adoni... Adoni *mou*\ Wróciłeś! Adoni *ghie mou*. Mój synu! Nareszcie przyjechałeś mnie odwiedzić!

– Przyjechałem na zawsze, ojczy, przyjmiesz mnie?

Obaj mężczyźni zwarli się w uścisku, który zdawał się nie mieć końca. Potem odsunęli się nieco i głaskali z czułością swoje twarze, powtarzając wciąż te same słowa:

– *Adoni mou!*

– *Patera!*

Potem wysunął się do przodu Jorgis, a za nim Vonni i doktor Leros. Stali całą grupką, gadając jeden przez drugiego i obejmując się nawzajem.

Thomas i Elsa trzymali się mocno za ręce.

– Nigdy nie zapomnimy tej nocy – powiedział Thomas.

– Czy nie posunęłam się za daleko? – dopytywała się Elsa. – Nie jestem zbyt nachalna? Powiedz, tylko szczerze.

Zanim zdołał odpowiedzieć, podeszli do nich Andreas z synem.

– Adoni, oto cudowna kobieta, która kazała mi do ciebie napisać, kiedy zastanawiałem się, czy ci na tym zależy. Powiedziała, że wszyscy lubią dostawać listy.

Adoni był wysoki i przystojny, z burzą czarnych włosów, które pewnego dnia posiwieją jak u ojca. Nastąpi to prawdopodobnie tutaj, w Agia Anna, chociaż jeszcze nie tak prędko. Elsie, która z taką łatwością odnajdywała właściwe słowa przed

wielomilionową widownią, teraz wyraźnie ich zabrakło. Wstała tylko i uściskała Adoniego, tak jakby od dawna byli przyjaciółmi.

– Ależ ty jesteś piękna! – wykrzyknął Adoni z podziwem na widok blondynki w białej sukni z kwiatem we włosach.

– Elsa i Thomas są razem – podkreślił szybko Andreas, żeby uniknąć nieporozumień.

Adoni uścisnęła Thomasowi rękę.

– Szczęściarz z ciebie – powiedział z przekonaniem.

– Rzeczywiście miałem szczęście – zgodził się Thomas. Potem wstał i zwrócił się do wszystkich przyjaciół, ale patrzył przy tym Elsie w oczy, jakby miała to być odpowiedź na jej poprzednie pytanie:

– Chcę wam powiedzieć, że Elsa wyjeżdża ze mną do Kalifornii.

– Jeszcze jeden powód do świętowania! – zawołał ze łzami w oczach Andreas.

Thomas i Elsa pocałowali się znowu, a potem usiedli i objęci ramionami obserwowali powitalne sceny.

Andreas, Jorgis i mała Rina pobiegli szykować jedzenie i wino dla marnotrawnego syna, wyraźnie przekonani, że przez te wszystkie lata w Chicago nie karmiono go należycie.

Vonni z roziskrzonymi oczami usiadła przy Adonim.

– A co z twoim synem Stavrosem? – zapytał Adoni.

– Żyje gdzieś własnym życiem...



– Ale czemu nie może odnaleźć w sercu...

– Nie mówmy o tym teraz, ważne, że ty wróciłeś, Adoni. Nawiasem mówiąc, twój ojciec się zmienił, nie jest już taki jak dawniej.

– Ja także, Vonni.

Potem dał się wciągnąć w rozmowę kolejnej grupie witających, a Vonni usadowiła się, jak zwykle, między Andreasem a Jorgisem.

– Pewnej nocy i Stavros wpłynie do naszego portu – powiedział Andreas.

– I będzie to taka sama noc jak ta – dodał Jorgis.

– Tak, tak, na pewno – zgodziła się skwapliwie Vonni z rozjaśnioną twarzą.

Wiedzieli, że tylko udaje wesołość. I nagle, jak na dany znak, obaj wzięli ją za rękę. Teraz uśmiechnęła się naprawdę.

– Oczywiście, że kiedyś wróci – powiedziała, ściskając ich dłonie.

– Wystarczy przyjrzeć się dzisiejszej nocy, by uwierzyć w cuda. Bo jeśli się w nie nie wierzy, to nic nie ma sensu.

Doktor Leros wyjrzał z kuchni.

– Adoni, jest tu dwóch chłopaków z buzuki! Chcą cię powitać w domu.

– To cudownie!

I kiedy noc rozbrzmiała muzyką, wszyscy w restauracji za-

częli klaskać do taktu. Adoni wstał, wysunął się na środek tarasu i zaczął tańczyć. Tańczył przed czterdziestoma gośćmi – z których część nie miała pojęcia, co się dzieje, niektórzy – jak Thomas i Elsa – znali fragmenty tej historii, a inni – jak jego ojciec, stryj, doktor Leros i Vonni – wiedzieli wszystko.

Wyrzucił w górę ramiona, okręcał się i wyginał, przepętniony radością z powrotu do miejsca, gdzie zawsze przynależał.

I chociaż zaczął padać drobny deszczyk, nikt nie zwracał na to uwagi, bo gwiazdy nadal świeciły tak samo.